

Andre Norton

Gwiezdne bezdroża

Tytuł oryginału: Uncharted Stars

Przekład: Maciej Martyński

Data wydania polskiego: 2001

Data wydania oryginalnego: 1969

TMN

Rozdział pierwszy

Był to zajazd, jakich wiele w kosmicznych portach. Nie miał, co prawda, pokoi dla dostojników i funkcjonariuszy międzygwiazdnych, ale jednocześnie był zbyt drogi dla kogoś takiego jak ja. Mój pas z kredytami był niemal pusty i palce zaciskały mi się spazmatycznie, a w żołądku czułem przenikliwe zimno, kiedy tylko o tym pomyślałem. Istnieje jednak coś takiego jak potrzeba zachowania prestiżu, twarzy, jakkolwiek by to nazwać — i ja właśnie musiałem to zrobić albo ponieść ostateczną klęskę. Ból w stopach i ogólne przygnębienie mówiły mi, że osiągnąłem już ten stan, w którym człowiek wyzbywa się wszelkich nadziei i tylko czeka na nieunikniony cios.

Wiedziałem, gdzie ten cios spadnie. Mogłem stracić to, z powodu czego podjąłem największe ryzyko w swoim życiu — pojazd, który wsparty na statecznikach stał teraz w samym środku pola startowego. Był doskonale widoczny z wyposażonych w prawdziwe okna apartamentów hotelowych na szczycie wieży. Ja również mógłbym go zobaczyć, gdyby stać mnie było na taki apartament.

Nietrudno jest kupić statek, który później stoi bezczynnie, przysparzając właścicielowi ciągłych wydatków z tytułu opłat lotniskowych czy kosztów obsługi — wydatków znacznie większych, niż w swej naiwności byłem sobie w stanie wyobrazić jeszcze miesiąc temu. Taki statek jest bezużyteczny bez wykwalifikowanego pilota. A ja ani nie byłem pilotem, ani nie potrafiłem go znaleźć.

Na początku wszystko wydawało się proste. Chyba musiałem cierpieć na jakieś zaćmienie umysłu, kiedy się w to wpakowałem... albo raczej — kiedy zostałem w to wpakowany! Utkwiłem wzrok w drzwiach pomieszczenia, które chwilowo było moim domem i pogрузyłem się w nieżyczliwych, a nawet wrogich rozmyślaniach o współniku czekającym w środku.

Ostatni rok z pewnością nie wpłynął dobrze na stan moich nerwów i sprawił, że zacząłem wątpić, czy los kiedykolwiek się do mnie uśmiechnie. Wszystko zaczęło się jak zwykle. Ja, Murdoc Jern, wykonywałem swój zawód wędrownego handlarza klejnotami jak inni w tym fachu. Owszem, w życiu, jakie prowadziliśmy z moim mistrzem Vondarem Ustle'em, nie brakowało dramatycznych epizodów, jednak dopiero na Tanth, w wirze złowrogiej „świętej”

igły, cały mój świat runął w gruzy. Jakby laserowy promień nie tylko oddzielił mnie od Vondara, ale również pozbawił spokoju ciała i umysłu.

Nie obawialiśmy się, kiedy ofiarna igła Zielonych Szat zadrzała i zatrzymała się między mną a Vondarem. Przybysze ze świata zewnętrznego to nie był posiłek, który zadowoliłby ich demona. Niestety, później rzucili się na nas ludzie z tawerny, zapewne szczęśliwi, że tym razem wybór nie padł na żadnego z nich. Vondar zginął od pchnięcia nożem, a mnie ścigano po zaułkach mrocznego miasta, aż w końcu zażądałem azylu w świątyni innego demonicznego bóstwa. Stamtąd również udało mi się zbiec i znaleźć bezpieczne, jak mi się zdawało, schronienie na pokładzie statku Wolnych Kupców.

Ale wpadłem tylko z deszczu pod rynnę. Podróż w przestrzeń kosmiczną rozpoczęła bowiem kolejną serię przygód. Przygód tak szalonych, że uznałbym je za bajkę albo wytwór narkotycznych wizji, gdybym sam w nich nie uczestniczył. Dość powiedzieć, że dryfowałem w przestrzeni kosmicznej sam, z jednym tylko towarzyszem, którego pojawienie się w naszym czasie i miejscu nastąpiło w okolicznościach równie dziwnych, jak dziwny był wygląd nieoczekiwanego gościa. Urodził się zgodnie z prawami natury. Wydała go na świat pokładowa kotka. Za to jego ojcem miał być rzekomo czarny kamień, tak przynajmniej twierdziło kilku ludzi wyszkolonych w obserwacji niezwykłych zjawisk.

Eeta i mnie przyciągał kamień nicości — tak ten kamień, który w zasadzie powinno się nazwać źródłem wszelkiego chaosu!

Po raz pierwszy zobaczyłem go w rękach mojego ojca. Matowy i martwy tkwił osadzony w wielkim pierścieniu przeznaczonym do noszenia na obszernej rękawicy kosmicznej. Znalaziono go na bezimiennej asteroidzie przy zwłokach Obcego. Nie sposób odgadnąć, ile lat tam spoczywał. Mój ojciec wiedział, że kamień kryje sekret, i uległ jego urokowi. Oddał życie, aby zachować dla mnie to groźne dziedzictwo.

To właśnie kamień nicości na mojej okrytej rękawicą dłoni poprowadził mnie i Eeta przez pustą przestrzeń kosmiczną do dryfującego opuszczonego statku, który mógł być — chociaż nie musiał — własnością jego pierwotnego właściciela.

Stamtąd kapsuła ratunkowa zabrała nas do świata lasów i ruin, gdzie, aby zachować sekret i życie, walczyliśmy z członkami Bractwa Złodziei (musiał im stawić czoło już mój ojciec, mimo że sam niegdyś należał do starszyny Bractwa) i z funkcjonariuszami Patrolu.

Pierwszą kryjówkę z kamieniami nicości znalazł Eet. Potem przypadkowo natknęliśmy się na drugą, tak dziwną, że nie sposób było nie zapamiętać jej na zawsze. Urządzono ją bowiem starannie w tymczasowym grobowcu, pośród ciał Obcych z różnych ras, jak gdyby kamienie miały stanowić zapłatę za podróż martwych dusz do ich odległych rodzinnych planet. Poznaliśmy wówczas część sekretu kamieni. Mogły one potęgować każdą energię, z którą się zetknęły, i przyciągać inne kamienie, uaktywniając ich moc. Eet był pewny, że kamienie nie pochodziły z planety, na której przypadkowo wylądowaliśmy.

Zawartości skrytki użyliśmy do przetargu, lecz nie z Bractwem a z Patrolem, dzięki czemu uzyskaliśmy środki na zakup własnego statku, a także niechętnie udzielone rozgrzeszenie wraz z prawem udania się w dowolnie wybranym kierunku.

Własny statek to był pomysł Eeta. Eet, stworzenie, które mógłbym bez trudu zgnieść obiema rękami (czasem nawet wydawało mi się to najlepszym rozwiązaniem), był osobowością silniejszą niż jakikolwiek znany mi dostojnik. Po części ukształtowała go kocia matka, chociaż czasem zastanawiałem się, czy jego wygląd nie ulega ciągłym, nieznacznym zmianom. Był pokryty futrem, jednak na ogonie sierść tworzyła tylko wąski pas ciągnący się od nasady do samego końca. Jego tylne łapy nie były porośnięte, a przednie przypominały małe ręce, których używał niemal równie sprawnie, jak ja swoich. Uszy miał małe, przylegające do głowy, a ciało długie i giętkie.

Jednak to nie ciało Eeta — specjalnie, jak mi powiedział, dla niego stworzone — przykuwało największą uwagę, lecz umysł. Obok zdolności telepatycznych stwór ten posiadał także ogromną, zmagazynowaną w pamięci wiedzę, której okruchami niekiedy dzielił się ze mną, a która mogłaby śmiało rywalizować ze słynnymi bibliotekami Zakathanu zawierającymi mądrości całych stuleci.

Nigdy nie dowiedziałem się od niego, kim lub czym był naprawdę, ale poważnie wątpiłem w to, że kiedykolwiek się go pozbędę. Mogłem nie lubić jego spokojnej, władczej pewności, z jaką od czasu do czasu narzucał mi swoje zdanie; mimo to jednak wydawał mi się fascynujący.

Czasami zastanawiałem się nawet, czy nie użyto go rozmyślnie do usidlenia mnie — jeśli tak, to pułapka była nadzwyczaj przemyślnie skonstruowana. Eet wielokrotnie tłumaczył mi, że nasza współpraca jest potrzebna, bo się uzupełniamy i jesteśmy o wiele silniejsi, a ja musiałem przyznać, że to dzięki niemu wyszliśmy cało z potyczki z Bractwem Złodziei i Patrolem... i zachowaliśmy dla siebie kamień nicości.

Eet zamierzał — a w rzadkich przyływach optymizmu zdarzało mi się dzielić z nim ten zamiar — odnaleźć źródło pochodzenia tych kamieni. Drobne spostrzeżenia, poczynione w czasie pobytu na planecie, na której odnaleźliśmy skrytki, upewniły mnie, że Eet wiedział więcej o nieznannej cywilizacji, która po raz pierwszy posłużyła się kamieniami, niż był skłonny przyznać. Musiałem się z nim zgodzić, że człowiek znający sekret pochodzenia tajemniczych przedmiotów mógłby sprzedać go za każdą cenę — oczywiście pod warunkiem, że zdążyłby to zrobić, zanim zostałby zasztyletowany, spalony albo unicestwiony w jakiś inny paskudny sposób.

Na złomowisku prowadzonym przez pewnego Salarika znaleźliśmy jakiś statek. Salarik umiał się targować lepiej od mojego dawnego mistrza, który do tej pory wydawał mi się pod tym względem niedoścignionym wzorem. Muszę przyznać, że gdyby nie Eet, poddałbym się po dziesięciu minutach i opuścił złomowisko jako właściciel najbardziej zardzewiałego pojazdu, jaki kosmita miał na składzie. Na szczęście Salarikowie pochodzą od kotów, a kocia

matka mojego towarzysza najwidoczniej przekazała mu dar czytania cudzych myśli. Dzięki temu staliśmy się właścicielami całkiem niezłego statku.

Co prawda był stary i wielokrotnie przerejestrowywany, lecz — zdaniem Eeta — wciąż sprawny i na tyle mały, by umożliwić nam swobodne przemieszczanie się między planetami.

Cena wynegocjowana przez Eeta obejmowała również koszt przygotowania statku do podróży kosmicznej i przetransportowania na kosmodrom, gdzie miał czekać na start. Niestety, stał tam od wielu dni, a my nie mieliśmy pilota. Eet przypuszczalnie posiadał odpowiednie umiejętności, ale w swej obecnej postaci nie był w stanie operować sterami zaprojektowanymi dla ludzi. Zdażyłem już zauważyć, że mój towarzysz celuje we wszystkich dziedzinach wiedzy a nawet jeśli unikał bezpośredniej odpowiedzi na jakieś pytanie, jego niewzruszona pewność siebie pozwalała mi wierzyć, że zna właściwą odpowiedź.

Sytuacja była więc dość jasna: mieliśmy statek, za to brakowało nam pilota. Wydaliśmy fortunę na opłaty lotniskowe i wciąż nie mogliśmy wyruszyć w drogę. Niewielka suma, która nam pozostała rozplynęła się niemal w całości. Klejnotami ukrytymi w moim pasie mógłbym opłacić najwyżej kilka dni pobytu w hotelu. Zakładając rzecz jasna, że znalazłbym na nie kupca, a z tym wiązał się kolejny dręczący mnie problem.

Jako pomocnik i uczeń Vondara, poznałem wielu liczących się nabywców kamieni z różnych planet. Jednak to Ustle był tym, przed którym otwierali drzwi swych domów i którego obdarzali zaufaniem. Jako samodzielny kupiec miałem bardzo niepewne widoki na przyszłość. Istniała co prawda możliwość operowania na obrzeżach czarnego rynku i handlowania klejnotami niepewnego pochodzenia lub wręcz kradzionymi — tę drogę wybrało wielu tak niegdyś ambitnych przedsiębiorców. Wówczas jednak trzeba by było stawić czoła Bractwu, a ta perspektywa przerażała mnie nawet bardziej niż możliwość wejścia w konflikt z prawem.

Pilota nie znalazłem. Śmiało zepchnąłem inne zmartwienia w głąb świadomości. Lepiej nie zajmować się kilkoma sprawami naraz, trzeba zacząć od najpilniejszej. Potrzebowaliśmy pilota, by wystartować, a musieliśmy wystartować jak najprędzej, żeby nie stracić statku jeszcze przed wyruszeniem w pierwszą podróż.

Żadna z szanowanych agencji nie była w stanie zaproponować żadnego człowieka, który zgodziłby się — za oferowaną przez na stawkę — wyruszyć w podróż robiącą wrażenie desperackiej, tym bardziej że nie mogłem dać żadnych finansowych gwarancji. Musieliśmy więc wybierać spośród wyrzutków, ludzi figurujących na czarnych listach głównych linii kosmicznych albo skreślonych z rejestru pilotów za poważne błędy i przestępstwa. Jednak żeby dokonać wyboru, musiałem udać się do Zewnętrzny Portu, części miasta, do której nawet funkcjonariusze Patrolu i miejscowej policji wyruszali niechętnie i wyłącznie grupami, a gdzie rządziło Bractwo. Zwracając na siebie uwagę, kusiłbym los; mogli mnie schwytać, przetrząsnąć mój mózg albo innym nielegalnym sposobem wydrzeć sekret. A Bractwo służyło z doskonałą pamięcią.

Była jeszcze inna możliwość. Mogłem to wszystko rzucić. Obrócić się na pięcie i odejść od drzwi, które miałem właśnie otworzyć, przyciskając kciuk do osobistego czytnika. Potem — o ile to możliwe — znaleźć posadę w jakimś sklepie z drogimi kamieniami i zapomnieć o szalonym marzeniu Eeta. Mógłbym nawet wyrzucić kamień nicości do najbliższego śmietnika, aby ostatecznie pozbyć się pokusy. Wówczas stałbym się zwykłym, przestrzegającym prawa obywatelem.

To rozwiązanie było bardzo pociągające, ale płynąca w moich żyłach krew Jernów kazała mi je odrzucić. Zamiast odejść przyłożyłem palec do drzwi i w tej chwili do głowy przyszła mi pewna myśl. Z tego co wiedziałem, czytniki w zajazdach, dostosowane do odcisku kciuka konkretnego użytkownika, dotychczas nigdy nie dawały się oszukać. Jednak pewnego dnia sytuacja mogła ulec zmianie, a Bractwo ustawicznie kupowało albo w inny sposób zdobywało nowe technologie, o których istnieniu nie mieli pojęcia nawet członkowie Patrolu. Jeśli już nas tu wytropiono, za drzwiami mógł mnie oczekiwać komitet powitamy. Dlatego na wszelki wypadek spróbowałem połączyć się telepatycznie z Eetem.

To, czego się dowiedziałem, kazało mi na chwilę pozostać w miejscu, z palcem przytkniętym do płytki na drzwiach. Eet znajdował się w środku. Przekaz, który otrzymałem, nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości. Nawiązywaliśmy kontakt tak często, że z czasem nawet wątle sygnały, które wysyłał, stały się czytelne dla moich słabych ludzkich zmysłów. Teraz jednak Eet, skoncentrowany na czymś innym, był nieobecny duchem, a moje nieudolne próby dotarcia do niego skończyły się fiaskiem.

W każdym razie przekaz nie zawierał niczego, co świadczyłoby o groźącym niebezpieczeństwie albo nakazywało ucieczkę. Nacisnąłem płytkę i obserwowałem, jak drzwi znikają w ścianie, zastanawiając się, co za nimi zobaczę.

Pokoju nie można było nazwać klitką, ale bez wątpienia nie miał też rozmiarów apartamentu dla dostojników. Wyposażenie stanowiły głównie meble wsuwane w ścianę. W tej chwili pokój wydawał się dziwnie pusty, gdyż Eet pochował wszystkie krzesła, stół, biurko i łóżko, niczego nie zostawiając na pokrytej dywanem podłodze.

Pomieszczenie oświetlała jedyna lampa, rzucająca krąg oślepiającego światła (od razu zauważyłem, że było to światło o maksymalnej mocy i jakaś część mojego umysłu zaczęła obliczać, jak wpłynie to na nasz rachunek). Potem zobaczyłem to, co siedziało w samym środku świetlnego kręgu i kompletnie zbaraniałem.

Jak większość zajazdów w portach kosmicznych, także i ten świadczył usługi zarówno osobom podróżującym w interesach, jak i zwykłym turystom. W holu mieścił się sklep, gdzie po astronomicznych cenach można było kupić okolicznościowe upominki. Większość z tych upominków stanowiły liczne, przykuwające wzrok okazy lokalnego rękodziela, mogące posłużyć właścicielowi za do wód pobytu na Thebie. Asortyment uzupełniała egzotyczna tandeta importowana z innych planet dla podróżników o mniej wyrobionym guście.

Sklepy tego typu były zawsze pełne zminiaturyzowanych replik okazów miejscowej fauny. Niektóre egzemplarze miały formę rzeźby, inne wyrabiano z futra i tkanin, aby upodobnić figurki do żywych zwierząt. W przypadku mniejszych stworzeń czy ptaków repliki bywały nawet naturalnej wielkości.

W kręgu wyznaczonym przez światło lampy znajdował się wypchany puk. Zwierzęta te zamieszkiwały na Thebie — dzisiejszego ranka straciłem sporo czasu pod sklepem zoologicznym, obserwując trzy żywe takie okazy z zainteresowaniem, którego nie przytępiły dręczące mnie troski. Doskonale rozumiałem, na czym polega ich atrakcyjność. Nawet wypchane, były artykułem luksusowym pierwszej klasy.

Ten egzemplarz nie był dużo większy od Eeta, ale jego pulchne i zaokrąglone kształty w niczym nie przypominały długiego i szczupłego ciała mojego towarzysza. Zwykle puki budzą w ludziach instynktowną sympatię — ten nie stanowił wyjątku i od razu mi się spodobał. Jego puszyste futro miało szarozielony kolor. Delikatne cętki upodabniały je do brokatu utkanego na Astrudii. Pozbawione pazurów łapy zwierzęcia zakończone były miękkimi poduszkami. Za to zęby robiły imponujące wrażenie — żywym osobnikom tego gatunku służyły do miażdżenia ulubionych liści tich. Na okrągłej, pozbawionej wyraźnie zaznaczonych uszu głowie zwierzęcia rosła bujna, wspaniale nastroszona grzywa. Zielonkawe oczy przypominały kolorem futro, lecz były o kilka tonów ciemniejsze. Jednym słowem — miałem przed oczyma ładny okaz, naturalnych rozmiarów i bardzo, bardzo kosztowny.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, skąd się tutaj wziął. Podszedłbym bliżej, żeby go dokładnie obejrzeć, gdyby ostry i zaskakujący przekaz telepatyczny od Eeta nie zatrzymał mnie w miejscu. Nie była to żadna konkretna wiadomość — po prostu ostrzeżenie, żebym się nie wtrącał.

Ale do czego? Przeniosłem wzrok z wypchanego zwierzęcia na mojego towarzysza. Przeszliśmy razem wiele i wydawało mi się, że nauczyłem się już nie dziwić niczemu, co robił. Teraz jednak udało mu się mnie zaskoczyć.

Zobaczyłem, że siedzi skulony na podłodze, tuż za kręgiem światła rzucanego przez lampę i wpatruje się intensywnie w maskotkę, jak gdyby śledził poczynania jakiegoś groźnego wroga.

Tylko że Eet nie był już sobą. Jego szczupłe ciało o niemal węzowych kształtach nie tylko skurczyło się, ale najwyraźniej spęczniało, w groteskowy sposób przypominając teraz sylwetkę puka. W dodatku jego ciemne futro pojaśniało i nabrało zielonkawego połysku.

Całkowicie zaskoczony, ale jednocześnie zafascynowany obserwowałem, jak na moich zdumionych oczach Eet zmienia się w puka. Przemianie ulegały jego kończyny, głowa, sierść i cała reszta. Potem, powłóczę nogami, wszedł w krąg światła i przycupnął obok zabawki, zwrócony głową w moją stronę. Telepatyczne pytanie zadźwięczało ostro w moim mózgu.

— No i...?

— To jesteś ty — wskazałem palcem jedną z postaci, ale nie byłem pewien. Każdy włos na grzbiecie, każda kępka futra były identyczne u obu bliźniaczych okazów.

— Zamknij oczy — rozkazał tak szybko, że odruchowo wykonałem polecenie.

Lekko zirytowany, natychmiast otworzyłem powieki i ponownie zobaczyłem oba puki. Zrozumiałem, że chce, abym dokonał ponownego wyboru, ale mimo dokładnych oględzin nie byłem w stanie odróżnić Eeta od maskotki. Mój towarzysz wciąż siedział nieruchomo, nie dając znaku życia. W końcu wyciągnąłem rękę i podniosłem bliższego puka. To była zabawka. Dotarło do mnie rozbawienie i satysfakcja Eeta.

— Dlaczego? — spytałem.

— Jestem jedyny w swoim rodzaju.

Czyżbym dosłyszał ton samozadowolenia, pobrzmiewający w tej uwadze?

— Rzucam się w oczy. Dlatego muszę czasem zmieniać postać.

— Ale jak to zrobiłeś?

Usiadł. Przykucnąłem, aby dokładniej mu się przyjrzeć. Raz jeszcze postawiłem maskotkę obok niego i przenosząc wzrok z jednego egzemplarza na drugi, usiłowałem dostrzec jakieś drobne, różniące je szczegóły. Nie zauważyłem niczego takiego.

— To kwestia umysłu — Eet sprawiał wrażenie zniecierpliwionego. — Jakże mało o tym wiesz... ty i twoi współplemięcy. Nie potraficie wyłamać się z właściwych wam schematów myślowych, a co gorsza, chyba nawet nie próbujecie.

Ta enigmatyczna odpowiedź mnie nie zadowoliła. Świadom wcześniejszych dokonań mojego towarzysza, nie mogłem jednak uwierzyć, że dokonał tej przemiany, po prostu wyobrażając sobie, że jest pukiem.

Bez trudu odgadł, o czym tak gorączkowo myślę.

— Mówiąc ściślej, to kwestia stworzenia odpowiedniej iluzji — poprawił się, używając pełnego wyższości tonu, który tak mnie irytował.

— Iluzji!

W to mogłem uwierzyć. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś dokonał takiej sztuki z równą precyzją, ale niektórzy kosmici byli naprawdę do tego zdolni. Krążyło na ten temat wiele wiarygodnych opowieści. Wiedziałem również, że niektóre osoby nadzwyczaj łatwo ulegają tego typu ułudom. Czy nasza znajomość i wpływ, jaki wywierał na mnie Eet, w jakiś sposób ułatwiły mu zadanie? A może stworzona przez niego iluzja oszukałaby każdego?

— Każdego i na tak długo, jak zechcę — rzucił w odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie. — To działa również na zmysł dotyku... sam się przekonaj!

Położyłem rękę na wyciągniętej w moim kierunku kosmatej łapce. Nie różniła się prawie niczym od maskotki, poza tym, że pod palcami czułem tętniące w niej życie.

— Rzeczywiście. — Przysiadłem na piętach, ostatecznie przekonany. Eet miał rację, co zresztą zdarzało się dosyć często... wystarczająco często, aby zdenerwować kogoś o mniej sprawnym umyśle kogoś takiego jak ja. W swej zwykłej postaci Eet istotnie za bardzo rzucał

się w oczy, nawet w kosmicznym porcie pełnym obcych przybyszów i ich niezwykłych ulubieńców. Wygląd mojego przyjaciela łatwo mógł nas zdradzić. Zawsze wysoko ceniłem Bractwo, a zwłaszcza jego siatkę szpiegowską.

Jeśli jednak mieli jakieś informacje na temat towarzyszącego i kosmity, to o ile więcej musieli wiedzieć o mnie! Z pewnością zgromadzili bogaty materiał na swoich taśmach gończych. Byłem dla nich ściganą zwierzyną na długo przedtem, zanim spotkałem Eeta.

Wszystko zaczęło się po śmierci mojego ojca; ktoś z nich musiał domyślić się, że to ja zabrałem ze splądrowanego biura kamień nicości, przeoczony przez ich człowieka. Zastawili wówczas pierwszą pułapkę, w którą zamiast mnie wpadł Vondar Ustle, oraz następną na pokładzie statku Wolnych Kupców. Jak się później dowiedziałem, ocalał mnie wówczas Eet. Jemu również zawdzięczałem uwolnienie z więzienia, w którym trzymano mnie na planecie ruin. Tak więc mieli mnóstwo okazji zdobycia szczegółowych danych dla swoich tropicieli — i był to fakt, który mnie przerażał.

— Ty również stworzysz sobie przebranie.

Cichy rozkaz wyrwał mnie z niespokojnych rozmyślań.

— Nie potrafię! Pamiętaj, że pochodzę z gatunku, który jest ograniczony... — wypaliłem, sfrustrowany i przestraszony swoim ciężkim położeniem, z którego powoli zaczynałem sobie zdawać sprawę.

— Naprawdę istnieją tylko te ograniczenia, które sam sobie narzucisz — odparł beznamiętnie. — Popatrz!

Na krótkich nogach puk podreptał w stronę przeciwległej ściany i błyskawicznie wrócił do zwykłej postaci. Wyciągając swe giętkie ciało na całą długość, zdołał dosięgnąć guzika w murze i po chwili naszym oczom ukazało się lustro. Zobaczyłem w nim swoje odbicie.

W moim wyglądzie zewnętrznym nie ma nic szczególnego. Ciemnobrązowe włosy upodabniają mnie do miliardów innych Terran. Trójkątna twarz nie zwraca niczyjej uwagi ani nadzwyczajną urodą, ani rażącą brzydota. Oczy mam zielonobrazowe, a brwi i rzęsy — czarne. Jako kupiec spędzający wiele czasu w przestrzeni kosmicznej, od wczesnej młodości systematycznie usuwam zarost z twarzy. Kiedy nosi się kosmiczny hełm, broda bardzo przeszkadza. Z tych samych względów lubię nosić krótkie włosy. Ani wzrostem, ani budową nie wyróżniam się spośród innych przedstawicieli mojej rasy. Przypadkowy obserwator z pewnością by się mną nie zainteresował. Ja jednak nie obawiałem się przypadkowych obserwatorów, lecz członków Bractwa, znacznie bardziej dociekliwych i dysponujących szczegółowymi danymi.

Eet przemierzył pokój swym charakterystycznym, płynnym krokiem, bez wysiłku wskoczył mi na plecy i położył łapy na moich skroniach.

— Teraz — rozkazał. — Pomyśl o czyjejś twarzy. Czyjejkolwiek.

Z początku nie byłem w stanie wykonać polecenia. Patrzyłem w lustro, wciąż widząc w nim tylko swoje odbicie. Czułem, że Eet się niecierpliwi i to mnie rozpraszało. Potem mój towarzysz wysiłkiem woli zapanował nad emocjami.

— Myśl o kimś innym.

Tym razem była to raczej prośba, niż rozkaz.

— Jeśli chcesz, zamknij oczy.

Poszedłem za jego radą i spróbowałem jeszcze raz. Nie wiem dlaczego wybrałem akurat mojego przyrodniego brata, Faskela, ale jakimś sposobem to właśnie jego twarz wypłynęła z zakamarków pamięci i skoncentrowałem się na niej.

Obraz był niewyraźny, ale nie zniknął. Widziałem długi zarys nosa sterczącego spod strzechy włosów... Faskel Jern był rodzonym synem naszego wspólnego ojca, a ja tylko adoptowanym. Jednak pod względem cech charakteru miałem o wiele więcej wspólnego z Hywelem Jernem niż on. Wyobraziłem sobie pąsową szramę na czole tuż pod linią włosów, dodałem grymas niezadowolenia, którym zawsze mnie witał i z determinacją usiłowałem zatrzymać ulatujący obraz.

— Spójrz.

Posłusznie otworzyłem oczy i popatrzyłem w lustro. Przez kilka sekund zdumiony gapiłem się na czyjąś twarz — z pewnością nie byłem to ja, ale też nie Faskel, taki, jakim go zapamiętałem. Obca postać miała cechy nas obojgu, była jakąś dziwną krzyżówką. Widok ten wcale mi się nie spodobał, ale Eet wciąż trzymał moją głowę i nie mogłem się odwrócić. Na szczęście powoli rysy Faskela zaczęły znikać i wkrótce znowu zostałem sam.

— Widzisz? To się da zrobić — skomentował Eet, wypuszczając mnie z uścisku i zwinnie zeskakując na podłogę.

— Ty to zrobiłeś, nie ja.

— Tylko częściowo. Pomogłem ci się przełamać, to wszystko. Wy, ludzie, wykorzystujecie tylko znikomą część możliwości swoich mózgów. Powinniście się wstydić takiego marnotrawstwa. Potrzebujesz jeszcze wielu ćwiczeń. Potem, z nową twarzą, będziesz mógł bez obawy iść i znaleźć dla nas pilota.

— Wątpię, czy mi się to uda. — Nacisnąłem odpowiedni guzik i ze ściany wysunęło się krzesło. Usiadłem na nim, ciężko wzdychając. — A jeśli nawet jakiś się trafi, to z pewnością będzie to ktoś z czarnej listy.

— Ciii... — Nie był to dźwięk, ale raczej jego słabe echo, które zabrzmiało w moim umyśle. Eet skoczył jak błyskawica do drzwi i przycupnął w progu, cały zamieniając się w słuch. Ja oczywiście nie usłyszałem nic. Te pokoje były całkowicie dźwiękoszczelne. Wystarczyło użyć domowego detektora, żeby się o tym przekonać. Zajazdy w portach lotniczych miały pewną ceną zaletę: dawały gościom całkowitą pewność, że nie będą podsłuchiwani, podglądani czy w inny sposób kontrolowani.

Jednak ich zabezpieczenia nie przewidywały istnienia kogoś takiego jak Eet. Z jego zachowania wywnioskowałem, że jest poważnie zaniepokojony czymś, co zbliżało się w naszym kierunku. Nagle spojrzał na mnie. Zrozumieliśmy się bez słów. Z trzaskiem otworzyłem mały schowek bagażowy i mój towarzysz błyskawicznie schował się do środka. Wciąż jednak utrzymywał ze mną kontakt telepatyczny.

— Nadchodzi zwiadowca Patrolu. Jest blisko — ostrzegł i to wystarczyło, abym mógł się przygotować.

Rozdział drugi

Czekając, aż nad drzwiami zabłyśnie lampka sygnalizująca przybycie gościa, w pośpiechu wysuwałem meble ze ścian. Po chwili pokój wyglądał zupełnie zwyczajnie. Nie było w nim niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia nawet doświadczonego tropiciela. Patrol przez kilka stuleci cieszył się sławą najpotężniejszej formacji policyjnej w galaktyce i jego funkcjonariusze zazdrośnie strzegli swego autorytetu. Nie zapomnieli ani nie wybaczyli nam tego, że kiedyś razem z Eetem wykazaliśmy ich niekompetencję. Udowodniliśmy wtedy, że zbyt pochopnie skazali mnie na banicję. (W rzeczywistości zostałem wówczas wrobiony przez Bractwo). Potem zawarliśmy z nimi układ i bezczelnie wymogliśmy na nich dotrzymanie jego warunków. To również musiało im dopiec.

Uratowaliśmy członka Patrolu i jego statek z rąk Bractwa, a on, choć tylko dzięki nam ocalił skórę, z początku stanowczo odmawiał przyjęcia naszych warunków. Uważał nawet, że nie mamy prawa z nim negocjować.

Do dziś czuję mdłości na wspomnienie sposobu, jakiego użył Eet, aby doprowadzić do zawarcia umowy. Mutant brutalnie połączył mój umysł z umysłem funkcjonariusza. Ta wzajemna inwazja pozostawiła we mnie niezagojoną ranę.

Mówiono mi kiedyś, że sposób widzenia świata przez różne gatunki istot zależy od rodzaju zmysłów, w jakie wyposażyła je natura. Ściślej mówiąc: od sposobu odczytywania sygnałów wysyłanych przez te zmysły. Dlatego nasz świat, chociaż podobny do świata zwierząt, ptaków czy kosmitów, czymś się jednak od nich różni. Na szczęście istnieją bariery, które sprawiają, że widzimy rzeczywistość taką, jaką jesteśmy w stanie zaakceptować. Mówię „na szczęście”, ponieważ sam przekonałem się, jakie są skutki zlikwidowania takiej bariery. Bezpośredni kontakt dwóch ludzkich umysłów to doświadczenie, które trudno znieść. Funkcjonariusz Patrolu i ja dowiedzieliśmy się o sobie wystarczająco dużo — może aż za dużo — aby zrozumieć, że umowa między nami może zostać zawarta i na pewno zostanie dotrzymana. Mimo to, wolałbym raczej walczyć gołymi rękami z człowiekiem uzbrojonym w laser niż jeszcze raz przeżyć coś takiego.

Teraz ludzie z Patrolu nie mogli nam niczego zarzucić. Przypuszczalnie mieli jakieś podejrzenia, mogli też żywić do nas urazę. To, że Bractwo wciąż deptało nam po piętach,

mimo że oni musieli zostawić nas w spokoju, było im zapewne bardzo na rękę. Niewykluczone, że traktowali nas jako przynętę, która w przyszłości ułatwi im schwytanie jakiegoś dostojnika. Na samą myśl o takiej możliwości robiło mi się gorąco.

Kiedy nad drzwiami zabłyśło ostrzegawcze światło, raz jeszcze rozejrzałem się po pokoju i odsłoniłem wizjer. Zobaczyłem czyjś przegub, a na nim niemożliwą do podrobienia odznakę Patrolu. Otworzyłem drzwi.

— Słucham? — powiedziałem, stając z nim twarzą w twarz. Pozwoliłem, żeby w moim głosie zabrzmiało rozdrażnienie, które istotnie odczuwałem.

Nie miał munduru. Ubrany był w efektowną, przylegającą do ciała tunikę, modną wśród turystów z wewnętrznych światów. Ponieważ jednak funkcjonariusze muszą stale utrzymywać się w formie, strój leżał na nim o niebo lepiej niż na którymkolwiek z brzuchatych, sflaczałych osobników, jakich spotykałem na korytarzach hotelu. Ten ubiór wydawał mi się jednak trochę zbyt krzykliwy i ekstrawagancki.

— Czcigodny Jern, z rasy Ludzi — stwierdził raczej, niż zapytał. Prawie nie zwracając na mnie uwagi, omiół wzrokiem pomieszczenie.

— We własnej osobie. Czego sobie życzysz?

— Chcę z tobą porozmawiać... na osobności.

Ruszył do przodu. Cofnąłem się mimowolnie i natychmiast zdałem sobie sprawę, że nie miał prawa wchodzić do środka. Prestiż odznaki dał mu nieznaczną przewagę, którą w pełni wykorzystał. Zanim zdążyłem zareagować, był już w pokoju, a drzwi automatycznie zamknęły się za jego plecami.

— Jesteśmy sami. Mów. — Nie poprosiłem go, żeby usiadł, ani nie wykonałem żadnego powitalnego gestu.

— Masz kłopoty ze znalezieniem pilota. — Teraz poświęcał mi trochę więcej uwagi, nie przestając jednak rozglądać się po pokoju.

— To prawda. — Nie było sensu zaprzeczać oczywistym faktom. On zapewne też nie lubił tracić czasu, bo od razu przeszedł do rzeczy.

— Możemy zawrzeć układ...

Tu mnie zaskoczył. Opuszczając z Eetem bazę Patrolu, mieliśmy wrażenie, że tamtejsze władze wypuszczają nas, licząc na to, że natychmiast wpadniemy w ręce ludzi Bractwa. Przyszło mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie. Najwidoczniej szybko doszli do wniosku, że wskazując im miejsce ukrycia skrzynek z kamieniami nicości, zatailiśmy informacje o pochodzeniu tych minerałów. W rzeczywistości powiedzieliśmy im wszystko, co wiedzieliśmy.

— Jaki układ? — zapytałem, powstrzymując się od nawiązania telepatycznego kontaktu z Eetem, chociaż bardzo chciałem wiedzieć co sądzi o tej propozycji. Kto wie, jakim tajnym sprzętem dysponował Patrol. Znając możliwości mojego towarzysza, mogli zastosować jakąś sprytną metodę monitorowania naszej rozmowy.

— Prędzej czy później — wolno cedził słowa, jak gdyby delektując się ich znaczeniem — prędzej czy później Bractwo was dopadnie.

Nie zdołał zbić mnie z tropu, bo dawno domyśliłem się, do czego zmierza.

— I wobec tego chcecie wykorzystać mnie jako przynętę.

Nie zmieszał się ani trochę.

— Można to tak określić.

— To jedyne właściwe określenie. Co chcecie zrobić? Umieścić na pokładzie waszego człowieka?

— Tak. Będzie was chronił i, oczywiście, będzie też naszym informatorem.

— Bardzo wspaniałomyślnie. Ale moja odpowiedź brzmi: nie. Funkcjonariusze Patrolu traktowali ludzi jak pionki. Uświadomiłem sobie, że nie warto mieć ich za przeciwników.

— Nie możesz znaleźć pilota.

— Zaczynam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie wasza robota. — Rzeczywiście, taka myśl przyszła mi właśnie do głowy.

Nie potwierdził ani nie zaprzeczył, ale czułem, że mam rację. Oprócz czarnej listy pilotów istniała też czarna lista statków i nasz pojazd znalazł się na niej jeszcze przed wyruszeniem w pierwszą podróż. Żaden pilot, pragnący zachować licencję, nie podpisałby teraz ze mną umowy.

Od tej chwili musiałem prowadzić poszukiwania w mrocznym świecie wyrzutków. Prędzej pozwoliłbym, żeby statek zardzewiał na pasie startowym, niż zgodziłbym się, by jego pilotem został człowiek Patrolu.

— Jeśli spróbujesz zatrudnić pilota bez licencji, istnieje duże prawdopodobieństwo, że trafisz na kogoś podstawionego przez Bractwo — zauważył mój gość. Chyba nie wątpił, że w końcu, chcąc nie chcąc, zgodzę się na jego propozycję.

To, co powiedział, było prawdą. A raczej byłoby prawdą, gdyby Eet nie pomagał mi w poszukiwaniach. Nawet gdyby podstawiony człowiek został poprzednio poddany operacji prania mózgu, mającej ukryć jego powiązania z mocodawcami, Eet nie dałby się oszukać. Ale tego akurat mój gość i jego przełożeni mogli nie wiedzieć. Nie dało się natomiast ukryć przed nimi telepatycznych zdolności mojego towarzysza.

— Sam podejmuję decyzje i sam będę płacił za swoje błędy. — Pozwoliłem sobie na ostry ton.

— Oby tylko cena nie okazała się zbyt wysoka — rzucił obojętnie. Raz jeszcze popatrzył na pokój i nagle na jego twarzy zagościł uśmiech. — Zabawki, akurat teraz? Ciekaw jestem, dlaczego.

Błyskawicznie, jak nurkujący jastrząb, pochylił się i podniósł z ziemi wypchanego puka.

— Dość kosztowna maskotka, nieprawdaż? A przecież cierpisz na brak funduszy. Czyżbyś odkrył kopalnię kredytów? Powiedz mi, Jern, po co ci to?

Skrzywiłem się.

— Zawsze staram się czymś zaskoczyć swoich gości. Jeśli chcesz, zabierz to ze sobą. Na wszelki wypadek, żeby przekonać się, czy przypadkiem nie służy mi do szmuglu. Wiesz przecież, że jestem handlarzem klejnotów — nietrudno jest ukryć parę kamieni we wnętrznościach takiego puka.

Nie wiedziałem, czy zadowolili go ta naprędce wymyślona odpowiedź. Cisnął maskotkę na najbliższe krzesło i skierował się ku drzwiom. W połowie drogi odwrócił się i rzucił przez ramię:

— Kiedy znudzi ci się walenie głową w mur, zadzwoń pod numer 0-1. Wtedy dostaniesz człowieka, który z pewnością nie sprzeda cię Bractwu.

— Bractwu nie, za to Patrolowi — odparłem. — Jeśli kiedyś zechcę wystąpić w roli przynęty, z pewnością dam ci znać.

Wyszedł bez pożegnania. Zatrzasnąłem za nim drzwi i przebiegłem przez pokój, aby jak najprędzej wypuścić Eeta z kryjówki. Mój towarzysz-kosmita usiadł i zaczął w zamyśleniu przeczesywać futro.

— Wydaje im się, że już wygrali — zagailem, chociaż byłem pewien, że mój towarzysz zdążył już zdobyć wszystkie potrzebne informacje, przenikając myśli naszego gościa, chyba że funkcjonariusz używał jakichś technik chroniących umysł przed penetracją.

— Owszem, używał — Eet znów odczytał moje myśli — ale nic mu to nie dało. Osłony stosowane przez ludzi są skuteczne tylko w przypadku detektorów mechanicznych. To oznacza — ciągnął z widoczną satysfakcją — że w zetknięciu ze mną są bezradne.

— Ale masz rację, rzeczywiście sądzą, że mają nas w rękę — pokazał mi swoją otwartą dłoń — i że wystarczy tylko mały ruch palcami... — tu zacisnął pięść. — Co za ignorancja! W każdym razie teraz musimy szybko się stąd wynosić.

— Naprawdę musimy? — zapytałem ponuro, wyciągając pospiesznie podróżną torbę. Rozumiałem, że nieroztropnie było pozostawać dłużej w okolicy odwiedzanej przez zwiadowców Patrolu. — Tylko dokąd niby mieliśmy pójść?

— Do Nurkującej Loklarwy — odpowiedział mój towarzysz takim tonem, jak gdyby chodziło o coś oczywistego.

Oślupiałem, Ta nazwa nic mi nie mówiła i domyślałem się tylko, że chodzi o jedną z ponurych spelunek w gorszej części portu. Było to ostatnie miejsce, w którym mógłby się schronić człowiek ścigany przez Bractwo.

Jednak teraz należało przede wszystkim uciec z budynku, nie zwracając na siebie uwagi funkcjonariuszy Patrolu. Wrzuciłem do torby ostatnią sztukę czystej bielizny i wyjąłem z pasa trzy dyski płatnicze. W tego rodzaju tymczasowych kwaterach należność za czynsz wyświetlana jest na małym ściennym monitorze. Podróżny, który usiłowałby opuścić pokój nie płacąc, napotkałby niemożliwe do przejścia pole siłowe. Kierownictwo hotelowe unikało co prawda ingerencji w prywatność gości, ale nie rezygnowało ze stosowania dozwolonych środków ostrożności.

Wepchnąłem kredyty we właściwy otwór i zapis zniknął z monitora. Teraz mogłem już wyjść, musiałem tylko pomyśleć, jak to zrobić. Rozglądając się, zauważyłem, że Eet znowu przybrał postać puka. Przez chwilę patrzyłem bezradnie na identyczne włochate stwory, aż w końcu mój towarzysz dał mi znak łapą. Podniosłem go z podłogi.

Z Eetem pod pachą i torbą w garści wyrzałem na korytarz. Był pusty. Kierując się ku prowadzącemu w dół szybowi grawitacyjnemu, usłyszałem nagle głos przyjaciela.

— W lewo i do tyłu!

Wykonałem polecenie. Idąc za jego wskazówkami, znalazłem się w nieznanym mi części hotelu, tuż obok kolejnego szybu, używanego przez roboty obsługujące pokoje. Mimo że zapłaciłem rachunek, obawiałem się urządzeń zabezpieczających; było to przecież wyjście przeznaczone tylko dla maszyn. Jedna z nich właśnie toczyła się ku nam z cichym warkotem.

Był to robot dostarczający posiłki do pokoi — pudło na kółkach, którego górna powierzchnia usiana była przyciskami umożliwiającymi wybór dań. Kiedy mnie mijał, musiałem przylgnąć do ściany. Tego bocznego korytarza nie projektowano z myślą o gościach hotelowych.

— Wejdz na to — rozkazał Eet.

Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, ale już wielokrotnie ratował mnie z opresji i wiedziałem, że rzadko zdarza mu się działać bez określonego planu. Dlatego posłusznie wrzuciłem go na pudło, w ślad za nim cisnąłem torbę, a na koniec sam wgramoliłem się na maszynę, uważając, żeby nie dotknąć żadnego z guzików.

Dodatkowy ciężar nie spowolnił ruchu robota, który wytrwale posuwał się w dół korytarza.

Siedziałem na nim sztywny i napięty, usiłując utrzymać równowagę. Kiedy ześliznął się z podłogi i zawisł nad przepaścią szybu grawitacyjnego, omal nie krzyknąłem. Na szczęście siły działające w szybie bez trudu wytrzymały ciężar i maszyna wolno zaczęła zjeżdżać w dół. Swym jednostajnym ruchem przypominała wygodną osobową windę w porcie lotniczym. Na następnym piętrze przyłączyła się do nas mechaniczna zamiatarka, ale oba urządzenia musiały być wyposażone w promienie — osłony, chroniące przed zderzeniem czy zadrapaniem, bo ani razu nie doszło do kolizji. Nad nami i pod nami w mroku majaczyły zarysy innych robotów, które właśnie o tej porze skończyły poranne prace.

Licząc mijane piętra, powoli nabierałem otuchy. Byliśmy coraz bliżej celu. Kiedy jednak osiągnęliśmy parter, nasz pojazd nie zatrzymał się, tylko dalej leciał w dół. Koniec szybu znajdował się trzy piętra niżej. Wylądowaliśmy w ciemnościach, z których co chwila dobiegał złowieszczy brzęk żelaza. Eet milczał, wyjątkowo nie udzielając mi żadnych rad.

W końcu odważyłem się wyciągnąć latarkę i omieść snopem światła otaczający nas mrok. Tu i ówdzie majaczyły groźne zarysy maszyn, krążących po ogromnym pomieszczeniu. Nie można było natomiast dostrzec ani jednego człowieka, który nadzorowałby pracę robotów.

Bałem się zejść z naszego pojazdu. Nie byłem pewien, czy osłony na ruchliwych urządzeniach uchronią mnie przed przejechaniem. Do tej pory nie interesowałem się bliżej obsługą hotelową i nawet nie domyślałem się istnienia takiego pomieszczenia.

Było oczywiste, że nasz robot zmierza w określonym kierunku. Dotoczywszy się do ściany wyposażonej w otwory, stanął w miejscu, przywierając bokiem do jednej ze szpar. Jak sądzę, pozbywał się śmieci i brudnych talerzy. Parę kroków dalej zmiotarka również opróżniała swe wnętrze z nagromadzonego ładunku.

Strumień światła z mojej latarki odsłonił pustą przestrzeń między ścianą a sufitem. Pomyślałem, że nawet jeśli nie jest to droga prowadząca do wyjścia, to w każdym razie trzeba usunąć się z drogi krążącym robotom.

Ostrożnie wstałem, a Eet chwycił latarkę w łapy, które wciąż były krótkimi, niezgrabnymi łapkami puka. Bez trudu wrzuciłem torbę na mur. Więcej kłopotu miałem z moim włochatym towarzyszem, gdyż jego nowe ciało nie miało tej fizycznej odporności, co poprzednie. Dostawszy się na górę, przycupnął bez ruchu, tym razem dla wygody trzymając latarkę w zębach. Na koniec ja sam skoczyłem i chwyciłem rękami krawędź muru. Przez chwilę myślałem, że palce ześlizną się po gładkiej powierzchni, ale niemal nadludzkim wysiłkiem udało mi się wydzwignąć ciało na niebezpiecznie wąską krawędź. Czując pod sobą drgania i wibracje, zrozumiałem, że za ścianą musi się mieścić spalarnia śmieci i prowadzące do niej pasy transmisyjne.

Sufit był tak niski, że musiałem przysiąść na piętach. Wodząc reflektorem po wszystkich kątach, odkryłem, że idąc po murze dojdę do ciemnego przejścia, otwierającego się w innej ścianie, prostopadłej do tej, na której się znajdowałem. Nie mając innego wyjścia, zacząłem się przesuwając w tym kierunku, ciągnąc za sobą torbę. Na szczęście Eet nie potrzebował mojej pomocy, bez trudu utrzymując równowagę na swych krótkich nogach.

Zagłębiłem się w otwór i chwilę później stałem już w ciasnej studzińce. Wkrótce z zadowoleniem zauważyłem przytwierdzoną do ściany drabinę. Najwyraźniej było to pomieszczenie kontrolowane od czasu do czasu przez techników — ludzi. Błogosławiłem swoje szczęście; hałas i szum pracujących maszyn przyprawiał mnie o zawrót głowy. Chciałem stąd wyjść jak najprędzej.

Łapy Eeta nie nadawały się do wspinaczki i uważałem, że powinien teraz wrócić do swej zwykłej postaci. Nie miałem ochoty go wnosić. Nie wiedziałem nawet, jak to zrobić. Ale on, nawet jeśli był w stanie zmienić teraz postać, to z jakichś powodów nie chciał. Tak więc w końcu musiałem zawiesić torbę na plecach i wsadzić mojego kapryśnego towarzysza za kołnierz tuniki. Oba te ciężary bardzo utrudniały mi zachowanie równowagi, a na dodatek nie mogłem świecić sobie latarką. Żałowałem, że natura nie wyposażyla mnie w trzecią rękę.

Nie obchodziło mnie, dokąd idziemy. W tej chwili chciałem tylko za wszelką cenę wydostać się z tego mrocznego królestwa maszyn. Być może za bardzo polegałem na intuicji Eeta; on w każdym razie nie komunikował się ze mną od chwili, gdy spotkaliśmy robota.

— Co jest na górze? — zapytałem w końcu, kiedy uświadomiłem sobie, co mogło tam na nas czekać.

— Nic... na razie — odpowiedział, ale jego telepatyczny przekaz był tak słaby, że moja świadomość odbierała go jak szept. Najwyraźniej umysł miał zaprzątnięty czymś innym.

Chwilę później dotarłem do końca drabiny. Szukając po omacku kolejnego uchwytu, uderzyłem się boleśnie w rękę. Zbadałem dotykiem twardą powierzchnię, z którą się zetknąłem, i stwierdziłem, że niewidoczny przedmiot ma kolisty kształt; bez wątplenia była to kłapa studzienki. Spróbowałem ją podnieść — bez skutku. Nacisnąłem jeszcze raz, wkładając w ten ruch więcej siły, lecz pokrywa nawet nie drgnęła. Przestraszyłem się. Jeżeli kłapa była zamknięta na kłódkę, musielibyśmy wrócić do pomieszczenia z robotami, a o tym nie chciałem nawet myśleć.

Na szczęście moje ostatnie, desperackie pchnięcie pokonało opór dawno nie używanego mechanizmu i kłapa uniosła się odrobinę, wpuszczając do studzienki wąły promyk światła. Zachowałem dość przytomności umysłu, aby powstrzymać się od dalszych działań w oczekiwaniu na ewentualny ostrzegawczy sygnał od Eeta.

Nie otrzymawszy go, wygramoliłem się z kanału. Ściany pomieszczenia, w którym się znalazłem, pokryte były gęsto licznikami, zaworami i dźwigniami. Zapewne trafiliśmy do centrum sterującego pracą robotów. Wokół nie było widać żywej duszy, za to nie opodal zobaczyłem zwyczajne drzwi. Wydałem westchnienie ulgi i zająłem się doprowadzaniem do porządku swojego wyglądu zewnętrznego. Postawiwszy na ziemi Eeta, poprawiłem kołnierz i uważnie obejrzałem swoje ubranie. Na szczęście nie ucierpiało podczas wędrówki przez mroczne czeluście zajazdu i spokojnie mogłem w nim wyjść na ulicę bez zwracania na siebie niczyjej uwagi — oczywiście, pod warunkiem, że te drzwi otwierały się na ulicę.

W rzeczywistości po drugiej stronie natrafiłem na małą windę grawitacyjną. Nacisnąłem guzik oznaczający parter i po krótkim locie znalazłem się w korytarzu. Stamtąd z kolei wydostałem się na dziedziniec otoczony murem i wreszcie wybiegłem z terenu hotelowego po pasie transmisyjnym przeznaczonym do transportu bagaży. Z drugiej strony muru znajdowała się aleja, w której zwykle rozładowywano cięższe ładunki z portu.

— Zaczekaj!

Do tej pory niosłem Eeta na ramionach, a on obejmował mnie łapami za szyję; najwidoczniej w obecnej postaci tę pozycję uznał za najwygodniejszą. Teraz przeniósł łapy na moje skronie i nacisnął dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy uczył mnie sztuki zmiany wyglądu.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi, bo tym razem nie kazał mi „wymyślić sobie” nowej twarzy. Czekałem już dość długo, a on wciąż siedział nieruchomo. W końcu doszedłem do wniosku, że postanowił sam wykonać całą pracę.

— Robię... co... mogę... — ucisk na skroniach zelżał i w ostatniej chwili udało mi się złapać osłabionego towarzysza, który omal nie runął na ziemię. Drżał jak po ogromnym

wysiłku, oczy miał zamknięte, a oddech ciężki i urywany. Poprzednio tylko raz widziałem go tak wyczerpanego — wtedy, gdy pomógł mi zawrzeć układ z funkcjonariuszem Patrolu.

Zarzuciłem torbę na ramię, wziąłem Eeta na ręce i ruszyłem aleją. Zerknąłem przez ramię na zabudowania zajazdu. Gdyby jakiś szpieg, który dotychczas nie zgubił tropu, próbował teraz za nami podążać, byłby doskonale widoczny.

Boczna droga łączyła się z ruchliwą trasą komunikacyjną, którą przepływała większość towarów przewożonych między miastem a portem. Środkiem magistrali biegło sześć pasów transmisyjnych do ciężkich ładunków, po bokach dwa do lekkich, a z samego brzegu wybudowano jeszcze wąską ścieżkę dla pieszych. Na ścieżce panował dosyć ożywiony ruch, tak że mogłem bez wzbudzania żadnych podejrzeń wmieszać się między ludzi. W większości byli to pracownicy portowi nadzorujący transport. Postawiłem torbę przy nodze i stanąłem nieruchomo, a ścieżka poniosła mnie naprzód.

Nurkująca Loklarwa — miejsce, o którym wspominał Eet — wciąż było dla mnie tajemnicą. Nie zamierzałem odwiedzać Zewnętrznego Portu w ciągu dnia, gdyż każdy obcy, poruszający się poza wyznaczonymi, specjalnie strzeżonymi ścieżkami dla turystów natychmiast zwróciłby tam na siebie uwagę. Musiałem więc znaleźć tymczasową kryjówkę, a najlepszy do tego celu byłby inny hotel. Jakiś głos wewnętrzny kazał mi wybrać ten, który położony był dokładnie na wprost Siedmiu Planet — hotelu, który przed chwilą opuściłem w tak niezwykle sposób.

Nowy hotel był o parę klas gorszy od poprzedniego, co zresztą odpowiadało mi ze względów finansowych. Zwłaszcza ucieszyło mnie, że w recepcji nie urzęduje człowiek — co dodałoby temu miejscu prestiżu — lecz zwykły robot. Wiedziałem jednak, że i tak zostanę zarejestrowany przez kamery, a nie miałem pojęcia, czy wysiłki Eeta, by zmienić mój wygląd tym razem przyniosą skutek.

Odebrałem płytkę-czytnik z wrytym numerem i windą grawitacyjną pojechałem na drugie piętro, gdzie mieściły się najtańsze pokoje. Odnalazłszy ten właściwy, umieściłem płytkę na drzwiach i dopiero siedząc w środku, odetchnąłem z ulgą. Żeby się teraz do mnie dostać, musieliby użyć superlasera.

Położyłem Eeta na łóżku i podszedłem do lustra, żeby sprawdzić, jak wyglądam. Nie zobaczyłem jednak swoich zmienionych rysów — obraz był zamazany i niewyraźny, a ja odczuwałem niezrozumiałą niechęć do przyglądania się odbiciu w zwierciadle. Czyżbym obawiał się, że ta nowa powierzchowność jest wyjątkowo odrażająca?

Usiadłem na najbliższym krześle. Wciąż usiłując patrzeć w lustro, uświadomiłem sobie, że dziwne wrażenie słabnie i powoli zanika. W końcu zobaczyłem swoje własne oblicze, doskonale widoczne i dokładnie takie samo jak zawsze.

Nie sądziłem, żeby Eet mógł powtórzyć swój wyczyn, kiedy będziemy opuszczać hotel. Tego rodzaju sztuki za bardzo go wyczerpywały, a właśnie teraz powinien być czujny i gotowy do natychmiastowego wykorzystania swych niezwykle talentów. Tak więc mogło

się zdarzyć, że wyszedłszy stąd, od razu zostanie zauważony przez naszych prześladowców... chyba że ja sam dokonałbym przemiany. Pierwsza próba zakończyła się jednak sukcesem co najwyżej połowicznym, a i tego bym nie osiągnął, gdyby nie pomoc przyjaciela.

A gdybym zrezygnował z całkowitej transformacji? Gdyby tym razem Eet zamiast całej twarzy zmienił tylko jakiś istotny szczegół? Zacząłem rozważać taką możliwość. Spodziewałem się, że mój towarzysz wypowie się na temat tego pomysłu, ale on uparcie milczał. Spojrzałem na łóżko. Wszystko wskazywało na to, że śpi.

Zamiast zmieniać charakterystyczne rysy, można by również odwrócić od nich uwagę ewentualnego obserwatora. Nie tak dawno Eet pokrył moją twarz plamami, które miały udawać symptomy chorobowe. Dobrze pamiętałem te wstrętne purpurowe piętna — nie, nigdy więcej czegoś takiego! Nie miałem ochoty znowu uchodzić za ofiarę zarazy. Ale gdyby tak jakaś blizna...

Wróciłem pamięcią do czasów, kiedy mój ojciec prowadził sklep wielobranżowy w porcie kosmicznym na naszej rodzimej planecie. Wielu gwiazdnych włóczęgów zaglądało wówczas do pokoiku na zapleczu, aby tam sprzedać towary bardzo niepewnego pochodzenia. Niejeden z nich nosił na twarzy szramy albo inne szpecące znamiona.

Tak, blizna. Tylko gdzie... i jaka? Ślad po oparzeniu laserem, czy może po cięciu nożem? W końcu zdecydowałem się na oparzelinę. Nieraz widziałem tego typu obrażenia i wydawało mi się, że doskonale pasują do takiego miejsca jak Zewnętrzny Port. Skupiłem się i utkwilem wzrok w lustrze, usiłując siłą woli spowodować przebarwienie skóry na lewym policzku.

Rozdział trzeci

Było to działanie urągające zasadom logiki, którym hołdował mój gatunek. Gdyby nie pierwsza, częściowo tylko udana transformacja przeprowadzona dzięki pomocy Eeta, nie uwierzyłbym, że to w ogóle możliwe. Nawet teraz nie byłem pewien, czy potrafię tego dokonać sam, ale koniecznie chciałem spróbować. Bycie zależnym od dziwnego towarzysza-mutanta było niekiedy denerwujące.

Popularne przysłowie mówi: jeśli zamykasz drzwi przed błędami, prawda również zostaje na zewnątrz. Tak więc dzielnie zwalczałem liczne błędy, wierząc, że prędzej czy później prawda przyjdzie mi z odsieczą. Od pierwszego spotkania z Eetem poświęcałem wiele czasu i wysiłku na rozwijanie tkwiących we mnie nadnaturalnych zdolności. Zapewne robiłem tak dlatego, że nie potrafiłem uznać jego przewagi. Tak bardzo przypominał zwierzę, a ja byłem przecież człowiekiem! Jednak w galaktyce określenie „człowiek” jest pojęciem względnym i odnosi się raczej do istoty o pewnym poziomie inteligencji, niż do stworzenia o ludzkich kształtach. Ten fakt był z początku trudny do zaakceptowania dla mnie i moich współplemieńców z powodu naszych wrodzonych uprzedzeń. Pozbycie się tych uprzedzeń kosztowało nas wiele wysiłku.

Spróbowałem na chwilę zapomnieć o wszystkich problemach, choć było ich wiele. Nie mieliśmy pilota, nasze fundusze wyczerpywały się, a ja sam grałem rolę zwierzyny w polowaniu tym groźniejszym, że prowadzonym w całkowitej ciszy. Teraz jednak należało się skoncentrować tylko na jednej rzeczy, na bliźnie. Wpatrywałem się w lustro, myśląc intensywnie o tym, co chciałem w nim zobaczyć.

Być może Eet jak zwykle miał rację, twierdząc, że my, Terranie wykorzystujemy tylko niewielką część naszych możliwości. Przestając z moim towarzyszem, nieświadomie rozwinąłem swe ukryte talenty, wspinając się przy tym na wyżyny niedostępne dotąd istotom mojego gatunku. Nagle zauważyłem, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Próby dorównania Eetowi przyniosły wreszcie skutek. Poczulem się tak, jakby w moim umyśle niewidzialna dłoń nacisnęła jakąś dźwignię. Chwilę potem przeniknął mnie silny dreszcz i już wiedziałem, że mi się udało. Mimo to, odczuwałem też odrobinę strachu na myśl o tym, co zrobiłem.

Spojrzałem w lustro... Tak! Miałem to szpecące piętno. Nie było świeże i nie krwawiło, co musiałyby natychmiast wzbudzić podejrzenia. Pofałdowana i ciemna blizna wyglądała tak, jak gdyby kiedyś nie pokryto jej w porę materiałem regeneracyjnym albo chirurg plastyczny spartaczył robotę... Słowem, znakomicie pasowała do kosmicznego włóczęgi, jakiegoś weterana jednej z wojen międzyplanetarnych.

Ostrożnie podniosłem rękę, nie mając odwagi przyłożyć jej do pomarszczonej, spalonej skóry. Iluzja stworzona przez Eeta potrafiła oszukać również zmysł dotyku. A moja? Sprawdziłem. Nie, nie byłem jeszcze tak dobry jak mój towarzysz. Palce nie wyczuły szramy. W każdym razie widziałem ją. Na lepszą ochronę nie mogłem na razie liczyć.

— To dopiero początek, ale obiecujący.

Odwróciłem się gwałtownie. Eet siedział na łóżku i patrzył na mnie nieruchomymi oczyma puka. Obawiając się, że moment dekoncentracji mógł zniweczyć iluzję, zerknąłem w lustro.

Blizna wciąż znajdowała się na swoim miejscu. Co więcej — przyciągała uwagę. Dzięki niej twarz wydawała się zamazana i niewyraźna, trudna do rozpoznania. Nawet zakładając maskę, nie zakonspirowałbym się lepiej.

— Jak długo to się utrzyma? — Chciałem mieć pewność, że oparzelina nie zniknie, kiedy będę buszował po Zewnętrznym Porcie. Musiałbym wówczas błyskawicznie znaleźć jakąś kryjówkę i próbować odtworzyć iluzję. W takim przypadku miałbym znikome szanse powodzenia.

Eet przechylił głowę na bok, krytycznie przyglądając się mojemu dziełu.

— Słusznie zrobiłeś, zaczynając od rzeczy najprostszych — stwierdził — z moją pomocą powinna się utrzymać do jutra. To nam w zupełności wystarczy. Ja również muszę zmienić postać.

— Ty? Po co?

— Czy naprawdę nie rozumiesz, jakie to niebezpieczne? — Najeżona grzywa zdążyła już tymczasem zniknąć. — Chcesz zabrać ze sobą puka do Zewnętrznego Portu?

Miał jak zwykle rację. Żywe egzemplarze tego gatunku kosztowały fortunę. Włóczenie się z czymś takim po Zewnętrznym Porcie byłoby czystym szaleństwem. W najlepszym razie potraktowano by mnie promieniami obezwładniającymi, w najgorszym — mogłem dorobić się autentycznej blizny od broni laserowej. Niezależnie od tego, co stałoby się ze mną, Eet wylądowałby w worku, a potem został sprzedany jakiemuś pokątnemu handlarzowi. Złościło mnie, że wykazałem się taką bezmyślnością, chociaż właściwie miałem usprawiedliwienie; całą uwagę poświęcałem teraz podtrzymaniu iluzji.

— Tak, rzeczywiście powinieneś o tym myśleć, ale nie aż tak intensywnie — poinformował mnie towarzysz — musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Eet na moich oczach ulegał przemianie. Puk rozpływał się w powietrzu, znikał jak cienka skorupa piasty, która w zetknięciu z kosmicznym mrozem ulega rozpadowi na niewidoczne

dla oka, mikroskopijne cząsteczki. Po chwili mutant wrócił do swej zwykłej postaci. Jednak nawet teraz mógł wzbudzić zainteresowanie dziwnym wyglądem.

— To prawda — zgodził się. — Ale mimo to nie zwrócę na siebie uwagi. Nie muszę udawać kogoś innego, po prostu sprawię, że trudno będzie mi się dokładnie przyjrzeć.

— Rozumiem. To samo zrobiłeś z moją twarzą, kiedy uciekaliśmy z Siedmiu Planet. Mam rację?

— Owszem. Ciemność też nam pomoże. Pójdziemy prosto do Nurkującej Loklarwy...

— Po co?

Gdyby Eet pochodził z tej samej rasy co ja, zapewne w tym momencie westchnąłby, wznosząc oczy do nieba w udanym geście rozpaczy. Kosmita powstrzymał się od tego typu demonstracji, ale wiedziałem, że irytuje go moja ignorancja.

— Ponieważ możemy tam znaleźć pilota. I nie pytaj, skąd to wiem. Po prostu wiem i już.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jakie dokładnie możliwości stwarza umiejętność czytania ludzkich myśli, zresztą wolałem w to nie wnikać. W każdym razie jego pewność siebie sugerowała, że wie, dokąd zmierza. Nie mając żadnych innych pomysłów, nie mogłem mu się sprzeciwić.

Wykonał jeden ze swoich błyskawicznych skoków i wylądował na moim ramieniu. Potem owinął mi się wokół szyi jak futrzane boa. Bardzo lubił podróżować w tej pozycji. Po raz ostatni zerknąłem w lustro, aby upewnić się, czy stworzona przeze mnie iluzja wciąż działa i ogarnęło mnie uczucie triumfu, kiedy stwierdziłem, że tak jest istotnie. To, że zapewne później będę potrzebował pomocy Eeta, aby ją podtrzymać, nie miało dla mnie na razie żadnego znaczenia.

Przygotowawszy się do drogi, wszedłem na szeroki ruchomy chodnik, szukając wzrokiem jakiejś bocznej ścieżki, prowadzącej do mrocznych zaułków Zewnętrznego Portu. Zapadał zmrok. Chmury kłębiły się jak dym na ciemnozielonym niebie, które rozjaśniał samotnym blaskiem jeden z thebańskich księżyców.

Tymczasem Zewnętrzny Port wciąż czuwał, gdy tam wchodziliśmy. Na kolorowych neonach widniały znaki i symbole nie oznaczające nic w żadnym z języków galaktyki, chociaż większość mieszkańców dzielnicy posługiwała się językiem międzygalaktycznym. Symbole te, które zapraszały do sklepów albo reklamowały sprzedawane w nich towary, rozumieli natomiast doskonale wszyscy kosmiczni wędrowcy. Niektóre neony, mające zwrócić uwagę przybyszów nie należących do ludzkiej rasy, były tak jaskrawe, że nawet od przelotnego spoglądania na nie bolały oczy. Dlatego starałem się cały czas patrzeć pod nogi. Wszędzie panował straszliwy hałas, a w powietrzu unosiły się takie zapachy, że zatęskniłem za cichym, klimatyzowanym wnętrzem kosmicznego skafandra.

Miałem wrażenie, że trafiłem do zupełnie innego świata, wrogiego i niegościnnego. Nie wiedziałem, jak w tym kłębowisku znaleźć Nurkującą Loklarwę. Rozumiałem też, że nie powinienem wędrować po ulicach, ogłuszony i na wpół uduszony, za to z torbą podróżną na

ramieniu. Nie miałem przy sobie broni, a być może właśnie w tej chwili śledziło mnie kilka par oczu, należących do ludzi, którzy widzieli we mnie potencjalną ofiarę.

— Teraz w prawo... — jasny i klarowny przekaz telepatyczny Eeta przedarł się bez trudu do mojego rozgorączkowanego umysłu.

Poszedłem za jego wskazówką i z ruchliwej głównej ulicy skręciłem w mały zaułek, gdzie było odrobinę, ale tylko odrobinę ciszej, kolory nie raziły tak oczu, a chwilami nawet udawało mi się zaczerpnąć haust prawdziwego powietrza. Nie miałem pojęcia, dokąd się kierujemy, ale mój towarzysz najwyraźniej to wiedział.

Ponownie skręciliśmy w prawo, a potem w lewo. Noclegownie dla kosmicznych włóczęgów, które teraz mijaliśmy, wydawały się tak naznaczone zbrodnią i występkiem, że za nic nie wetknąłbym tam nosa. Szybko zbliżaliśmy się do ostatniego azylu przegranych, do cuchnącej kryjówki hien wypłoszonych z obfitujących w zdobycz głównych ulic.

Nad wejściem, zamiast napisu, umieszczono kolorowy neon przedstawiający pokraczne stworzenie, od którego lokal wziął nazwę. Oryginalność koncepcji autora neonu polegała na tym, że do środka wchodziło się przez otwartą paszczę glisty. Z pewnością budziło to ponure skojarzenia w niejednym kliencie — i słusznie. Przebywając tutaj należało zachować daleko posuniętą ostrożność. W środku panował taki sam zaduch jak na zewnątrz, urozmaicony w dodatku zapachami różnego rodzaju napitków i wyziewami narkotycznego dymu. Znałem niektóre z używanych tu substancji odurzających i wiedziałem, jak bardzo są zabójcze.

Było dosyć jasno — na ścianach umieszczono mnóstwo małych neonów w kształcie glist, wijących się i skręcających w sposób, który wydawał mi się aż nazbyt realistyczny. Chociaż nie wszystkie światła działały, można było od biedy dostrzec rysy twarzy klientów, a nawet zawartość ich kubków, pucharów i tubek. Na stolikach brakowało klawiatur umożliwiających wybór dań, jakie stanowiły standardowe wyposażenie restauracji położonych w bardziej cywilizowanej — o ile można tu użyć tego słowa — części miasta. Nigdzie nie mogłem też dostrzec robo-serwerów. Zamiast nich rolę kelnerów pełnili ludzie i kosmici o twarzach, na które nie sposób było patrzeć bez wstrętu. Część obsługi stanowiły istoty rodzaju żeńskiego, płci pozostałych zupełnie nie potrafiłem określić. Przyznam się szczerze, że nie zdecydowałbym się na wypicie drugiej kolejki, gdyby pierwszy puchar przyniosła mi czteroręka, jaszczuropolodna maskara. Chyba że miałbym tu do załatwienia ważną sprawę, a tak właśnie było.

Jaszczurczy potwór obsługiwał trzy wnęki położone wzdłuż ściany. Dzięki nietypowej anatomii, robił to nadzwyczaj sprawnie. Pierwszą lożę zajmowała grupa mocno wstawionych Regillian. W następnej przycupnęło coś dużego, szarego i pokrytego brodawkami. Za to w ostatniej loży siedział samotny Terranin z głową wspartą na ręku; miał na sobie zniszczony i od dawna nieprany mundur pilota. Dystynkcje przy kołnierzu trzymały się na kilku ostatnich nitkach. Nie zauważyłem u niego natomiast plakietki z logo firmy albo nazwą statku i tylko ciemny ślad na kombinezonie świadczył, że niegdyś utracił ten budzący szacunek symbol.

Szukając w takim miejscu, nie miałem dużych szans na znalezienie kogoś wartościowego. Z drugiej strony, potrzebowaliśmy fachowca tylko na czas startu. Nie wątpiłem, że przy pomocy Eeta zdołałbym uruchomić automatycznego pilota i w ten sposób pokonać przynajmniej pierwszy odcinek podróży. Z braku lepszego kandydata gotów więc byłem zatrudnić nawet kogoś z czarnej listy, pod warunkiem, że nie byłby to szpieg Bractwa.

— To pilot i palacz faszu — poinformował mnie Eet.

Ostatnia wiadomość mnie nie ucieszyła. Faszowy dym co prawda nie uzależnia, ale powoduje chwilowe zmiany w psychice, co samo w sobie jest dość niebezpieczne. Na pilocie z tego typu upodobaniami trudno było polegać. Jeśli obcy wahał dym właśnie teraz, musiałem go skreślić z listy. Przeszło mi przez głowę, że palenie faszu to rozrywka kosztowna i nie bardzo pasująca do klienta Nurkującej Loklarwy.

— Nie, teraz jest czysty — Eet znów odczytał moje myśli. — Wydaje mi się, że pije wiwer.

Najtańszy napój. Zapewne jego działaniu należało przypisać niezdrowy wygląd nieznajomego, którego twarz ukazała nam się w nagłym rozbłysku neonu. Chociaż niekoniecznie — może to zielonkawe światło nadało jego obliczu taki wyraz, jakby zbierało mu się na mdłości.

Terranin przysunął sobie puchar, pochylił głowę i chwycił słomkę ustami. Nie przestał pić nawet wtedy, kiedy do niego podeszliśmy.

Nie zrobił na mnie szczególnie dobrego wrażenia, ale przemawiały za nim zniszczone dystynkcje na kołnierzu. O ile zdążyłem zauważyć, nie było tu innego pilota. Poza tym miał ludzki wygląd i twarz, która nie budziła wstępu, no i najwyraźniej został wybrany przez Eeta.

Nie spojrzał na mnie, kiedy usiadłem po drugiej stronie stolika. Natychmiast pojawił się jaszczuropolodoby kelner, więc wskazałem mu pilota i na migi pokazałem, żeby przyniósł jeszcze jedną kolejkę. Nieznajomy spojrzał na mnie i nie wypuszczając słomki z ust, groźnie zmarszczył brwi. Potem wypluł rurkę i wybełkotał:

— Nie wiem, co chcesz mi sprzedać, ale, do cholery, nie kupię tego!

— Jesteś pilotem — stwierdziłem.

Jaszczur błyskawicznie powrócił, niosąc puchar wypełniony jakimś podejrzanym płynem i postawił naczynie na stole. Rzuciłem mu dziesięciopunktowy kredyt, który złapał w powietrzu szybkim, niemal niedostrzegalnym ruchem jednej z czterech rąk.

— Spóźniłeś się. — Odepchnął pusty puchar i chwycił pełny. — Byłem pilotem.

— Licencja lokalna czy międzygalaktyczna? — zapytałem. Przez chwile, milczał, ustami niemal dotykając słomki.

— Międzygalaktyczna. Może chcesz sprawdzić moje dokumenty? — w jego głosie zabrzmiało szyderstwo. — A właściwie, co cię to obchodzi?

Człowiek znajdujący się pod wpływem faszowego dymu miewa krótkie ataki agresji, ale w przerwach między tymi atakami jest spokojny i słabo reaguje na bodźce, które w normalnych warunkach wyprowadziłyby go z równowagi.

— Być może obchodzi i to nawet bardzo. Potrzebujesz pracy?

Roześmiał się. Tym razem chyba naprawdę był szczerze rozbawiony.

— Znowu się spóźniłeś. Zostałem uziemiony na tej planecie.

— Chciałeś pokazać mi licencję. Nie została skonfiskowana? — nie ustępowałem.

— Nie. Tylko i wyłącznie dlatego, że nikt nie pofatygował się, żeby to zrobić. Nie latałem od dwóch lat planetarnych — taka jest prawda. Serwują tu dzisiaj wyjątkowe świństwo, nie sądzisz? Chyba dolewają pomyje. — Z ponurym zainteresowaniem gapił się na swój puchar, jakby spodziewał się zobaczyć coś pływającego po powierzchni.

Znów wziął słomkę w usta, ale jednocześnie sięgnął ręką do kieszeni na piersi i po chwili w jego drżącej dłoni pojawiło się bardzo zniszczone etui. Położył je na stole, ale nie uczynił żadnego ruchu, aby popchnąć futerał w moim kierunku. Najwyraźniej nie zależało mu na tym, żeby przekonać mnie o swoich kwalifikacjach. Wyciągnąłem rękę i w tej samej chwili kolejny rozbłysk neonu pozwolił mi przyjrzeć się tabliczce wystającej z etui.

Posiadaczem licencji był niejaki Kano Ryzk, dyplomowany pilot międzygalaktyczny. Dokument wystawiono jakieś dziesięć lat temu. Wiek pilota określono jako nieustalony, gdyż urodził się w przestrzeni kosmicznej. Najbardziej zdziwił mnie mały emblemat wyryty pod nazwiskiem, który pozwalał zidentyfikować Ryzka jako Wolnego Kupca.

Wolni Kupcy — samotnicy i odkrywcy, uwielbiający smak ryzyka i nie uznający regularnych linii kosmicznych zmonopolizowanych przez wielkie konsorcja, w ciągu wielu stuleci podróży międzygwiazdnych stali się jakby odrębną rasą. Ich domem były statki kosmiczne — nie potrafili długo usiedzieć na jednej planecie, ciągle zapuszczając się w rejony odwiedzane tylko przez pionierów i odkrywców. Początki tego stowarzyszenia były skromne, a Kupcy żyli z ochłapów, którymi wzgardziły wielkie koncerty.

Zbyt biedni, by brać udział w aukcjach międzyplanetarnych i kupować nowo odkryte światy, musieli sami prowadzić poszukiwania. Uczestniczyli w przedsięwzięciach mało zyskownych, za to obciążonych wysokim ryzykiem, licząc jednocześnie na nieoczekiwany uśmiech losu, co zdawało się wystarczająco często, żeby zapewnić im przetrwanie.

Nie widzieli świata poza swoimi statkami i trzymali się z dala od innych istot. Jeśli już zawierali związki małżeńskie, to wyłącznie w obrębie stowarzyszenia, ale najczęściej żyli samotnie. Od pewnego czasu dysponowali już portami zawieszonymi w przestrzeni kosmicznej i skolonizowanymi asteroidami, co pozwoliło im stworzyć sobie coś w rodzaju namiastki osiadłego, ustabilizowanego życia. Ich kontakty z mieszkańcami planet ograniczały się jednak wyłącznie do spraw zawodowych. Było więc coś niezwykłego w tym, że ktoś taki jak Ryzk tkwił w Zewnętrznym Porcie, pozostawiony samemu sobie. Wolni Kupcy zawsze udzielali pomocy pobratymcom w potrzebie.

— To prawda. — Wciąż wpatrywał się w swój puchar. Sprawiał wrażenie znużonego. Najwyraźniej nie byłem pierwszym, który przyjął informację o jego pochodzeniu z niedowierzaniem. — Zapewniam cię, że nie obrabowałem żadnego gwiazdowego wędrowca, aby zdobyć tę licencję.

To również była prawda. Tego typu tabliczki noszono zawsze blisko ciała, ponieważ tracąc kontakt z prawowitym właścicielem, szybko stawały się nieczytelne, gdyż wyposażono je w mechanizm samodestrukcji.

Nie chciałem pytać, co sprowadziło samotnego Wolnego Kupca do takiego miejsca jak Nurkująca Loklarwa. Moje wścibstwo mogłoby go rozgniewać i zniechęcić do rozmowy o interesach. Ale fakt, że należał do stowarzyszenia, przemawiał na jego korzyść. Pilot niestowarzyszony z wielkiej korporacji raczej nie zgodziłby się na udział w planowanej przez nas kosmicznej podróży.

— Mam statek — oświadczyłem bez ogródek — i potrzebuję pilota.

— Poszukaj w Rejestrze — mruknął, wyciągając rękę. Zamknąłem futerał i położyłem mu go na dłoni. Zastanawiałem się, czy całkowita szczerota jest w tym wypadku wskazana.

— Chcę kogoś spoza Rejestru.

Dopiero teraz na mnie spojrział. Miał duże i bardzo ciemne źrenice. Może nie był teraz pod wpływem faszu, ale z pewnością zażył jakiś inny oszałamiający środek.

— Nie jesteś chyba przemytnikiem? — zapytał po chwili.

— Nie — odrzekłem. Szmugiel był nadzwyczaj popłatnym zajęciem, ale niestety w pełni zmonopolizowanym przez Bractwo. Tylko głupiec mógłby robić im konkurencję.

— Więc kim jesteś? — Znów zmarszczył brwi.

— Kimś, kto potrzebuje pilota... — zacząłem i w tym momencie dotarł do mnie telepatyczny przekaz Eeta:

— Jesteśmy tu już za długo. Będziesz go musiał poprowadzić.

Nie skończyłem zdania. Zapanowało milczenie. Ryzk gapił się na mnie błędnym wzrokiem, ale nie byłem pewien, czy cokolwiek widzi. Wreszcie chrząknął i odsunął wciąż pełny puchar.

— Spać mi się chce... — wymamrotał — muszę stąd wyjść...

— Tak — zgodziłem się — chodź do mnie.

Podszedłem do niego od lewej strony i pomogłem mu wstać. Potem ująłem go pod ramię i ruszyłem naprzód. Na szczęście, zachował władzę w nogach, gdyż nie mógłbym go nieść, bo choć był o kilka centymetrów niższy ode mnie, musiał przybrać na wadze w czasie długich miesięcy bezczynności.

Jaszczur postąpił kilka kroków w naszym kierunku, jak gdyby próbując zastąpić nam drogę. Poczulem, że Eet drgnął — być może po raz kolejny użył swych talentów, aby wysłać kelnerowi bezgłośny rozkaz, podobny do tego, który zmusił Ryzka do pójścia ze mną. W każdym razie stworzył gwałtownie skręcił do najbliższej łoży i droga do drzwi była wolna. Nie

zatrzymani przez nikogo, szybko opuściliśmy lokal. Zagłębiwszy się w zaułki Zewnętrznego Portu, spróbowałem przyspieszyć kroku, ale ze względu na pilota było to niemożliwe. Sam nie był w stanie iść szybciej, a nie chciałem go za sobą ciągnąć, gdyż najwyraźniej przymus fizyczny wytraçał Ryzka z hipnotycznego stanu, w jaki wprowadził go Eet. Cały czas miałem wrażenie, że ktoś za nami idzie albo przynajmniej śledzi z ukrycia. Nie próbowałem dochodzić, z jakiego powodu. Być może odkryto naszą prawdziwą tożsamość albo po prostu zainteresowały się nami jakieś miejscowe hieny. W każdym przypadku sytuacja przedstawiała się niewesoło.

Potężne portowe reflektory raz po raz przecinały nocne niebo, sprawiając, że trzy thebańskie księżycy, majestatycznie sunące po firmamencie, wydawały się jedynie bladymi cieniami. Żeby dotrzeć do statku, musieliśmy przejść przez bramę i pokonać pustą przestrzeń między terminalem a pasem startowym. Zastanawiałem się, jak to zrobić. Jeśli rzeczywiście byłem śledzony przez wysłanników Patrolu lub Bractwa, to z pewnością obserwowali również nasz statek. W takim wypadku nie miało żadnego znaczenia to, że udało nam się ich zgubić w mieście. Na dodatek, moja blizna nie mogła oszukać czytników przy ostatnim punkcie kontrolnym — oczywiście, jeżeli w ogóle zdołałaby dotrzeć do tej chwili. Teraz trzeba było działać szybko, a na szybkość Ryzka zupełnie nie mogliśmy liczyć.

Przy pierwszym punkcie kontrolnym spędziliśmy tylko krótką chwilę, potrzebną na okazanie kart tożsamości. Ryzk jakimś sposobem zdołał wyciągnąć swoją z zanadza — widocznie polecenie Eeta w porę dotarło do jego zamrozonego mózgu. Zaraz potem wpadłem na pomysł, jak zyskać na czasie. W pobliżu stał transporter bagażowy, z którego korzystanie było luksusem i w normalnych warunkach nigdy nie zdecydowałbym się na taki wydatek tylko po to, żeby przewieźć moją jedyną podróżną torbę. Teraz jednak nie miałem wyboru.

Z trudem doholowałem Ryzka do maszyny. Używanie transportera do przewozu ludzi karane było grzywną, ale w tej chwili nie zwracałem uwagi na takie drobiazgi. Zmusiłem pilota do położenia się, przykryłem go peleryną tak, aby nie było widać zarysów ludzkiego ciała, a na wierzch dla niepoznaki rzuciłem torbę. Potem wystukałem na klawiaturze numer stanowiska, przy którym stał nasz pojazd i wrzuciłem kredyt w odpowiedni otwór. Pojazd ruszył. Teraz mogłem być pewien, że Ryzk dotrze do celu — zakładając, że nie zechce po drodze wysiąść.

Tymczasem Eet i ja musieliśmy pokonać tę samą drogę w sposób o wiele szybszy, lecz za to znacznie mniej dyskretny. Rozejrzałem się, szukając czegoś, co ułatwiłoby mi zadanie. Przy trapie wewnątrzukładowego statku turystycznego zgromadził się tłum podróżnych, czekających na wejście, przy czym od strony terminalu co chwila nadchodzili spóźnieni maruderzy, niektórzy w asyście licznych krewnych i przyjaciół. Dołączyłem do jednej z takich grup i zwolniłem kroku, aby znaleźć się na samym końcu pochodu. Moi towarzysze głośno wyrażali swe współczucie dwóm męczycyznom w uniformach Gwardii, którzy mieli

objąć wyjątkowo nieciekawą placówkę na pobliskiej planecie Memfors. Miejsce to istotnie nie cieszyło się reputacją kurortu.

W oczekującym tłumie większość stanowili mężczyźni o raczej podejrzanym wyglądzie, tak więc specjalnie niczym się nie wyróżniałem. W każdym razie lepszej ochrony nie potrafiłem sobie znaleźć. Teraz musiałem jeszcze odłączyć się od grupy i dotrzeć do mojego statku, a tego odcinka drogi niestety nie mogłem pokonać bez zwracania na siebie uwagi.

Powoli wycofywałem się ze zbiegowiska, pilnie bacząc, czy nikt mi się nie przygląda. Wszystko wskazywało na to, że do tej pory pozostałem niezauważony, zupełnie jak gdyby owijała mnie jakaś nierzeczywista mgła stworzona przez Eeta.

Miałem ochotę puścić się biegiem albo odpełznąć stąd pod jakąś ochronną skorupą jak krab. Niestety, było to zupełnie niemożliwe. Starłem się nawet nie rozglądać wokół, w obawie, że nadmierna ostrożność może mnie zdradzić.

Nagle zobaczyłem przed sobą sunący wytrwale transporter bagażowy, który — w przeciwieństwie do mnie — zmierzał do celu prostą drogą. Torba wciąż leżała na wierzchu, więc widocznie Ryzk wcale się nie poruszał. Tak przynajmniej wolałem to sobie tłumaczyć. Pojazd dotarł do trapu przede mną i stanął w miejscu, czekając na rozładunek.

— Obserwator po prawej... ktoś z Patrolu...

To ostrzeżenie było pierwszym znakiem życia, jaki Eet dał od długiego czasu. Nie spojrzałem we wskazanym kierunku.

— Czy będzie interweniował?

— Nie, sfilmował tylko transporter. Nie kazali mu udaremnić startu, ma tylko upewnić się, że... wyruszyłeś naprawdę.

— No to wiedzą już, że przynęta jest gotowa i wystarczy tylko zastawić pułapkę. Doskonale — stwierdziłem. Ale nie mogłem się wycofać, a poza tym w tej chwili funkcjonariusze Patrolu nie wydawali mi się nawet w połowie tak groźni, jak Bractwo. W końcu stanowiłem dla nich pewną wartość — przynajmniej dopóki mogli się mną posłużyć w swojej grze z Bractwem. Ponadto liczyłem, że jeśli tylko uda mi się opuścić planetę, zdołam jakoś przeszkodzić tym, którzy tak arogancko dysponowali moją osobą. Wciąż ukrywałem kamień nicości, o czym moi przeciwnicy nie mieli pojęcia.

Dlatego nie dałem po sobie poznać, że wiem o istnieniu ukrytego obserwatora. Pomogłem Ryzkowi zejść z transportera, wprowadziłem go na górę, zwinąłem trap i zamknąłem właz rakiety. Pozostawiwszy moją otumanioną zdobycz, przypiętą pasami, w jednej z dolnych kabin, z licencją pilota w garści skierowałem się do sterowni. Eet szedł razem ze mną. Włożyłem licencję do czytnika i uczyniwszy w ten sposób zadość przepisom lotniskowym, przygotowałem się do startu. Eet pomógł mi włączyć funkcję automatycznego sterowania. Brakowało nam jednak taśmy z trasą lotu, co oznaczało, że jeżeli Ryzk zawiedzie, będziemy musieli po omacku szukać następnego portu.

Rozdział czwarty

Nie mając taśmy z wyznaczonym kursem, nie mogliśmy wejść w nadprzestrzeń, póki Ryzk nie wyznaczy współrzędnych lotu. Tak więc od chwili startu krążyliśmy tylko w granicach układu planetarnego, wciąż narażając się na niebezpieczeństwo. Rakieta w nadprzestrzeni jest zupełnie niewykrywalna, czego nie można powiedzieć o jednostce poruszającej się wewnątrz jednego układu. Dlatego natychmiast po otrząśnięciu się z szoku grawitacyjnego rozpiąłem pasy i poszedłem poszukać pilota. Eet jak zwykle wypoczywał w którymś z zakamarków statku.

Nasz statek o nazwie „Wendwind” był większy niż rakiety zwiadowcze, lecz mniejszy od statków Wolnych Kupców klasy D — w przeszłości mógł być prywatnym jachtem jakiegoś dostojnika. Od tego czasu jednak usunięto zapewne całe luksusowe wyposażenie, pozostawiając tylko zamalowane dziury w ścianach, potwierdzające słusność moich przypuszczeń. Potem używano go do przewożenia towarów z jednej planety układu na drugą, aż w końcu został skonfiskowany przez funkcjonariuszy Patrolu jako statek przemytniczy. W końcu kupił go handlarz Salarik w celach spekulacyjnych.

Oprócz pomieszczeń dla załogi statek miał również cztery dodatkowe kabiny; trzy z nich połączono, tworząc duży magazyn. Elementem wyposażenia, który sprawił mi — jako sprzedawcy klejnotów — szczególną przyjemność, był sejf z zanikiem reagującym na dotyk użytkownika.

Kiedyś „Wendwind” musiał być uzbrojony w niedozwolone lasery G, o czym świadczyły zapieczętowane otwory strzelnicze oraz ślady na ścianach i pokładach. Obecnie jednostka była pozbawiona tego typu ochrony.

Ryzk przebywał w jedynej kabine pasażerskiej. Kiedy wszedłem do środka, szarpał się z pasami grawitacyjnymi, tocząc wokół błędnym wzrokiem.

— Co... gdzie...

— Jesteś w przestrzeni kosmicznej, na statku. Jesteś pilotem — wyjaśniłem, nie bawiąc się w długie wstępy. — Wciąż tkwimy w układzie planetarnym i wejdziemy w nadprzestrzeń, kiedy tylko wyznaczysz kurs.

Szybko zamrugał oczami, a potem — o dziwo — jego miękkie rysy stężały, co pozwoliło mi dostrzec pod maską planetarnego próżniaka mężczyznę, którym był kiedyś. Wyciągnął rękę i otwartą dłonią dotknął ściany, jak gdyby musiał się upewnić, że to, co powiedziałem, jest prawdą.

— Co to za statek? — jego głos także nie był już bełkotliwy.

— Mój.

— A kim ty jesteś? — jego oczy zwęziły się, kiedy na mnie spojrzał.

— Nazywam się Murdoc Jern. Handluję drogimi kamieniami. Eet wykonał jeden ze swoich błyskawicznych skoków i usiadł na koi w niemal ludzkiej pozycji, opierając przednie łapy na tylnych w miejscu, w którym istoty humanoidalne mają kolana. Ryzk popatrzył na kosmitę, a potem znów na mnie.

— Dobrze, dobrze. Prędzej czy później obudzę się z tego snu.

— Nie, przynajmniej dopóki nie wyznaczysz nam kursu — udało mi się wychwycić i zrozumieć telepatyczny przekaz, wysłany Ryzkowi przez Eeta.

Pilot drgnął i potarł rękami czoło, jak gdyby usiłował się pozbyć informacji, która trafiła do niego w tak niezwykły sposób.

— Dokąd? — zapytał, najwyraźniej pogodzony z tym, że przebywa obecnie w świecie zjaw zrodzonych z faszowego dymu albo wiwera.

— Do kwadrantu 7-10-500. — Na szczęście w ciągu ostatnich tygodni, kiedy nic nie wskazywało na to, że uda nam się kiedykolwiek wyruszyć, miałem dość czasu na układanie planów. Im szybciej wyruszymy w drogę, tym lepiej. Poza tym doświadczenie uzyskane w pracy z Vondarem pozwoliło mi dać dobry namiar.

— Nie wyznaczałem kursu od... od... — głos Ryzka załamał się. Jeszcze raz dotknął dłonią ściany. — To naprawdę statek! A więc nie śnię!

— Tak, to jest statek. Czy mógłbyś teraz wprowadzić nas w nadprzestrzeń? — Tym razem pozwoliłem, aby w moim głosie zabrzmiał ton zniecierpliwienia.

Zsunął się z koi. Początkowo szedł trochę niepewnie, ale czując pod stopami pokład rakiety, wkrótce nabrał energii. Przyspieszywszy kroku, bez trudu pokonał schodki prowadzące do sterowni i nie czekając na zaproszenie, usadowił się w fotelu pilota. Szybkie spojrzenia, które rzucał na pulpit sterowniczy, zdradzały doświadczonego fachowca.

— Kwadrant 7-10-500... — To nie było pytanie, a powtórzenie miało mu pomóc odblokować pamięć. — Sektor Fathfar...

Niewykluczone, że wybierając Wolnego Kupca dokonałem lepszego wyboru, niż z początku sądziłem. Pilot pracujący w zwyczajnych liniach nie znałby tych peryferyjnych szlaków komunikacyjnych, z których musiałem teraz korzystać.

Ryzk naciskał guziki, z początku wolno, potem coraz szybciej i pewniej, aż w końcu na umieszczonym z boku niewielkim ekranie pojawił się cały szereg równań. Przyjrzał im się dokładnie, wprowadził jedną czy dwie poprawki i wypowiedział standardowe ostrzeżenie:

— Nadprzestrzeń.

Widząc, że najwyraźniej dobrze wie, co robi, zawczasu usiadłem na drugim obrotowym fotelu. Eet zwinął się w kłębek i przycisnął do mnie, przygotowany na przyprawiające o mdłości wirowanie, towarzyszące przeskokowi w inny wymiar. Co prawda znałem już to uczucie, ale dotychczas doświadczałem go głównie podczas lotów pasażerskich, w czasie których w kabinie rozpylano gaz uśmierzający, łagodzący skutki wstrząsu.

Statek sunął w przygniatającej ciszy, gdy zagłębialiśmy się w świat, który nie był naszym światem. Ryzk podniósł się znad pulpitu sterowniczego, zginając i prostując palce. Spojrzał na mnie i tym razem rysy znamionujące siłę i zdecydowanie uwidoczniły się na jego twarzy jeszcze wyraźniej.

— To ty... pamiętam cię z Nurkującej Loklarwy — zmarszczył brwi. — Ty... twoja twarz jest inna.

Prawie zapomniałem o bliźnie, której najwidoczniej już nie było.

— Uciekasz przed kimś? — zapytał ostro pilot.

Chyba należało mu powiedzieć prawdę. W końcu podróżował razem z nami i tak samo jak my narażał się na niebezpieczeństwo, w razie gdyby sprawy przybrały niepomyślny obrót.

— Być może...

Nie zamierzałem opowiadać mu o przeszłości ani o sekrecie, który przechowywałem w pasie z klejnotami. Nie chciałem też zdradzać prawdziwej przyczyny, dla której mieliśmy zapuścić się w niezbadane rejony przestrzeni kosmicznej i dotrzeć do gwiazd nie figurujących na żadnych mapach. Jednak to „być może” z pewnością nie było najlepszym wytłumaczeniem. Musiałem podać mu jakieś dokładniejsze informacje.

— Mam na pieńku z Bractwem Złodziei. — Teraz wiedział już najgorsze. Na szczęście nie mógł wyskoczyć ze statku, dopóki nie wylądujemy na jakiejś planecie.

Popatrzył na mnie.

— To tak, jakby próbować wyjść cało z mgławicy, co? Jesteś chyba wielkim optymistą. — Ale nawet jeśli moje wyznanie przeraziło go, nie okazał tego wyrazem twarzy. Nie wyczułem również tonu niepewności w jego głosie, kiedy stwierdził:

— A więc udamy się do sektora Fathfar, a kiedy już wylądujemy — nawiasem mówiąc, ciekaw jestem, na której planecie — mogą nas tam gorąco powitać ogniem laserów.

— Wylądujemy na Lorgalu. Znasz to miejsce?

— Lorgal? Wybrałeś na kryjówkę tę prażoną słońcem hałdę piachu i kamieni? Potrafiłbym ci wymienić długą listę znacznie przyjemniejszych miejsc w tamtym rejonie.

Bez wątpienia znał nasz port. Mógłbym go nawet uznać za wtyczkę, gdyby nie to, że nawet słowem nie wspomniałem nikomu o miejscu, w którym zamierzałem rozpocząć karierę samodzielnego kupca. Lorgal była ponurą planetą, dokładnie odpowiadającą jego zwięzłemu opisowi. Z piekielnymi wichurami i całą masą innych klęsk żywiołowych. Ale tubylcy dawali się nakłonić do sprzedaży zoranów. Ja zaś znałem takie miejsce, gdzie kolekcja tych cennych

minerałów, których jakość znakomicie potrafiłem ocenić, zapewniłaby nam dość kredytów na opłacenie kosztów półrocznej podróży.

— Nie szukam kryjówki, tylko zoranów. Jak ci już mówiłem, handluję drogimi kamieniami.

Wzruszył ramionami, jak gdyby mi nie wierzył, ale był gotów cierpliwie wysłuchać mojej historii, która tak czy inaczej nie miała dla niego żadnego znaczenia. Mimo to włączyłem taśmę z dziennikiem pokładowym i dałem mu urządzenie rejestrujące. Podsunąłem mu też specjalną poduszkę, na której miał odcisnąć palec.

Ryzk przestudiował taśmę.

— Roczny kontrakt? A jeśli nie zechcę go podpisać, albo zastrzegę sobie prawo opuszczenia rakiety na pierwszym postoju? W końcu nie przypominam sobie, żebyśmy zawierali jakąkolwiek umowę, zanim obudziłem się na twoim statku.

— A ile czasu zajęłoby ci znalezienie innego statku, który zabierze cię z Lorgalu?

— Jaką masz gwarancję, że tam wylądujemy? To najgorsza dziura w całym sektorze. Mogę wyznaczyć każdy kurs, jaki zechcę...

— Naprawdę? — zapytał bezgłośnie Eet.

Po raz drugi Ryzk został zaskoczony w ten sposób. Popatrzył na mutanta niezbyt życzliwym okiem.

— To... telepatia! — wypluł z siebie to słowo jak przekleństwo.

— I nie tylko — zgodziłem się szybko. — Eet potrafi sprawić, aby wszystko ułożyło się po naszej myśli.

— Mówisz, że masz na karku Bractwo, i chcesz, żebym podpisał roczny kontrakt. Wybrałeś wyjątkowo paskudne miejsce na pierwszy postój. A teraz jeszcze ten... ten...

— Mój wspólnik — widząc, że szuka odpowiedniego określenia, podsunąłem mu właściwe słowo.

— Ten twój wspólnik twierdzi, że może mnie zmusić do posłuszeństwa.

— Będzie lepiej, jeśli w to uwierzysz.

— Co będę z tego miał? Pensję pilota?

Byłem gotów zaoferować mu więcej.

— Dostaniesz kupiecki udział...

Zesztywniał. Zobaczyłem, że drgnęła mu ręka, a palce zacisnęły się w pięść. Być może uderzyłby mnie, gdyby nie umiał zapanować nad gniewem. Wtedy właśnie zrozumiałem; nie podobało mu się, że wiedziałem o tym fragmencie jego przeszłości. Posłużyłem się terminem, jakiego używali Wolni Kupcy, proponując mu umowę, jaką zawierali między sobą członkowie tego stowarzyszenia. Był bardzo niezadowolony, ale w końcu kiwnął głową na znak zgody.

Potem odcisnął palec na poduszce i wpisał swoje nazwisko wraz z numerem licencji w pamięć urządzenia rejestrującego, oficjalnie przyjmując stanowisko pilota. Kontrakt wygasł

po upływie roku planetarnego, obliczonego według kalendarza obowiązującego na planecie, którą właśnie opuściliśmy, czyli po czterystu dniach.

Podczas podróży w nadprzestrzeni na pokładzie statku nie było wiele do roboty; w tych wczesnych latach eksploracji i handlu stanowiło to poważny problem. Próżnujący ludzie zaczęli sprawiać kłopoty. Stało się więc poniekąd zwyczajem, że członkowie załogi uprawiali jakieś hobby, pozwalające im zachować świeżość umysłu i zająć czymś ręce. Jeśli jednak Ryzk posiadał takie hobby, to na razie się z tym nie zdradzał.

Za to podobnie jak ja systematycznie korzystał z kabiny treningowej, aby ćwiczyć mięśnie wiotczące w warunkach zmniejszonej siły ciężenia. Powoli chudł i nabierał coraz lepszej formy, tak że po pewnym czasie w niczym nie przypominał włóczęgi wyciągniętego z portowej meliny.

Moim głównym zajęciem było buszowanie w materiałach archiwalnych, które udało mi się zebrać — przy niechętniej pomocy funkcjonariuszy Patrolu — w kilku skrytkach należących niegdyś do Vondara. Niektóre taśmy już znałem, inne, zwłaszcza te zaszyfrowane, sprawiały mi sporo kłopotów. Vondar był nie tylko kupcem, ale również zapalonym podróżnikiem. Zrobiłby fortunę, gdyby osiadł na jakiejś planecie i zajął się jubilerstwem oraz sprzedażą detaliczną. Nie pozwalała mu na to jednak jego włóczęgowska natura i ciekawość, w niczym nie ustępująca ciekawości pionierów.

Jako projektant biżuterii nie mogłem się z nim równać. O klejnotach wiedziałem może jedną dziesiątą tego co on — o ile, rzecz jasna, nie przeceniałem swoich wiadomości, zdobytych przez lata terminowania u mego mistrza. Miałem jedynie taśmy, które odziedziczyłem po Vondarze jako jego prawny spadkobierca i to było wszystko, na czym zmuszony byłem budować swoją przyszłość. Na nic innego nie mogłem liczyć — poszukiwanie miejsca pochodzenia kamieni nicości było przedsięwzięciem ryzykownym, kosztownym i z pewnością rokującym niewielkie szanse powodzenia.

Przewijałem taśmy i obserwowałem ekran, starając się omijać informacje, które zdobyłem jeszcze za życia Vondara. Własna ignorancja wprawiała mnie w ponury nastrój i czasem zastanawiałem się, czy Eet, rozpoczynając tę rozgrywkę, nie posługiwał się mną jak pionkiem. Moje obecne położenie przypominało mi nawet pewną typową sytuację z najbardziej rozpowszechnionej międzygalaktycznej gry losowej — Gwiazdy i Komety.

Ale nawet jeśli tak było rzeczywiście, wiedziałem, że nigdy nie uzyskam co do tego całkowitej pewności, więc dla mego spokoju ducha wolałem nie zagłębiać się w takie spekulacje. Teraz należało przede wszystkim opracować trasę podróży i oddałem się tej pracy całą duszą, wprowadzając poprawki i zastępując stare warianty naszego planu nowymi.

Od początku zdecydowałem się na Lorgal ze względu na panujące tam prymitywne stosunki handlowe, oparte głównie na wymianie barterowej. Uważałem, że takie warunki ułatwią mi przeprowadzenie pierwszej samodzielnej transakcji. Chociaż przygotowując „Wendwinda” do podróży oszczędzałem, jak mogłem, sporą część naszego skromnego zapasu

kredytów musiałem przeznaczyć na zakup towarów. W tej chwili zajmowały one mniej niż jedną trzecią powierzchni prowizorycznego magazynu. Większość z tych towarów wybrałem właśnie z myślą o handlu na Lorgalu.

Mieszkańcy planety byli koczownikami, których życie upływało na wędrowaniu od jednej dziury z wodą do następnej. Ich pustynny, smagany wichrami kraj częściowo pokrywały wulkaniczne skały. Tu i ówdzie trafiał się czynny stożek, nad którym w dzień unosiły się słupy dymu, a w nocy — czerwona poświata. Wątką roślinność występowała jedynie na dnach stromych wąwozów. Nic dziwnego, że Lorgalianie pożąдали przede wszystkim żywności, która pozwoliłaby im napełnić puste brzuchy, oraz wody, nieraz na wiele dni znikającej pod spękana skorupą planety.

Kiedyś odwiedziłem to miejsce razem z Vondarem, który odniósł natychmiastowy, oszałamiający sukces dzięki małemu konwertorowi na baterie słoneczne. Wrzucając do wnętrza maszyny garść nędznych miejscowych roślin, jako produkt końcowy można było uzyskać małe bloki wysokokalorycznej żywności; kawałek wielkości palca stanowił porcję wystarczającą dla człowieka na pięć dni marszu przez wietrzną pustynię. Taki sam kawałek mógł utrzymać przy życiu jedno z lorgaliańskich zwierząt pociągowych przez trzy dni. Urządzenie było proste, choć nieporęczne, i nie zawierało żadnych skomplikowanych mechanizmów, które mogłyby uszkodzić ludzi nie obeznani z techniką. Koczownicy mieli co prawda trochę kłopotu z powodu rozmiarów konwertora, który trzeba było transportować między dwoma jucznymi zwierzętami. Mimo to ich wódz przyjął maszynę z entuzjazmem, niczym cudowny dar od któregoś z opiekuńczych bożków.

Szperając ostatnio w magazynach handlujących sprzętem pozostałym po wyprawach badawczych, znalazłem podobną maszynę, tylko dwa razy mniejszą. Co prawda stać mnie było tylko na zakup dwóch egzemplarzy, liczyłem jednak, że w pełni pokryją koszt całej wyprawy.

Znałem się na zoranach i wiedziałem, gdzie można je dobrze sprzedać. Były to dość niezwykle kamienie, pochodzenia raczej organicznego niż mineralnego. W zamierzchłych czasach bardzo wilgotny klimat Lorgalu pozwalał bujnie krzewić się rozmaitej roślinności; później warunki zmieniły się radykalnie po serii wybuchów wulkanicznych. Gazy zatrwały większość roślin, a następnie zielona miazga, zamknięta w skorupie planety, została poddana ogromnemu ciśnieniu. Połączone działanie gazów i ciśnienia spowodowało z kolei procesy, których rezultatem było powstawanie zoranów.

Wydobywano je zwykle w postaci skamieniałego kobierca ze zgniecionych liści albo gałęzi pokrytej korą, niekiedy — jeśli miało się szczęście — razem z przyklejonym, skryształizowanym owadem. Jednak umiejętnie obrobione i oszlifowane, nabierały niezwykłych kolorów; trafiały się kamienie purpurowe, zielononiebieskie ze złotymi lub srebrnymi żyłkami, a niektóre — zapewne pochodzące od innych roślin — miały żółtą barwę i były pokryte lśniącymi brązowymi plamkami.

Koczownicy stale poszukiwali zoranów, które przed przybyciem pierwszych kupców z innych planet służyły im do wyrobu grotów. Wyostrzone jak igła zoranowe ostrze włócznie pozostawało w ciele ofiary i powodując gnicie, doprowadzało do śmierci, nawet jeśli rana była tylko powierzchowna.

Pierwszej obróbki tych kamieni dokonywano zawsze w rękawiczkach, ponieważ przecięcie zewnętrznej warstwy uwalniało zamkniętą w nich truciznę. Po wypolerowaniu klejnotom można było bez trudu nadać dowolny kształt; robiono to, zwykle poddając zorany działaniu wysokich temperatur, co było skuteczniejszą metodą niż zwykle szlifowanie. Potem kamienie zamrażano, a kiedy stwardniały, żadna obróbka nie była już możliwa. Proces ten, choć skomplikowany i czasochłonny, przynosił jednak doskonałe efekty; klejnoty takie były piękne i bardzo poszukiwane. Zresztą, nawet zorany w stanie surowym osiągały doskonałe ceny.

Dlatego właśnie zdecydowałem się na Lorgal. Stamtąd udalibyśmy się na Rakipur, gdzie nieszlifowane kamienie można było sprzedać kapłanom Manksphera. Na Rakipurze chciałem kupić perły wytwarzane przez małże lonneksa, na Rohanie — szafiry z odmiany kaberonów albo... Ale to już były zbyt dalekosiężne plany. Z własnego doświadczenia wiedziałem, że handel międzygalaktyczny jest loterią i najlepiej jest koncentrować się na najbliższej przyszłości.

Eet co jakiś czas zaglądał do pomieszczenia, w którym przeglądałem taśmy. Niekiedy siadał na stole, przypatrując się którejś z widocznym zainteresowaniem, innym razem związał się w kłębek i zasypiał. W końcu wstąpił do mnie i Ryzk, który najwidoczniej cierpiał na brak zajęcia. Jego początkowa obojętność szybko ustąpiła żywemu zainteresowaniu.

— Rohan... — zaczął, kiedy zapoznawałem się z informacjami Vondara o tej planecie — Thax Thorman zdobył tam licencję kupiecką w 3949 roku. Zrobił wtedy niezły interes, ale nie na szafirach. Kupował mszysty jedwab. To było, zanim epidemia trinks wypłoszyła stamtąd statki kupieckie. Nigdy nie dowiedzieli się na pewno, co spowodowało zarazę, chociaż Thorman miał pewne podejrzenia.

— Jakie? — zapytałem, widząc, że nie zamierza kontynuować bez zachęty z mojej strony.

— No, to były czasy, kiedy wielkie koncerty starały się utrudnić życie Wolnym Ludziom — użył określenia, które stosowali wobec siebie sami Wolni Kupcy. — Stosowano wtedy różne sztuczki. Thorman i pięciu naszych założyli spółkę, żeby przelicytować końcem Bendix i zdobyć prawo handlu na Rohanie. Aukcja była tak zorganizowana, żeby wygrał ją Bendix, ale nagle pojawił się arbiter z Inspekcji i licytator nie mógł nic namieszać w komputerze. Tak więc oferta koncernu została odrzucona i Thorman dostał licencję. To była dla niego wielka szansa. Ludzie z Bendiksa doskonale wiedzieli, co jest na tej planecie, a Thax nie. Zaryzykował, widząc, że koncern interesuje się tym rejonem. Tak więc on i jego pięciu wspólników spędziło tam cztery bardzo owocne lata, póki nie pojawił się trinks. Zmarło

wówczas trzech kapitanów statków. Byli głupi, opłacili prawa handlowe za dwa lata z góry. Ale Thorman nigdy nie ufał Bendiksowi i spodziewał się czegoś takiego. Oczywiście, nikomu nie można było niczego udowodnić. Teraz, kiedy Wolni Ludzie mają własną konfederację, koncerty nie mogą już płać takich figli. Widziałem już tamtejsze szafiry. Chyba dość trudno je znaleźć, prawda?

— Byłoby łatwiej, gdybyśmy wiedzieli, skąd pochodzą. Pojedyncze sztuki znajduje się w żwirze, przynoszonym wiosną przez północne rzeki. Wielu poszukiwaczy usiłowało pokonać Pasma Noża, aby zbadać błękitne jaskinie, które muszą się tam znajdować. O większości z tych ludzi słuch zaginął. To zakazana kraina.

— Lepiej kupować szafiry niż ich szukać, co?

— Czasami. Niekiedy wprost przeciwnie. Nasz zawód też ma swoje ciemne strony. — Byłem odrobinę poirytowany lekceważeniem, które wyczułem w jego głosie. Ale Ryzk już zmienił temat rozmowy.

— Kiedy pojawi się żółty sygnał, wyjdziemy z nadprzestrzeni. Gdzie chcesz wylądować, na wschodnim czy na zachodnim kontynencie?

— Na wschodnim. Tak blisko Czarnej Rzeki, jak to tylko możliwe. Zapewne wiesz, że nie ma tam prawdziwego portu.

— Od mojego pobytu na Lorgalu upłynęło sporo czasu. Wiele rzeczy mogło się zmienić, niewykluczone nawet, że założono tam port. O, rejon Czarnej Rzeki. — Spojrzał na ścianę, jak gdyby zobaczył tam wideomapę. — Wylądujemy w Wielkim Kotle, o ile jeszcze istnieje.

Wielki Kocioł, jedno z najlepiej poznanych miejsc na planecie, był gigantycznym kraterem dawno wygasłego wulkanu. W miarę płaskie i równe dno krateru pełniło funkcję prowizorycznego lądowiska. Chociaż w czasie pierwszej wizyty na Lorgalu ominąłem to miejsce, słyszałem o nim wystarczająco dużo, by stwierdzić, że Ryzk dokonał najlepszego możliwego wyboru.

Wielki Kocioł położony był na uboczu, z dala od głównych szlaków wędrówek nomadów, wiodących wzdłuż koryta częściowo wyschniętej Czarnej Rzeki. Na szczęście w rufowej ładowni naszego statku znajdował się jednoosobowy ścigacz, dzięki któremu powinienem bez trudu znaleźć najbliższe obozowisko. Nikt, poza tubylcami, nie mógłby przejść pieszo przez tę jałową i wyniszczoną ziemię.

Spojrzałem na tarczę czasomierza. Była niebieska, co oznaczało, że wkrótce zmieni kolor na żółty. Ryzk wstał i przeciągnął się.

— Kiedy już wyjdziemy z nadprzestrzeni, wejście na orbitę Lorgalu zajmie nam tyle czasu, ile potrzeba na cztery zmiany kolorów. Zanim nastąpi piąta zmiana, powinniśmy już być na planecie, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Jak długo chcesz tam pozostać?

— Trudno powiedzieć. Muszę znaleźć jakieś plemię i rozmówić się z nim przy ogniu narad. Pięć dni, dziesięć, może dwa tygodnie...

Skrzywił się.

— Trochę za długo jak na Lorgal. Ale to ty jesteś właścicielem statku i ty decydujesz. Mam tylko nadzieję, że uda ci się to szybko załatwić.

Wyszedł i wspiął się po schodkach do sterowni. Spakowałem taśmy i projektor. Oczywiście ja również chciałem jak najprędzej się stąd wynieść, choć wiedziałem, że kiedy tylko zacznę handlować, jak zwykle poświęcę się temu zajęciu bez reszty. Jednak na Lorgalu nie warto było tracić zbyt wiele czasu. Podróż tutaj miała być tylko środkiem do osiągnięcia celu, który ledwie majaczył gdzieś w oddali.

Wszedłem do sterowni, niemal depcząc po piętach Ryzkowi, i podobnie jak on usiadłem w fotelu. Nie mogłem mu w niczym pomóc, ale chciałem obejrzeć na ekranie moment lądowania. To było moje pierwsze prawdziwe przedsięwzięcie i odniesiony tu sukces — podobnie jak porażka — mogły znaczyć bardzo wiele. Niewykluczone, że Eet był równie niespokojny jak ja, bo chociaż przycupnął w swej ulubionej pozycji na moim ramieniu, w żaden sposób nie mogłem odczytać jego myśli.

Wyskoczyliśmy z nadprzestrzeni i natychmiast okazało się, że Ryzk nie zawiódł pokładanych w nim nadziei; widoczna na ekranie żółta kula bez wątplenia była planetą Lorgal. Pilot nie włączył automatycznego sterowania, lecz własnoręcznie wciskał guziki na pulpicie sterowniczym, wyznaczając kurs i wprowadzając nas na orbitę złocistej planety.

Wchodząc w atmosferę, zobaczyliśmy wyraźnie jej kontury. Widzieliśmy brzegi dawnych, rozległych mórz, które teraz były tylko niewielkimi bajorami wypełnionymi słoną wodą. Brzegi szelfu kontynentalnego wyznaczały granice ogromnych płaskowyży, wznoszących się wysoko ponad powierzchnią niemal całkiem wyschniętych mórz. Wkrótce mogliśmy już rozróżnić łańcuchy gór wulkanicznych, dolinę rzeczną wypełnioną lawą i inne szczegóły krajobrazu.

W końcu ukazał się Wielki Kocioł przypominający nieco ślad po ospie. Kiedy jednak wycelowaliśmy dysze hamulcowe w ten punkt orientacyjny, mający nam zapewnić bezpieczne lądowanie, moją uwagę zwrócił jakiś inny obiekt.

Po wylądowaniu przez krótką, lecz pełną napięcia chwilę czekaliśmy, aby przekonać się, czy statek rzeczywiście osiadł na gruncie wszystkimi trzema statecznikami. Nie zauważyliśmy jednak, żeby kabina przechylała się pod jakimś dziwnym kątem. Ryzk włączył odpowiedni przycisk i ekran zaczął przekazywać obraz z obrotowej kamery, umożliwiając nam rozglądanie się po okolicy. Sekundę później stwierdziłem, że nie jesteśmy sami w Wielkim Kotle.

Nieopodal stał inny statek, bez wątplenia również należący do kupca. Zapowiadało to zażartą rywalizację, gdyż na Lorgalu zorany były jedynym towarem wartym zachodu, a roczny urobek jednego plemienia nie mógł wystarczyć dla dwóch handlarzy. Zwłaszcza, jeśli któryś z nich potrzebował naprawdę dużego zysku, żeby przetrwać. Zastanawiałem się tylko, który z dawnych rywali Vondara siedział teraz przy ognisku narad i jakie sprzedawał towary.

Pozostała mi jedynie wąła nadzieja, że ten drugi nie ma zmniejszonych konwertorów. W takim wypadku mógłbym przebić jego ofertę.

— Mamy towarzystwo — stwierdził Ryzk — to chyba będzie dla ciebie spory kłopot?

Tym pytaniem dał jasno do zrozumienia, że nie uważa się za mojego współnika w tym przedsięwzięciu. Ewentualna porażka jego nie dotyczyła, był tylko pracownikiem i oczekiwał, że mu zapłacę, nawet gdybym musiał w tym celu sprzedać statek.

— Zobaczmy — to była jedyna odpowiedź, jakiej mogłem udzielić. Odpiąłem pasy i poszedłem do ścigacza, dzięki któremu spodziewałem się odnaleźć obóz koczowników.

Rozdział piąty

Moja przewaga polegała na tym, że znałem już Lorgal. W czasie poprzedniej wizyty cały ciężar prowadzenia spraw handlowych spoczywał na Vondarze, a ja występowałem jedynie w roli obserwatora; teraz powodzenie naszej wyprawy zależało od tego, czy dobrze zapamiętałem poczynione wówczas spostrzeżenia. Koczownicy należeli do rasy ludzkiej, ale nie pochodzili od Terran, tak więc w kontaktach z nimi trzeba było stosować techniki X-Tee. Nawet mieszkający na różnych planetach Terranie i potomkowie terrańskich kolonistów nieraz nie potrafili się porozumieć w kwestiach semantyki, zwyczajów czy zasad moralnych. Mając do czynienia z ludem tak całkowicie odmiennym, należało się spodziewać jeszcze większych kłopotów.

Mały konwertor, który uważałem za swój najatrakcyjniejszy towar, zmieścił się w tylnym bagażniku ścigacza. Zapakowałem również podręczny translator głosowy, zapasy wody i racji żywnościowych w ten sposób, aby stale mieć to wszystko w zasięgu ręki. Eet, zwinięty w kłębek, już czekał na mnie w kokpicie.

— Powodzenia. — Ryzk stanął obok, gotów w każdej chwili otworzyć luk. — Wysyłaj bez przerwy fale kontaktowe.

— O tym na pewno nie zapomnę! — obiecałem. Normalnie niewiele mieliśmy ze sobą wspólnego prócz tego, że podróżowaliśmy na jednym statku, ale teraz byliśmy przede wszystkim dwiema istotami tego samego gatunku, przebywającymi w zupełnie obcym świecie i ta sytuacja wytworzyła między nami silną, choć krótkotrwałą więź.

Ryzk miał obserwować mnie na monitorze przez cały czas, kiedy przebywałem poza statkiem. Wiedziałem, że jeśli któremuś z nas przytrafiłoby się nieszczęście, wówczas ten drugi zrobiłby wszystko, by mu pomóc. Był to odwieczny kodeks raketowy i planetarny, kodeks, którego nie zarejestrowano na żadnej taśmie, ale który obowiązywał od chwili, gdy pierwsza istota naszego gatunku wyruszyła w przestrzeń kosmiczną.

Z poprzedniego pobytu na Lorgalu pamiętałem pewne miejsce, często odwiedzane przez nomadów. Była to głęboka niecka na dnie koryta rzecznego, regularnie rozgrzebywana przez koczowników w poszukiwaniu wody, przy czym istotnie, na samym dnie zawsze zbierało się

odrobinę wilgoci. Postanowiłem lecieć właśnie tam. Kierunek wskazywały mi dwa wulkaniczne stożki.

Krajobraz oglądany z pokładu ścigacza był ponurą płataniną poszarpanych pasm górskich, ostrych jak nóż skalnych wieżyc i głębokich jaskiń. Sądziłem, że nawet koczownicy nie zdołaliby przejść przez tę krainę. Oni zresztą nigdy nie oddalali się zbytnio od koryta dawnej rzeki, gdzie mieli przynajmniej wątłą nadzieję na znalezienie wody.

Podczas gdy większość skał wokół Wielkiego Kotła miała kolor żółty lub czerwono-brązowy, tutaj wznosiły się szare bloki, gęsto usiane plamami błyszczącej, szklistej czerni. Wylądowaliśmy rankiem i w tej chwili słoneczne promienie odbijały się od tych świecących powierzchni, zamieniając je w prawdziwe fontanny blasku. Czarnych skał było coraz więcej, w miarę jak ścigacz zbliżał się do Czarnej Rzeki, gdzie nawet piasek miał ten ponury kolor.

Gdzieniedzie widać było dziury z wodą, otoczone hałdami czerwonego mułu, ostro kontrastującymi z ciemnym tłem. Muł ten od dawna pracowicie wykopywali koczownicy i nieliczne żyjące tu zwierzęta. Właśnie na tych czerwonych hałdach, skupione u brzegów małych błotnistych kałuż, rosły nieliczne karłowate rośliny — jedyny przejaw działalności rolniczej nomadów.

Przechowywali oni pojedyncze ziarna, w czasie wędrówek zawsze nosząc je przy sobie jak najcenniejszy skarb — jak gdzie indziej inne rasy pieczołowicie przechowywały drogie kamienie i metale — i wtykając w ziemię przy każdej świeżo wykopanej jamie z wodą. Kiedy po kilku tygodniach lub miesiącach wracali w to samo miejsce, przy odrobinie szczęścia znajdowali tam już skromny plon.

Obniżyłem lot, aby przyjrzeć się dwóm pierwszym dziurom. Sądząc z rozmiarów wątych krzewów, Lorgalanie jeszcze tu nie dotarli. Oznaczało to, że będę musiał polecieć jeszcze dalej na wschód, aby odnaleźć ich obóz.

Startując z Wielkiego Kotła, nie zauważyłem żadnego znaku życia wokół obcego statku. Również po drodze nie napotkałem śladów niczyjej obecności. Jednak luk transportowy tamtej rakiety był otwarty i mogło to oznaczać, że już przegrałem swój wyścig z czasem.

Minąwszy zakręt rzeki, zobaczyłem kilka namiotów rozbitych nad brzegiem. Zauważyłem wśród nich jakiś ruch i zmniejszyłem maksymalnie prędkość, jednak szykując się do lądowania, wiedziałem już, że przybyłem za późno. Okutani w płaszcze i zakapturzeni tubylcy krążyli rytmicznym krokiem wokół namiotów, wymachując długimi biczami. Trzaskanie z biczów miało odstraszyć „demony, zamieszkujące, zdaniem koczowników, nicość rozciągającą się poza obrębem obozu. Przepłoszenie demonów było niezbędnym warunkiem odprawienia każdego obrzędu lub zawarcia ważnej transakcji.

Potem dostrzegłem drugi ścigacz. Nie miał firmowego logo, a więc nie groziło mi, że wejdem w parady pracownikowi któregoś z wielkich koncernów. Oczywiście nie spodziewałem się tu kogoś takiego, gdyż ewentualne zyski z tego typu przedsięwzięć były zbyt małe. Nie, człowiek, który chciał handlować z koczownikami musiał być wolnym strzelcem, jak ja.

Wylądowałem daleko od tamtego pojazdu. Teraz mogłem już usłyszeć przenikliwe, niemal przechodzące w skowyt zawrodoznie zaklinaczy demonów. Z Eetem na ramieniu wyszedłem na zewnątrz. Słońce świeciło tak mocno, że moje okulary nie dawały prawie żadnej osłony przed jego oślepiającym blaskiem. Otoczyło mnie suche, ostre powietrze, które zdawało się wbijać w skórę tysiącem niewidocznych, ale bardzo dokuczliwych ziarenek piasku. Nic dziwnego, że tubylcy nosili długie płaszcze, kaptury i maski okrywające dolną część twarzy.

Kiedy zbliżyłem się do kręgu zaklinaczy, dwa bicze pofrunęły w moim kierunku i z trzaskiem przecięły powietrze tuż obok mnie. Nie zareagowałem. Znałem na tyle dobrze obyczaje nomadów, by wiedzieć, co ten gest oznacza. Gdybym okazał zdziwienie lub, co gorsza, cofnął się, zostałbym uznany za demona w ludzkiej skórze i zasypany gradem włóczni.

Tubylcy, których mijalem, nie okazywali mi żadnego zainteresowania; byli całkowicie pochłonięci swym ważnym zajęciem. Przeszedłem między dwoma zasznurowanymi namiotami i skierowałem się w stronę pustego placu. Trwało tam zgromadzenie, nad którego bezpieczeństwem czuwali biczownicy.

Ujrzałem gromadę koczowników, oczywiście, wyłącznie mężczyzn, szczelnie okutanych w swoje płaszcze, i tylko widoczne szparki oczu wskazywały, że są to ludzie, a nie puste okrycia z lakisowej wełny. Obok zauważyłem także same lakisy, niezgrabne stwory o tłustych cielskach, w których w razie potrzeby potrafiły zmagazynować zapasy żywności i wody na wiele dni. Długie nogi tych stworzeń były zakończone szerokimi, ułatwiającymi poruszanie się po piasku kopytami. W tej chwili kopyt nie można było zobaczyć, gdyż zwierzęta ułożyły się na ziemi, chroniąc swych właścicieli przed wiatrem. Stworzenia leżące obok siebie opierały grube szyje na cielskach sąsiadów. Obserwując nieproporcjonalnie małe głowy lakisów, stwierdziłem, że wszystkie miały zamknięte oczy, jak gdyby były pogrążone w głębokim śnie.

Przed gromadą tubylców stał człowiek w kombinezonie i hełmie, najwyraźniej należący do tej samej rasy, co ja. U jego stóp leżało kilka pakunków. Wykonywał właśnie cztery powitalne gesty ze swobodą świadczącą o tym, że musiał wcześniej odwiedzać to miejsce albo dokładnie przestudiować taśmy informacyjne.

Wódz plemienia, podobnie jak jego podwładni szczelnie owinięty płaszczem, nie pozwalającym dostrzec rysów twarzy, wyróżniał się spośród pozostałych nomadów jedynie symbolem władzy — wydatnym sztucznym brzuchem. Brzuch zrobiony z kilku warstw materiału znakomicie chronił przed zdradzieckim atakiem (stanowisko wodza u Lorgalian nie było dziedziczne i należało zawsze do najbieglejszego we władaniu bronią), przede wszystkim jednak stanowił oznakę bogactwa i powodzenia, zapewniał właścicielowi prestiż i poważanie.

Nie wiedziałem nawet, czy trafiłem na to samo plemię, z którym handlował Vondar. Trudno było liczyć na tak szczęśliwy zbieg okoliczności. W każdym razie na pewno dotarła tu wieść o cudownej maszynie, którą przywiózł i tutejsi ludzie chętnie zaopatrzą się w taki egzemplarz.

Wszedłszy na plac zgromadzeń, stanąłem za plecami rywala. Koczownicy na mój widok nawet nie drgnęli. Zapewne uważali mnie za pomocnika tamtego. Sądzę, że obcy nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności aż do chwili, gdy wystąpiłem naprzód i stanąłem u jego boku. Podniosłem ręce i sam zacząłem wykonywać powitalne gesty, dając do zrozumienia, że drugi kupiec nie mówił w moim imieniu i że nie mam z nim nic wspólnego.

Odwrócił głowę i zobaczyłem znajomą twarz — Ivor Akki! Nie mógł się równać z Vondarem, w ogóle mało kto mógł się z nim równać.

Jednak nie był to przeciwnik, z którym miałbym ochotę się, zmierzyć na samym początku samodzielnej kariery. Przez chwilę patrzył na mnie uważnie, a potem wyszczerzył zęby. Najwyraźniej uznał, że nie jestem w stanie mu zagrozić. Kiedyś staliśmy naprzeciw siebie przez kilka godzin podczas aukcji prowadzonej przez Salarika, ale wówczas byłem tylko obserwatorem, a Vondar pokonał go bez trudu.

Jednym krótkim spojrzeniem oceniwszy przeciwnika, Akki dalej wykonywał rytualne gesty. Ja również przestałem zwracać na niego uwagę. Obaj wymachiwaliśmy rękami, wskazywaliśmy pomoc, południe, wschód i zachód, tarczę słoneczną, a także piasek pod naszymi stopami. Rysowaliśmy palcami w powietrzu symbole przedstawiające trzy demony: lakisa, nomada, namiot. Zgodnie z lokalnym zwyczajem dawaliśmy w ten sposób do zrozumienia, że jesteśmy bogobojnymi, uczciwymi ludźmi i przybyliśmy tu w celach handlowych.

Zgodnie z prawem Akki miał jako pierwszy spróbować szczęścia, gdyż pojawił się tu przede mną. Czekałem więc, patrząc, jak stawia przed sobą kolejne skrzynki i otwiera je, demonstrując zawartość. Były tam zwyczajowe drobiazgi: krzykliwa sztuczna biżuteria, kilka pucharów, efektownie wyglądających, lecz w rzeczywistości zrobionych z plastiku, i garść pochodni słonecznych. Te rzeczy pełniły funkcję okolicznościowych podarunków, przeznaczonych dla naczelnika klanu. Widząc, że nie ma tu niczego nadzwyczajnego” poczułem lekką ulgę.

Taki dobór towarów dowodził, że nie była to któraś z rzędu wizyta Akkiego na Lorgalu. Jeśli przyleciał tu po raz pierwszy, mógł nie wiedzieć o sukcesie, jaki Vondar odniósł dzięki konwertorowi. Mogłem jeszcze z nim wygrać. Naprawdę miałem wyjątkowe szczęście. Przyglądając się małemu proporczykowi, trzepoczącemu nad namiotem wodza, stwierdziłem, że istotnie trafiłem do obozu, w którym handlował Vondar. A zatem wystarczyło tylko powiedzieć im, że przywiozłem taką samą maszynę, tylko znacznie łatwiejszą do przewozu, i miałem szansę zgarnąć wszystkie zorany dla siebie.

Jednak chwilowe uczucie triumfu minęło bez śladu, kiedy Akki otworzył ostatnią skrzynkę i wyciągnął znajomy przedmiot, którego nie spodziewałem się u niego zobaczyć.

To był konwertor, ale nowego typu, znacznie mniejszy i poręczniejszy od tego, który znalazłem w sklepie dla podróżników. Teraz mogłem już tylko żywić nadzieję, że Akki ma tylko jeden egzemplarz i oferując dwa zdołam poważnie zmniejszyć jego zysk.

Ivor zbliżył się z konwertorem do milczących, nieruchomych koczowników i czekał.

Spod płaszcza wodza wysunęła się włochata dłoń o brudnych paznokciach. Dłoń ta uczyniła gest i jeden z nomadów, wysunąwszy się naprzód, rozwinął szeroki pas lakisowej skóry, do którego przytwierdzono liczne pętle. W każdej pętli tkwił kawał zoranu. Na ten widok z trudem zachowałem obojętny wyraz twarzy. Cztery surowe bryły należały do odmiany krystalicznej, w każdej z nich tkwił skamieniały owad. Nigdy nie widziałem tylu pięknych okazów naraz. Vondar zdobył kiedyś dwa takie kamienie i kiedy dowiedziałem się, ile są warte w cywilizowanym świecie, wprost nie mogłem w to uwierzyć. Cztery... mając je nie musiałbym przejmować się kłopotami z utrzymaniem statku co najmniej przez rok. Kontynuowanie podróży handlowej stałoby się zbyteczne, moglibyśmy od razu wyruszyć na poszukiwanie kamieni nicości.

Niestety, adresatem tej oferty był Akki i doskonale wiedziałem, że żaden z klejnotów nigdy nie stanie się moją własnością.

Ivor oczywiście zastanawiał się i udawał wahanie — to również należało do obyczaju. W końcu podjął decyzję, zabierając wszystkie bryły z owadami i trzy odłamki o purpurowym odcieniu, nadające się do obróbki dzięki dużym rozmiarom. To co pozostawił, wyglądało nieszczęśliwie.

Potem podniósł głowę i znowu posłał mi uśmiech, pakując swój skarb do torby podróźnej. Dwukrotnie poklepał konwertor i musnął ręką pozostałe towary, dając tym gestem do zrozumienia, że zrzeka się w stosunku do nich prawa własności.

— Cholerny pech, co? — rzucił w języku międzygalaktycznym. — Ale chyba prześladuje cię od dłuższego czasu, nieprawdaż, Jern? I ty chciałbyś być godnym następcą Ustle'a... — pokręcił głową.

— Powodzenia — powiedziałem uprzejmie, choć w gruncie rzeczy chętnie dałbym upust rozczarowaniu i frustracji. — Powodzenia, pomyślnego startu i obyś sprzedał swój towar z zyskiem. — Zdobyłem się na tradycyjne kupieckie pożegnanie.

On jednak nie odszedł. Zamiast tego wykonał obraźliwy gest, który w lorgaliańskim języku migowym oznaczał, że przedstawia mnie koczownikom jako swojego ucznia. To również musiałem przełknąć, nie mogąc rozpoczynać kłótni w obrębie obozu. Mój wybuch gniewu byłby nieomylnym znakiem, że w pobliżu przebywa diabeł, a to z kolei spowodowałoby obłożenie klątwą wszystkich towarów. Kusiło mnie, żeby do tego doprowadzić. Chętnie obejrzałbym, jak nomadowie rozbijają w drobny mak podarunki Akkiego, nie oszczędzając również zoranów. Jednak po krótkich wewnętrznych zmaganiach

oparłem się pokusie. Ivor zwyciężył, walcząc zgodnie z zasadami, więc nie chciałem okazać się małoduszny, stosując tego typu metody. Nie mówiąc już o tym, że takim postępkim raz na zawsze zamknąłbym drogę do handlu z Iorgalianami nie tylko sobie, ale i innym przybyszom z zewnątrz.

Mogłem zaryzykować i spróbować znaleźć w tej dzicy jakieś inne plemię. Jednak najpierw musiałbym w jakiś dyplomatyczny sposób wykręcić się od handlowania w tym obozie, a nie bardzo wiedziałem, jak to zrobić. Bałem się popełnić jakieś niewybaczalne wykroczenie przeciwko miejscowym zwyczajom. Nie, nie miałem innego wyjścia, trzeba było wziąć to, czym wzgardził Akki.

Koczownicy czekali i zapewne niecierpliwiili się. Zacząłem przemawiać językiem znaków, wspomagany przez chrapliwe, gardłowe dźwięki Iorgaliańskiej mowy, dobywające się z translatora.

— To — wskazałem konwertor — mam taki... większy... w brzuchu powietrznego lakisa.

Teraz, kiedy już przedstawiłem swoją ofertę, nie mogłem się wycofać bez utraty twarzy. W głębi serca zdawałem sobie sprawę z nieudolności swoich dotychczasowych poczynań. Widząc ścigacz Akkiego, nie powinienem w ogóle wchodzić do obozowiska, tylko od razu zacząć szukać innego klanu. Ale pospieszyłem się, wierząc w wyjątkowość swojej oferty, i poniosłem klęskę.

Włochata ręka wodza wykonała kolejny ruch i dwóch owiniętych w płaszcze wojowników wstało, aby towarzyszyć mi w drodze do ścigacza. Obaj wymachiwali biczami, kiedy wychodziliśmy z kręgu zaklinaczy demonów. Wyjąłem ciężką skrzynkę z bagażnika i poniosłem ją w stronę obozowiska. Pomagali mi w tym obaj koczownicy — jeden podtrzymywał skrzynkę, a drugi chronił nas przed demonami.

Postawiliśmy maszynę przed wodzem. Oba konwertory znalazły się obok siebie i różnica była doskonale widoczna. Urządziłem mały pokaz, mający dowiedzieć, że moje urządzenie również funkcjonuje, i czekałem na decyzję wodza.

Ten znów wykonał odpowiedni gest i jeden z moich pomocników zmusił do powstania najbliższego lakisa. Zwierzę stanęło, bulgocząc żałośnie i wydając z siebie gardłowe chrząknięcia na znak protestu. Potem stwór ruszył żółwym krokiem w naszym kierunku; krok ten sprawiał wrażenie niezdarne, ale wiedziałem, że lakis potrafi utrzymać niezmiennie tempo marszu podczas długich dni wędrówki po tej jałowej ziemi.

Kopniak w kolano zmusił zwierzę do przyklęknięcia obok skrzynek. Potem nastąpiła demonstracja, która jasno wykazała wyższość maszyny Akkiego. Jego konwertor bez trudu mieścił się w uprząży zawieszanej na jednym boku lakisa i ważył tak niewiele, że z drugiej strony można było zawiesić inny pakunek. Tymczasem zwierzę obciążone moim konwertorem nie mogło już udźwignąć niczego innego.

Wódz poruszył palcami i pokazano mi kolejny pas skóry. Najwidoczniej nie miałem racji, sądząc, że dostanę tylko resztki po Akkim. Przyjemne zdziwienie trwało jednak tylko chwilę, dopóki skóra nie została rozwinięta.

W pętłach tkwiła duża ilość zoranów. Jednak żaden nie mógł się równać z tymi, które zademonstrowano Ivorowi. Nie pozwolono mi nawet wybierać spośród odrzuconych przez niego kamieni. Musiałem wziąć to, co mi zaoferowali, albo wracać na statek z pustymi rękami i świadomością, że ten etap podróży nie przyniósł żadnych zysków. Tak więc postanowiłem wybrać mniejsze zło i zacząłem oglądać kamienie. Oczywiście nie było wśród nich ani jednego z owadem w środku, zauważyłem też tylko dwa cenne żółte okazy. Część niebieskich zoranów miała różne wady i musiałem dokładnie sprawdzać każdą sztukę. W końcu jednak okazało się, że to, co zebrałem, ledwie starczy na pokrycie kosztów podróży.

Wciąż miałem drugi konwertor i mogłem poszukać innego plemienia. Ożywiony tą słabą nadzieją, dobiłem targu i zabrałem się do pakowania zdobyczy, bardzo mizernej w porównaniu z tym, co kupił Akki.

Ten ostatni wciąż szczyrzył zęby, patrząc jak wstaję z pakunkiem w ręku i wykonuję pożegnalne gesty. Przez cały czas wizyty w obozie Eet pozostawał bierny, jak gdyby rzeczywiście był kawałkiem futra owiniętym wokół mojej szyi. Dopiero teraz, kiedy pokonany opuszczałem obozowisko, zwróciłem uwagę, że ani razu nie próbował wziąć udziału w grze. Przyszło mi do głowy, że być może uzależniłem się całkowicie od jego pomocy. Czy rzeczywiście nie potrafiłem sam zadbać o własne sprawy? Ta myśl zupełnie wytrąciła mnie z równowagi. Kiedyś zdawałem się we wszystkim na mojego ojca, wierząc w jego mądrość i doświadczenie. Potem pojawił się człowiek o ogromnej wiedzy — Vondar i z chęcią przystałem na to, żeby podejmował ważne decyzje za nas obu. Kiedy i ta więź uległa zerwaniu — w tragicznych zresztą okolicznościach — niemal natychmiast Eet przejął funkcję mojego opiekuna. Najwyraźniej nie byłem w pełni mężczyzną, skoro nieustannie potrzebowałem czyjejś silniejszej woli, która by mnie prowadziła i sprawniejszego od mojego umysłu, dyktującego mi właściwe posunięcia.

Mogłem się poddać i pozwolić, aby Eet nadal pociągał za wszystkie sznurki. Ale mogłem również iść własną drogą, popełniać błędy i wyciągać z nich wnioski, traktując Eeta jak współnika, a nie mistrza. Decyzja w tej sprawie należała do mnie i być może Eet świadomie powstrzymał się od działania, aby zmusić mnie do dokonania wyboru. Niewykluczone, że chciał również pokazać mi, jak bardzo potrzebuję jego pomocy.

— Powodzenia, pomyślnego startu... — Akki szyderczo powtórzył moje słowa sprzed paru minut. — Co teraz, Jern? Perły z Manxpheru? Chcesz się założyć, że i tam zgarne najlepsze sztuki?

Roześmiał się i nie czekając na odpowiedź, ruszył w kierunku swojego pojazdu. Wiedział, że jakakolwiek buńczuczna riposta z mojej strony nie wchodzi w grę.

Usadowiłem się w ścigaczu, zwlekając jednak ze startem. Musiałem wiedzieć, w jakim kierunku zmierza. Jeśli również chciał odwiedzić jakiś inny obóz, to wołałem się upewnić, że nie będzie mi deptał po piętach. Co prawda, mógł mnie i tak obserwować za pomocą skanera.

Włączyłem komunikator i wezwałem Ryzka.

— Wracam. — Nie powiedziałem nic więcej. Komunikatory ścigaczy nadawały na tych samych częstotliwościach i Akki mógł słyszeć wszystko, co mówiłem.

Nie próbowałem również porozumieć się z Eetem, postanowiłem bowiem samemu rozwiązywać swoje problemy.

Natychmiast po starcie zorientowałem się, że nie będę miał łatwego zadania. Niebo nabrało dziwnej, zielonożółtej barwy, a z ziemi podniosły się wirujące tumany piasku. Chwilę później odniosłem wrażenie, że sklepienie niebieskie nad nami eksplodowało i ścigacz został porwany przez nagły podmuch wiatru, zbyt potężnego, aby mały silnik mógł mu się oprzeć.

Przez chwilę lecieliśmy razem z powietrznym wirem. Bałem się, gdyż ścigacz nie był przeznaczony do lotów na dużych wysokościach, a oprócz tego groziło nam, że wiatr rzuci pojazd na jakąś ścianę skalną. Nie mogłem jednak nic na to poradzić, więc starałem się tylko równoważyć gwałtowniejsze przechyły maszyny.

Wichura niosła nas na południowy wschód, nad równinę, która kiedyś była dnem morza. Zdawałem sobie sprawę, że nawet jeśli uda nam się powrócić do „Wendwinda”, to i tak nie mamy szans na znalezienie innego koczowniczego klanu. Burza musiała ich zagnać do kryjówek i moglibyśmy spędzić całe tygodnie na bezowocnych poszukiwaniach. Na szczęście po wielu wysiłkach udało mi się doprowadzić ścigacz do Wielkiego Kotła. Kiedy w końcu wleciałem w luk bagażowy, opadłem bezwładnie na stery i niemal straciłem przytomność. Ocknąłem się dopiero w mesie, gdy Ryzk wcisnął mi w rękę kubek karu.

— Musimy uciekać z tej cholernej dziury. — Pilot bębnił palcami w krawędź stołu. — Nasze instrumenty wskazują, że znajdujemy się tuż nad czynnym wulkanem. Jeśli natychmiast nie wystartujemy, statek wyleci w powietrze.

Nie do końca rozumiałem, o co mu chodzi. Dopiero gdy znaleźliśmy się w przestrzeni kosmicznej, udzielił mi krótkich wyjaśnień. Sprawdzając wskazania przyrządów pomiarowych, zauważył czerwony sygnał oznaczający niebezpieczeństwo w rejonie Wielkiego Kotła. Obawiał się, że będzie musiał wystartować, nie czekając na mój powrót. To, że zdążyłem niemal w ostatniej chwili, uważał za wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności.

Ja jednak nie czułem się szczęściarzem, gdyż niebezpieczeństwo minęło, zanim zdałem sobie z niego sprawę. Natomiast bardzo wyraźnie uświadamiałem sobie rozmiar porażki. Musiałem opracować jakiś lepszy plan działania. W przeciwnym razie nie było sensu ruszać się z Theby.

Akki wspomniał o perłach z Manxpheru, co mogło oznaczać, że trasa jego podróży pokrywa się z moją. Mogło, chociaż nie musiało. Rozłożyłem przed sobą mizerny plon ostatniej transakcji i zagłębiłem się w gorączkowych rozmyślaniach. Chępliwe uwagi

Akkiego zapewne miały zniechęcić mnie do odwiedzenia planety, na której sam chciał handlować, a Ryzk poinformował mnie dodatkowo, że statek kupca odleciał natychmiast po jego powrocie z obozu koczowników. Nie mogłem jednak wykluczyć, że ostatnia uwaga Ivora podyktowana była czystą złościwością i miała tylko wprawić mnie w rozterkę.

Zastanawiałem się. Eet mógłby mi powiedzieć, ale niemal natychmiast odrzuciłem tę możliwość. Miałem przecież uniezależnić się od Eeta!

Gdzie znajdował się kolejny atrakcyjny rynek zbytu? Usiłowałem przypomnieć sobie jakieś informacje z archiwum Vondara. Było takie miejsce, to Sororis! Ta nazwa nie figurowała w notatkach Vondara, usłyszałem ją od ojca. Sororis od wielu lat była azylem dla ludzi wyjętych spod prawa, którym ziemia zaczynała palić się pod nogami. Planeta nie miała regularnych połączeń pasażerskich ani towarowych, ale od czasu do czasu zaglądały tam statki trampowe, latające pod bardzo podejrzanymi banderami. Mieszkańcy Sororis stanowili zbieraninę opryszków z całej galaktyki, skupionych wokół na wpół zapomnianego portu i żyjących z dnia na dzień. Byli bezużyteczni nawet dla Bractwa, które nie prowadziło tam zaciągu.

Istniała jednak na Sororis rdzenna rasa, zamieszkująca pomocną część planety, zdaniem przybyszów ze świata zewnętrznego zbyt niegościnną i nie nadającą się do zasiedlenia. Powszechnie sądzono, że tubylcy muszą mieć jakąś nadzwyczajną broń, chroniącą ich przed najezdami od strony portu. Najbardziej charakterystyczną cechą tej społeczności był rozwinięty system wierzeń religijnych, w których bardzo istotną rolę odgrywały ofiary składane bogom. Właściwie jedyną drogą zdobycia szacunku Sororisan było obdarowanie ich bóstwa jakimś cennym prezentem. Ofiarodawca miał prawo spędzić w ich mieście określoną liczbę dni.

Mój ojciec uwielbiał opowiadać historie, zwykle o ludziach, których poznał jako rzeczoznawca Bractwa. Sądziłem jednak, że niektóre z tych historii dotyczyły jego własnych młodzieńczych wyczynów. Kiedyś opowiedział mi z detalami o pewnej przygodzie na Sororis i teraz zamierzałem wykorzystać zdobyte informacje, by powetować sobie ostatnio poniesione straty.

Dla mieszkańców Sororis bryły zoranu byłyby czymś rzadkim i cennym, gdyż nigdy wcześniej nie widzieli czegoś podobnego. Największą mógłbym zaoferować świątyni, a resztę sprzedać ludziom, którzy dla zyskania większego prestiżu pragnęliby złożyć bóstwu podobny prezent. Nie miałem pojęcia, co tubylcy mogliby mi ofiarować w zamian. Bohater opowieści mojego ojca opuścił plan z zielonym kamieniem, jedynym w swoim rodzaju. Bo jedno można było z całą pewnością powiedzieć o Sororisanach — handlowali uczciwie.

Szalony plan nie miał wielkich szans powodzenia i tylko desperat mógłby podjąć takie ryzyko. Ale gorycz niedawnej porażki i trzeba podkreślenia swojej niezależności sprawiły, że całkiem poważnie zacząłem brać pod uwagę Sororis. Skończywszy kaf, podszedłem do komputera w sterowni i wystukałem na klawiaturze odpowiedni kod. Postanowiłem, że jeśli

nie otrzymam żadnej odpowiedzi, zrezygnuję z tego wariackiego pomysłu. Ryzk patrzył na mnie z namysłem, kiedy czekałem na reakcję komputera. Kiedy wbrew moim ukrytym nadziejom na ekranie pojawił się szereg cyfr i liter, przeczytał je głośno.

— Sektor 5, VI — Norroute 11. — Gdzie na Astę-Ivistę, to jest? I co to jest?

Zdecydowałem się.

— Tam właśnie lecimy. — Ciekaw byłem, czy słyszał o tym miejscu. — To Sororis.

Rozdział szósty

Gdzie są twoje działka laserowe i ekrany ochronne?

Ryzk zadał to pytanie tonem, który wyraźnie sugerował, że wątpi w moją równowagę psychiczną. Rzucił nawet okiem na pulpit sterowniczy, jak gdyby szukał klawiszy uzbrojenia. Odruchowo spojrzałem w tę samą stronę, myśląc, że jeszcze nie tak dawno mógłby je tam zobaczyć. Zapieczetowane otwory działowe wciąż przypominały o burzliwej przeszłości statku.

— No więc, jeśli ich nie masz — ciągnął dalej z irytującą logiką — to równie dobrze możesz teraz wysadzić „Wendwinda” w powietrze, nie tracąc energii na doprowadzenie go do Sororis. Chyba wiesz, co czeka każdą rakietę, która się tam zapuści. To planeta-więzienie i jej mieszkańcy zrobią wszystko, żeby zdobyć jakiś pojazd i wydostać się stamtąd. Ładowanie w ich porcie to najlepszy sposób, żeby stracić statek.

— Nie zamierzam tam lądować, a w każdym razie nie statkiem. — Miałem już gotowy plan. Zamierzałem użyć tego samego sposobu, co bohater historii opowiedzianej mi przez ojca. — Jest jeszcze kapsuła ratunkowa. Można ją wyposażyć w mechanizm powrotny, jeśli ma posłużyć tylko jednej osobie.

Ryzk popatrzył na mnie. Przez dłuższą chwilę milczał, a potem zgłosił kolejne zastrzeżenie.

— Nawet przebywanie na orbicie może być niebezpieczne. Skąd wiesz, że nie mają jakichś ulepszonych ścigaczy abordażowych? Poza tym, który z nas ma polecieć na dół i po co?

— Ja... chcę odwiedzić Sornuff.

Zrobiłem, co mogłem, żeby poprawnie wymówić tę dziwną zbitkę samogłosek i spółgłosek, składającą się na nazwę miasta.

Wiedziałem jednak, że dla Terranina to zadanie ponad siły. Sororisanie byli rasą człekopodobną, ale nie pochodzili od Terran, nawet nie od zmutowanych terrańskich kolonistów.

— Skarby świątyni! — Błyskawicznie zorientował się, o co mi chodzi. Jak przystało na Wolnego Kupca, posiadał gruntowną wiedzę na temat obyczajów różnych ludów.

— Trafiłeś — potwierdziłem, chociaż zdawałem sobie sprawę, że zapewne pokładam zbyt wielkie zaufanie w tym, co kiedyś powiedział mi ojciec.

— Postój na orbicie wypadłby gdzieś w okolicach bieguna... — głośno myślał Ryzk. — To oznacza, że cały czas trzymalibyśmy się z dala od tras prowadzących do portu. Co do kapsuły ratunkowej, to rzeczywiście można ją przystosować do ponownego startu. Tylko że tego rodzaju przeróbek raczej nie dokonuje się w przestrzeni kosmicznej — wzruszył ramionami.

— Potrafisz to zrobić?

Nigdy nie uważałem się za złotą rączkę. Jeśli Ryzk również nie miał potrzebnych umiejętności, to należało wymyślić jakiś inny sposób dostania się do Sornuff. Tyle, że ten inny sposób zapewne byłby o wiele bardziej ryzykowny.

— Zobaczą — powiedział krótko.

To mi wystarczyło. Wolni Kupcy z racji swego trybu życia byli o wiele bardziej wszechstronni od większości ludzi kosmosu. Pracownicy dużych, regularnych linii specjalizowali się w wąskich dziedzinach, odpowiadających zakresowi ich obowiązków — i tylko tego od nich wymagano. Natomiast członkowie załóg statków trampowych musieli w razie potrzeby wykonywać różne zadania.

Kapsuła ratunkowa musiała kiedyś przejść kilka kapitalnych remontów, o czym świadczyły znaki na plombach. Należała do pierwotnego wyposażenia jednostki i była przeznaczona do przewozu pięciu pasażerów, toteż wydała nam się bardzo przestronna. Ryzk wprawnymi ruchami rozmontował tablicę sterowniczą i mrukiwie stwierdził, że maszyna jest w lepszym stanie niż oczekiwał.

Nagle uświadomiłem sobie, że Eet podobnie jak na Lorgalu powstrzymuje się od komentarzy i sugestii. To było trochę niepokojące, a nawet budziło złe przeczucia. Czy mutant cały czas czytał moje myśli? I czy wobec tego orientował się, że postanowiłem działać samodzielnie? Zastanawiałem się, czy Eet posiada dar jasnowidzenia. Dotychczas nie wiedziałem, gdzie leży granica jego nadnaturalnych zdolności. Bez przerwy zaskakiwał mnie czymś nowym, jak wtedy na Thebie. Jeśli istotnie był jasnowidzem, to czy dopuściłby, żebym wpakował się w tarapaty, z których tylko on mógłby mnie wyciągnąć? To ostatecznie ujawniłoby prawdziwą naturę więzi między nami. Uznając Eeta za swego mistrza, sam musiałbym się pogodzić z pozycją ucznia. Mutant wciąż milczał, uniemożliwiając mi jakikolwiek telepatyczny kontakt. Nie zajął nawet do śluzu, w której pracował Ryzk ze mną w charakterze niezdarnego pomocnika. Obaj przygotowaliśmy się do wejścia w obcy, wrogi świat, gdzie: miałem przeprowadzić nadzwyczaj ryzykowne przedsięwzięcie. Zacząłem podejrzewać, że Eet obmyśla jakąś skomplikowaną intrygę. Utwierdziło mnie to w postanowieniu, aby działać samemu, bez uciekania się do jego pomocy. Chciałem udowodnić, że ja również potrafię wykonywać błyskotliwe posunięcia.

Z drugiej strony, zamierzałem wykorzystać w swych planach coś, czego mnie nauczył, choć świadomość, że jemu zawdzięczam tę umiejętność była dość irytująca. Iluzoryczne „przebranie” pozwalało doskonale ukryć prawdziwą tożsamość, toteż systematycznie ćwiczyłem umysł i wolę, powodując krótkotrwałe przemiany. Wkrótce stwierdziłem, że drobne modyfikacje wyglądu, takie jak blizna, która kiedyś kosztowała mnie tyle wysiłku, potrafię utrzymywać praktycznie tak długo, jak chcę. Więcej kłopotu sprawiała mi całkowita transformacja, na przykład zmiana rysów. Musiałem ciężko pracować, żeby uzyskać choćby efekt rozmycia konturów twarzy, który pozwoliłby mi przez pewien czas pozostać niezauważonym w tłumie. Pozbawiony wsparcia Eeta, chwilami traciłem nadzieję, że uda mi się kiedykolwiek w pełni opanować tę sztukę.

Ćwiczenie, powiedział Eet, jest warunkiem jakiegokolwiek postępu. Toteż wykorzystywałem wolny czas najlepiej, jak mogłem, zamykając się w kabinie z lustrem, niemym świadkiem moich sukcesów i porażek.

W głębi duszy liczyłem na to, że iluzja pomoże mi prześlizgnąć się przez strażę Bractwa w każdym cywilizowanym porcie. Zapewne nie było ich na Sororis, ale jeśli udałoby mi się tam zdobyć jakiś cenny towar, to musiałbym dostać się na jedną z wewnętrznych planet i tam go sprzedać. Kamienie o nieustalonej wartości można było zbyć wyłącznie na aukcjach organizowanych dla wielkich przedsiębiorców. Handlując nimi pokątnie, trzeba się było liczyć z konfiskatą na podstawie donosu jednego z licznych informatorów, otrzymujących procent od ceny sprzedażnej skonfiskowanych klejnotów. Nawet jeśli kamienie zostały uczciwie kupione na jakiejś dotychczas nieznannej planecie, niezapłacenie przez właściciela podatku licytacyjnego powodowało, że traktowano je jak kontrabandę.

Tak więc połowę dnia spędziłem, asystując nieudolnie Ryzkowi, a przez resztę czasu wpatrywałem się w lustro, usiłując dostrzec tam twarz odmienną od tej, którą znałem.

Opuszczenie nadprzestrzeni i wejście w układ słoneczny Sororis odbyło się błyskawicznie, dostarczając kolejnego dowodu na wysokie kwalifikacje Ryzka i skłaniając mnie do zastanowienia się, co spowodowało, że wylądował w bagnie Zewnętrznego Portu.

Układ składał się z trzech planet, przy czym dwie nie miały atmosfery i były tylko martwymi bryłami poszarpanej skały. Krążyły tak blisko słońca, że w panującej na nich temperaturze każdy statek wraz z załogą natychmiast uległby unicestwieniu.

Jakby dla odmiany, Sororis była planetą wiecznego mrozu, z wyjątkiem wąskiego pasa w okolicach równika, nadającego się do zasiedlenia przez ludzi. Na pomoc i południe od równika rozciągały się lodowce, poprzecinane gdzieśgdzie wąskimi dolinami. W jednej z takich dolin, z dala od znajdującego się koło portu osiedla wyrzutków, mieściło się ponoć Sornuff.

Ryzk siedział przy pulpicie sterowania, wprowadzając statek na orbitę, podczas gdy ja pakowałem do kapsuły ratunkowej potrzebne rzeczy. Należało jeszcze wprowadzić współrzędne celu do mechanizmu sterowniczego, ale to również było zadaniem Ryzka. Od

tego urządzenia zależało, czy zdołam bezpiecznie dotrzeć w pobliże Sornuff, a zwłaszcza, czy uda mi się stamtąd powrócić. Co do tego drugiego miałem poważne wątpliwości.

Myślałem o tym, co by było, gdyby spełniły się obawy Ryzka. Z portu mógł wystartować ścigacz przystosowany do lotów na dużych wysokościach, z pilotem dostatecznie sprawnym i odważnym, by podjąć próbę zdobycia „Wendwinda”. W takiej sytuacji statek musiałby manewrować, schodząc z orbity w czasie mojej nieobecności, ja zaś otrzymałbym sygnał, nakazujący mi pozostanie na planecie do czasu, gdy rakieta wróci na właściwy kurs.

Sprawdziłem swoje wyposażenie tak starannie, jak gdybym nie robił tego co najmniej tuzin razy podczas podróży w nadprzestrzeni. Miałem małą paczkę ze specjalnymi racjami żywności — na wypadek gdyby mój organizm nie tolerował miejscowych pokarmów — translator i mikrofon do porozumiewania się z Ryzkiem przebywającym na orbicie. Oczywiście, nie zapomniałem też o kamieniach z Lorgalu. Nie wziąłem za to żadnej broni, nawet paralizatora. Nie mógłbym przemycić czegoś takiego na pokład, startując z Theby. Musiałem więc na razie polegać na swoich umiejętnościach samoobrony.

W interkomie zatrzeszczał głos Ryzka. Pilot informował mnie, że wszystko gotowe. Podniosłem torbę i popatrzyłem na Eeta. Wyciągnięty na koi, jak zwykle sprawiał wrażenie uśpionego. Czy był obrażony, czy też po prostu nie obchodziło go to, co robię? Jego zaskakująca reakcja na moje próby usamodzielnienia się od początku trochę mnie niepokoiła. Teraz powoli zaczynałem tracić wiarę w siebie, co było dość niepokojące, zważywszy, że na Sororis moja pomysłowość i zaradność mogła zostać poddana ciężkim próbom.

Nie byłem jednak pewien, czy powinienem tak po prostu wyjść, nie zwracając na niego uwagi. Rozdźwięk między nami martwił mnie. W końcu przełamałem się i posłałem mu telepatyczny przekaz.

— Wyruszam. — To było oczywiste i od razu pożałowałem zupełnie niepotrzebnej uwagi.

Eet wolno otworzył oczy.

— Powodzenia. — Przeciągnął się, jakby dając do zrozumienia, że nie ma najmniejszej ochoty opuszczać komfortowej kabiny. — Miej oczy dookoła głowy.

Przymknął powieki i przerwał kontakt.

„Oczy dookoła głowy” — trudno się w tym było doszukać jakiegokolwiek sensu. Mimo to zirytowany próbowałem odgadnąć, o co właściwie Eetowi chodziło. Bezskutecznie. Poszedłem do kapsuły ratunkowej, zamknąłem za sobą drzwi i zaplombowałem je. Ułożywszy się w hamaku, dałem Ryzkowi odpowiedni sygnał i niemal straciłem przytomność, gdy potężna siła katapultowała mnie ze statku.

Urządzenie było wyposażone w automatycznego pilota, który w razie katastrofy natychmiast kierował kapsułę w stronę najbliższej planety. Nie miałem więc nic do roboty — leżałem beczynnym i usiłowałem przygotować się na wszelkie możliwe ewentualności. Bez Eeta czułem dziwną pustkę. Przez bardzo długi czas prawie w ogóle się nie rozstawaliśmy.

Wciąż pragnąłem zachować niezależność, ale wiedziałem już, że nie będzie to łatwe.

Z drugiej strony czułem też, jak ogarnia mnie uniesienie: oto śmiało odrzuciłem roztropne rady i przestrogi, podejmując nowe, ryzykowne przedsięwzięcie. Jakaś część mojego ja buntowała się przeciw temu, ale nie miałem dużo czasu na rozmyślania. Włączyły się mechanizmy łagodzące wstrząs przy lądowaniu i zrozumiałem, że muszę skupić całą uwagę na nadchodzących wyzwaniach.

Stwierdziłem, że kapsuła osiadła tuż przy śnieżnej ścianie zamykającej jedną z wąskich dolin, wcinających się głęboko w bryłę lodowca. Być może biała skorupa pokrywająca planetę zaczęła się cofać, bo wszędzie wokół widać było topniejący lód. Ściekające w dół strumyki wody tuż przed miejscem, w którym wylądowałem łączyły się w spory potok. Powietrze było jednak wciąż mroźne i lodowaty powiew natychmiast uderzył mnie w odsłoniętą część twarzy.

Opuściłem przyłbicę hełmu, zamknąłem luk kapsuły i z torbą na ramieniu rozpocząłem marsz, deptając kosmicznymi butami żwir wymieszany z lodem. Jeśli Ryzk nie pomylił się w swoich obliczeniach, wylądowałem w jednej z pięciu odnóg wielkiej doliny zbliżonej kształtem do rozcapierzonej ręki. Natychmiast po wydostaniu się z parowu powinienem zobaczyć przed sobą mury Sornuff. Potem już musiałem polegać na informacjach przekazanych mi przez ojca. Uświadomiłem sobie, że jego opowieść roiła się od szczegółowych danych geograficznych, zupełnie jakby pragnął, żeby te informacje utkwiły mi w pamięci. Co prawda wtedy nic nie wskazywało na to, że będą mi kiedykolwiek potrzebne. Mimo to słuchałem uważnie historii opowiadanych przez ojca, choć moje przyrodnie rodzeństwo było nimi zniecierpliwione i znudzone.

Między miejscem, w którym się znajdowałem, a murami miasta stała świątynia lodowej bogini Zeety. Zeeta nie była najważniejszym bóstwem Sororisanów, ale miała dość liczne grono wyznawców. Bohater historii mego ojca za jej pośrednictwem nawiązał kontakt z kapłanami największej świątyni w mieście. Mówię „jej”, gdyż była ona żywą kobietą — czy kapłanką — uważaną za ziemskie wcielenie ducha lodu i traktowaną jak istota nadprzyrodzona, różniąca się nawet fizycznie od zwykłych ludzi.

Wyszedłem z doliny w kształcie palca i znalazłem się na „dłoni”. Istotnie od razu zobaczyłem mury miasta, a jeszcze bliżej — świątynię Zeety.

Lądowanie nastąpiło tuż po nadejściu świtu, toteż słabe, nie dające ciepła promienie słońca dopiero teraz zaczęły odbijać się od ponurej lodowej ściany za moimi plecami. W pobliżu świątyni nie było widać żadnego znaku życia. Pomyślałem z obawą, że Zeeta mogła już dawno zostać usunięta albo porzucona przez wyznawców.

Mój niepokój minął, kiedy tylko podszedłem bliżej do kamiennego budynku pokrytego warstwą błyszczącego lodu. Miał on kształt długiego stożka ze ściętym czubkiem i rozmiary zbliżone do rozmiarów „Wendwinda”. Świątynię otaczał krąg stołów, zrobionych z lodowych, grubych jak męskie ramię płyt, opartych na filarach z tego samego materiału. W

stołach umieszczono podarki od wyznawców Zeety. Niektóre były zatopione tak głęboko, że ledwie majaczyły pod grubą szklistą pokrywą, inne tkwiły tuż pod powierzchnią, pokryte tylko cieniutką warstewką zamarznętej wilgoci.

Ujrzałem tam rozmałą żywność, futra, szerniałe resztki warzyw. Wyglądało na to, że bogini wcale nie korzysta z dostarczanych jej darów, pozwalając im wrastać w lodowe bloki.

Przeszedłem między dwoma stołami i zbliżyłem się do jedyneę otworu w kolistym murze świątyni, pozbawionego drzwi chroniących przed śniegiem i wiatrem. Przy wejściu wisiał gong. Ucieszyłem się, gdyż był to kolejny dowód prawdziwości historii opowiedzianej mi przez ojca. Śmiało podniosłem pięść okrytą rękawicą i uderzyłem w gong, najlżej jak potrafiłem. Mimo to głuchy dźwięk rozniósł się po całej okolicy i odbił echem od lodowca za moimi plecami.

Na szyi miałem zawieszony translator. Jeszcze raz powtórzyłem sobie w myśli tekst powitania. Opowieść ojca nie dostarczyła mi niestety żadnej okolicznościowej formułki i musiałem na poczekaniu wymyślić własną.

Echa gongu rozbrzmiewały znacznie dłużej, niż się spodziewałem. Mimo to nikt nie nadszedł, aby sprawdzić, co się dzieje. Zawahałem się, nie wiedząc, co robić. Całkiem świeże ofiary wydawały się świadczyć o tym, że świątynia jest zamieszkana. Jednak wcale nie musiało tak być, a Zeeta — albo raczej jej ziemskie wcielenie — mogła przebywać poza swą rezydencją.

Kiedy już prawie zdecydowałem się wejść do środka, zauważyłem poruszenie w ciemnym prostokacie drzwi. Po chwili pojawiła się tam jakaś postać, zwrócona twarzą w moim kierunku.

Obca istota była owinięta długą szatą równie szczelnie jak Lorgalianie. Okryte płaszczami ciała koczowników miały jednak wyraźne ludzkie kształty. Tymczasem tajemnicze indywiduum nosiło na sobie tyle warstw bandaży, że przypominało raczej larwę niż człowieka.

Bandaże, choć zrobione ze zwykłego materiału, pokryte były lodowymi okruchami, przypominającymi kształtem kryształki śniegu. Ozdoby te w porannym słońcu lśniły jak diamenty. Dziwna istota, której ciało ledwie rysowało się pod okryciem, miała z pewnością dwie dolne kończyny, korpus i głowę. Jeśli posiadała również ręce, to najwyraźniej przywiązano je do boków i przez to były zupełnie niewidoczne. Na obandażowanej głowie, w miejscu, gdzie powinna się znajdować twarz, umieszczono dwa okrągłe kawałki kryształu. Wyglądały jak oczy owada. Nie można było jednak dostrzec żadnych rysów.

Pochyliłem głowę i wyciągnąłem przed siebie otwarte dłonie. Miałem nadzieję, że ten gest zostanie odebrany jako wyraz szacunku. Chociaż nie zauważyłem, żeby stojący przede mną stwór miał uszy, wyraziłem swoją prośbę słowami, które translator przełożył na serię wysokich i niskich śpiewnych dźwięków. Odgłosy te dziwnie przypominały mi gong.

— Niech będzie pochwalona Zeeta z czystego lodu, z lodu, który trwa wiecznie! Mam prośbę do Zeety z lodowej krainy.

W odpowiedzi usłyszałem ciąg dźwięków, choć wciąż nie widziałem ust, które mogłyby wydać ten głos.

— Twoje ciało, krew, kości nie są takie same jak u tych, co szukają Zeety. Dlaczego zakłócasz mój spokój, obcy człowieku?

— Nie przychodzę tu z pustymi rękami, pragnę oddać hołd Lodowej Dziewicy...

Położyłem na brzegu najbliższego z ofiarnych stołów przygotowany zawczasu podarek. Był to cienki srebrny naszyjnik, wysadzany okrągłymi kawałkami górskiego kryształu. Na wielu planetach uznano by go za bezwartościowy, ale tutaj zwyczajem błyszczał w słońcu jak kryształki zdobiące szatę Zeety.

— Płynie w tobie obca krew — znów dobiegł mnie jej śpiewny głos. — Ale twój dar jest dobry. O co chciałbyś prosić Zeetę? O szybką przeprawę przez śnieg i lód? O spokojny sen?

— Proszę, by Zeeta przemówiła za mną u Torga. Chcę dotrzeć do ojca dzięki wstawiennictwu córki.

— Torg również nie zajmuje się ludźmi twojej rasy, cudzoziemcze. Jest naszym opiekunem i dobroczyńcą.

— Wszelako przynoszę mu dar. Czyż nie jest w zwyczaju, że przynoszący dary dopuszczany jest przed oblicze Torga, aby mógł złożyć hołd bóstwu?

— Tak, ale to nasz zwyczaj. Być może Torg nie zechce pochłonąć ofiary złożonej przez obcego.

— Niech więc Zeeta powie o mnie sługom Torga i niech sam bóg oceni moje intencje.

— To skromna i właściwa prośba — stwierdziła. — Niech więc tak się stanie.

Odwrociła głowę i teraz jej błyszczące, kryształowe oczy patrzyły prosto na gong. I chociaż nie zrobiła najmniejszego ruchu, talerz zadrżał i wydał dźwięk, który mógłby poprowadzić do ataku całą armię.

— Tak właśnie będzie, cudzoziemcze.

Zniknęła, zanim zdążyłem jej podziękować. Stało się to tak szybko, jak gdyby była płomieniem zdmuchniętym przez nagły poryw wichru. Mimo to podniosłem rękę na pożegnanie i w paru słowach wyraziłem swoją wdzięczność. Zrobiłem to na wszelki wypadek, aby nie wydać się nieuprzejmym.

Podobnie jak poprzednim razem, teraz również wibrujący dźwięk gongu długo wisiał w powietrzu. Zapowiedziany w ten sposób, ruszyłem ku miastu.

Znajdowało się bliżej, niż początkowo sądziłem, toteż dotarłem do jego bram, zanim zdążyłem zmęczyć się marszem po zmrożonym gruncie. Spotkałem tam ludzi, którzy natychmiast przyciągnęli moją uwagę swoim dziwnym strojem.

Futrzone okrycia są używane w wielu światach, w których niskie temperatury zmuszają ludzi do szukania lepszej osłony przed zimnem niż dana im przez naturę. Nigdzie jednak nie

zdarzyło mi się zobaczyć ubrań takich jak sororisańskie. Sądząc z wyglądu, do ich sporządzenia użyto skór zwierząt o gęstej, złotej sierści, dorównujących wzrostem człowiekowi. Futra te nie zostały jednak w tradycyjny sposób uszyte, lecz zachowały swój naturalny kształt. Dzięki temu mieszkańcy Sornuff wyglądali w nich jak chodzące na dwóch łapach zwierzęta o ludzkich obliczach, ich kaptury miały kształt zwierzęcych łbów i łączyły się z resztą okrycia, a ręce i nogi okrywały im uzbrojone w pazury łapy.

Ciemne twarze ludzi ostro kontrastowały ze złotym futrem kapturów. Oczy Sororisan były wąskie jak szparki; jakby było to dziedzictwem po wielu pokoleniach przodków mrużących oczy przed blaskiem słońca odbitego od śniegu i lodu.

Nie było warty przy bramie, ale trzech tubylców, najwyraźniej zaalarmowanych głosem gongu, skinęło na mnie krótkimi kryształowymi prętami. Nie wiedziałem, czy to broń, czy symbol władzy, ale posłusznie poszedłem za nimi główną ulicą. Sornuff zbudowano na planie koła; w środku miasta znajdowała się kolejna stożkowa świątynia, podobna do sanktuarium Zeety, ale znacznie większa.

Wejście do świątyni było bardzo wąskie. Nadano mu kształt otwartych ust, chociaż wyżej nie zauważyłem żadnych rzeźb przedstawiających inne części twarzy. Trafiłem do siedziby Torga i wkrótce miałem przekonać się, ile wart jest mój plan.

Temperatura w dużej okrągłej sali, do której mnie wprowadzono, nie była ani odrobinę wyższa niż na zewnątrz. Jeśli w Sornuff znano w ogóle jakiś sposób ogrzewania pomieszczeń, to w każdym razie nie stosowano go w świątyni Torga. Przenikliwy mróz najwyraźniej nie przeszkadzał ani moim przewodnikom, ani kapłanom czekającym w sali. Za ich plecami znajdowała się rzeźba przedstawiająca bóstwo. Były to znane mi już szeroko otwarte usta wykute w murze naprzeciwko wejścia.

— Przynoszę Torgowi dar — zacząłem śmiało.

— Nie pochodzisz z ludu Torga. — Nie był to sprzeciw, lecz jakby ostrzeżenie. Pochodziło od jednego z kapłanów, mężczyzny w czerwonym metalowym kołnierzu. Z kołnierza zwieszały się różnokolorowe, kamienne płytki; na każdej wygrawerowano skomplikowany, niepowtarzalny wzór.

— Jednakże aby ucieszyć serce boga przynoszę dar, jakiego nie widziały nawet dzieci jego plemienia.

Wyciągnąłem z zanadru najokazalszy z zoranów, błękitnozielony, owalny kamień. Był tak duży, że wypełnił całe wnętrze mojej dłoni, kiedy rozwinąłem go ze szmatki, w którą był zawinięty, i pokazałem kapłanowi.

Pochylił głowę, jakby chciał powąchać klejnot, a potem zniemacka wysunął blady język i dotknął nim twardej powierzchni. W końcu, najwidoczniej pragnąc poddać zoran decydującej próbie, wyjął mi go z ręki i zwrócił się ku wyrzeźbionym na ścianie ustom. Podniósł kamień na wysokość oczu, trzymając go oburącz, między kciukami i palcami wskazującymi.

— Oto jest stawa dla Torga. Zaprawdę, dobra to stawa, godny dar powitalny — zaintonował.

Z tyłu usłyszałem szmery i pomruki, jak gdyby wielu ludzi weszło za mną do świątyni.

— Zaiste, godny to dar! — powtórzyli pozostali kapłani.

Potem mistrz ceremonii pstryknął palcami, albo tak mi się przynajmniej zdawało. W każdym razie zoran poszybował w stronę otwartych ust, przeleciał przez otwór i zniknął na zawsze. Zakończywszy obrzęd, kapłan znów zwrócił się w moim kierunku.

— Jesteś tu obcy. Lecz przez trzy słońca i trzy noce możesz pozostać w mieście Torga i prowadzić interesy w obrębie murów, których On strzeże, jeśli tego pragniesz.

— Torgowi niech będą dzięki — odpowiedziałem, pochylając głowę w ukłonie. Kiedy odwróciłem się na pięcie, stwierdziłem, że krótka ceremonia składania ofiary przyciągnęła liczną widownię. Co i najmniej dwunastu okutanych w filtra ludzi stało, intensywnie mi się przypatrując. Co prawda rozstąpili się przede mną, kiedy ruszyłem do wyjścia, ale jeden z nich, stojący z brzegu, wystąpił naprzód i położył mi rękę na ramieniu.

— Cudzoziemcze, Ty, który obdarowałeś Torga. — Wymówił te słowa w taki sposób, jak gdyby nadawał mi jakiś zaszczytny tytuł. — Jest tu ktoś, kto chciałby z tobą mówić.

— Bardzo chętnie — odpowiedziałem. — Ale jestem obcy w tym mieście i nie mam żadnej kwatery, w której moglibyśmy spokojnie porozmawiać.

— Znam takie miejsce. Chodź za mną — powiedział szybko, oglądając się przez ramię, jak gdyby w obawie, że ktoś mu przeszkodzi. Istotnie wyglądało na to, że kilku gapiów ze świątyni chce się do nas przyłączyć. Obcy, wciąż trzymając mocno moją rękę, pociągnął mnie za sobą.

Wiedziałem, że jeśli chcę tu coś osiągnąć, muszę działać błyskawicznie. Dlatego chętnie poszedłem za moim przewodnikiem.

Rozdział siódmy

Prowadził mnie jedną z bocznych uliczek, aż doszliśmy do domu będącego miniaturową kopią sororisańskich świątyń. Różnił się od nich tylko tym, że na dachu umieszczono skalną bryłę pokrytą ornamentami. Skomplikowany wzór tych ornamentów musiał przyprawić o ból głowy każdego, kto próbowałby się im dokładnie przyjrzeć.

Budynek był pozbawiony drzwi, a nawet kotary zasłaniającej otwór wejściowy. Wszedłszy do domu, znalazłem się w dużej sali, podzielonej za pomocą futrzanych zasłon na szereg oddzielnych pomieszczeń. Z niektórych dobiegały odgłosy, świadczące o czyjejś obecności, nie zobaczyłem jednak nikogo. Mój towarzysz pociągnął mnie do jednego z pomieszczeń, gwałtownie odsunął zasłonę i gestem ręki zaprosił do środka.

Wzdłuż kamiennej ściany biegł szeroki występ nakryty futrami i najprawdopodobniej pełniący funkcję łóżka. Sororisanin polecił mi na nim usiąść, a sam usadowił się na drugim końcu występu, zachowując dystans, jakiego zapewne wymagała tutejsza etykieta. Potem od razu przystąpił do rzeczy.

— Ofiarowałeś Torgowi wspaniały dar, cudzoziemcze.

— To prawda — odrzekłem, gdyż po tej pierwszej uwadze zamilkł i najwyraźniej oczekiwał, że coś powiem. Postanowiłem trochę zareklamować towar. — Znalazłem ten kamień na odległej planecie.

— Przybyłeś z miasta Obcych?

Wydało mi się, że w jego głosie wyczułem lekką podejrzliwość. Nie chciałem, żeby kojarzono mnie z kosmicznymi wyrzutkami z portu.

— Nie. Usłyszałem o Torgu od mojego ojca, wiele słońc temu, daleko stąd. Ojciec szanował waszego boga i poradził mi tu przybyć z podarunkiem, co też uczyniłem.

W zamyśleniu skubał sterczące kłaki swego futra, które pod brodą tworzyło jakby krezę.

— Powiadają, że dawno temu inny cudzoziemiec również przywiózł Torgowi prezent z gwiazd. To był bardzo hojny człowiek.

— Hojny dla Torga? — podsunąłem, gdyż tubylec ponownie zamilkł.

— Dla niego... i dla innych również. — Najwyraźniej ubieranie myśli w słowa przychodziło mu z wielkim trudem. — Wszyscy ludzie pragną ofiarować bogu cenne podarunki. Niestety, niektórzy po prostu nie mają szczęścia.

— A ty zapewne jesteś jednym z nich? — odważyłem się mówić otwarcie, chociaż w ten sposób mogłem zaprzepaścić swoją szansę. Wyczuwałem jednak, że mój rozmówca potrzebuje lekkiej zachęty. Nie wiedziałem, jak inaczej zmusić go, żeby przeszedł do sedna sprawy.

— Być może... — w jego głosie czuć było rezerwę. — Baśń z dawnych dni głosi, że obcy przybysz miał ze sobą nie jeden, ale kilka cudownych kamieni z odległej planety. Ponoć rozdawał je za darmo tym, którzy o nie prosili.

— Opowieść mego ojca różni się w tym punkcie od waszej legendy — zauważyłem. — Bo z tego, co wiem, Obcy rzeczywiście rozdawał cudowne kamienie, ale również przyjmował coś w zamian.

Sororisanin przymrużył oczy.

— Och, to prawda. Lecz były to drobiazgi bez wartości, niegodne Torga. Tak więc z pewnością można go nazwać szczodrym.

Wolno pokiwałem głową.

— Tak, rzeczywiście. A te bezwartościowe przedmioty... co to właściwie było?

— Wyglądały tak... — ześliznął się z występu i przykląkł na podłodze. W kamiennej ławce, tuż pod miejscem, w którym poprzednio siedział, mieściła się skrytka. Sororisanin otworzył ją i wyciągnął skórzany worek, z którego wysypał cztery chropowate okruchy. Z trudem udało mi się zachować obojętny wyraz twarzy. Nigdy nie miałem w ręku tego rodzaju minerałów, ale obejrzałem tyle trójwymiarowych obrazów na kasetach informacyjnych, że bez trudu rozpoznałem w nich nieoszlifowane zielone kamienie. Chętnie wziąłbym je do ręki, żeby przekonać się, czy nie mają żadnych skaz i nadają się do wystawienia na sprzedaż.

— A co to właściwie jest? — zapytałem, nie zdradzając żadnego zainteresowania.

— To kamienie znalezione u podnóża wielkiej lodowej ściany. Woda wymywa je z lodowca, kiedy robi się cieplej. Przechowują je tylko dlatego, że... widzisz, ja też mam rodzinną legendę, która mówi, że któregoś dnia przybędzie cudzoziemiec i da za nie wielki skarb.

— Czy ktoś jeszcze w Sornuff ma takie kamienie?

— Być może, ale one nie są nic warte. Dlaczego ktoś miałby je trzymać w domu? Kiedy przyniosłem je tutaj — a byłem wówczas młodym chłopcem — śmiano się ze mnie, że wierzę w stare bajki.

— Mógłbym je obejrzeć?

— Oczywiście! — Wziął dwa największe okazy i niemal brutalnie wcisnął mi do ręki. — Popatrz! Czy twój ojciec wspominał o czymś takim?

Jeden z kamieni miał skazę, ale przy odrobinie szczęścia udałooby mi się z niego wykroić trzy mniejsze klejnoty. Natomiast drugi odłamek był znakomity i należało go tylko lekko oszlifować. Sprzedając ten kamień na aukcji, z pewnością sporo bym zarobił. W dodatku dużo więcej, niż gdybym wdał się w serię skomplikowanych transakcji, przewidzianą w pierwotnym planie.

Niewykluczone, że tu, na Sornuff, mogłem zrobić jeszcze lepszy interes. Pomyślałem o ludziach, którzy próbowali się ze mną porozumieć przed świątynią, zanim stamtąd odszedłem w towarzystwie mojego obecnego gospodarza. Z drugiej strony, gdybym zawarł transakcję już teraz, mógłbym od razu opuścić miasto. Od chwili wyjścia z kapsuły miałem dziwne uczucie, że wizyty na tej planecie nie należy zbytnio przedłużać. Nic nie wskazywało na to, żeby przestępcy z portu docierali aż tutaj, ale nie byłem tego całkiem pewien. Gdyby mnie wykryli albo znaleźli kapsułę... — nie, stanowczo musiałem się śpieszyć.

Wyciągnąłem sakiewkę i zademonstrowałem dwa małe zorany gorszego gatunku.

— Torg zapewne spojrzałby łaskawie na człowieka, który ofiarowałby mu te kamienie.

Sororisanin skoczył naprzód, chciwie wyciągając ręce. Palce jego okrytych rękawicami dłoni były zakrzywione jak szpony. Wyglądał tak, jak gdyby chciał wydrzeć mi upragniony skarb. Nie odczuwałem jednak lęku — tego ranka nakarmiłem Torga i przez trzy kolejne dni byłem nietykalny. Gdyby ktoś złamał zakaz, bóg natychmiast ukarałby świętokradcę.

— Taki dar... Torg zapewniłby ofiarodawcy pomyślność do końca życia... — powiedział mężczyzna, oddychając ciężko.

— Obaj poznaliśmy tę samą starą legendę i obaj w nią uwierzyliśmy, narażając się z tego powodu na śmiech i drwiny. Czy nie tak?

— O tak, cudzoziemcze!

— A zatem udowodnijmy, że to my mieliśmy rację. Niech się spełni stara przepowiednia z opowieści naszych ojców! Weź te klejnoty, a w zamian daj mi kamienie z wielkiej lodowej ściany.

— Tak... niech tak będzie! — Rzucił w moją stronę worek z zielonymi kamieniami i złapał zorany, które przed nim położyłem.

— A teraz, by przepowiedni stało się zadość, powrócę do gwiazd — dodałem. Teraz, kiedy dopiąłem swego, odczuwałem narastający niepokój i zniecierpliwienie.

Ledwie musnął mnie spojrzeniem i znów wpatrzył się w leżące na futrze zorany.

— Oczywiście, rób jak chcesz — mruknął.

Najwyraźniej nie zamierzał mnie odprowadzić, toteż schowałem woreczek z kamieniami do kieszeni kombinezonu i sam ruszyłem w kierunku wyjścia. Wiedziałem, że dopiero na „Wendwindzie” będę mógł odetchnąć swobodniej, toteż zależało mi na tym, by znaleźć się tam jak najprędzej.

Na zewnątrz zebrał się tłum Sororisan, ale wbrew moim oczekiwaniom żaden z nich nie próbował się do mnie zbliżyć. Wszyscy gapili się natomiast na dom, z którego wyszedłem,

jak gdyby wiedzieli, co było przedmiotem naszej transakcji. Nikt jednak nie próbował zastąpić mi drogi ani przeszkodzić w odejściu. Nie wiedziałem, jak daleko sięga ochrona udzielona mi przez boga, toteż rozglądałem się na prawo i lewo, idąc w stronę bramy.

Równina ciągnąca się za miastem była zupełnie pusta, kiedy przechodziłem tamtędy rano. Teraz jednak zobaczyłem gromadę ludzi, którzy zbliżali się w moim kierunku. Większość z nich nosiła futrzane okrycia, ale dwaj mieli na sobie zniszczone i połatane zimowe kombinezony kosmiczne. Wszystko wskazywało na to, że pochodzą z portu. Nie mogłem się już cofnąć, a z pewnością zostałem zauważony. Liczyłem jedynie na to, że uda mi się w porę dotrzeć do kapsuły i opuścić planetę.

Mężczyźni w kombinezonach zatrzymali się, kiedy tylko mnie ujrzeli. Stali dość daleko i nie mogłem rozróżnić ich rysów, tym bardziej że nosili hełmy kosmiczne. Byłem pewien, że oni również nie widzą dobrze mojej twarzy. Z pewnością jednak zauważyli, że mam na sobie całkiem nowy i w dobrym stanie strój przybysza z kosmosu. Nie mogli więc wziąć mnie za jednego ze swoich.

Sądziłem, że ci dwaj odłączą się od reszty towarzystwa i spróbują przeciąć mi drogę. Miałem nadzieję, że nie są uzbrojeni. Na polecenie ojca przeszedłem szkolenie w sztuce walki wręcz — znałem liczne techniki, opracowane na różnych planetach i wydawało mi się, że zdołałbym sobie poradzić. Oczywiście pod warunkiem, że nie zaatakowałyby mnie wszyscy naraz.

Ale jeśli dwaj obcy mieli rzeczywiście wrogie zamiary, to nie było im dane wprowadzić je w czyn. Zostali natychmiast otoczeni przez kudłatych tubylców i pognani w stronę bramy. Pomyślałem, że ludzie w kombinezonach byli jeńcami. Sądząc z tego, co opowiadano mi o mieszkańcach portu, mogli łatwo wejść w konflikt z rdzennymi Sororisanami i dać im jakiś powód do zemsty.

Szedłem coraz szybciej, a minąwszy świątynię Zeety zacząłem biec. Wkrótce dotarłem do kapsuły, zdjąłem plomby i zdyszany wgramoliłem się do środka. Potem szybko nacisnąłem klawisze, które miały uruchomić kapsułę i skierować ją w stronę „Wendwinda”. Wreszcie rzuciłem się na hamak, aby po chwili stracić przytomność podczas bardzo gwałtownego startu. Tuż przed omdleniem czułem się tak, jak gdyby miażdżyła mnie jakaś gigantyczna ręka.

Kiedy odzyskałem przytomność, równocześnie wróciła mi pamięć niedawnych wydarzeń i doznałem uczucia triumfu. Zdołałem udowodnić, że nie myliłem się, dając wiarę starej bajce. W kieszeni na piersi miałem coś, co uwalniało nas od trosk materialnych, oczywiście tylko na jakiś czas i pod warunkiem, że udałoby mi się to dostarczyć na aukcję.

Bez problemu trafiłem na statek, tak więc moje wcześniejsze obawy okazały się bezpodstawne. Zrzuciwszy kombinezon i zdjąwszy hełm, poszedłem do kabiny pilota. Jednak zanim zdążyłem pochwalić się swoim sukcesem, zauważyłem, że Ryzk ma niezadowoloną minę.

— Nakryli nas promieniami zwiadowczymi.

— Co?

W normalnym porcie takie wydarzenie nie zdziwiłoby mnie wcale. Ostatecznie obca rakietą, która nie zmierza prosto na kosmodrom, lecz krąży po orbicie z dala od głównych tras komunikacyjnych, musi wzbudzać podejrzenia. W takich przypadkach użycie promieni jest nawet wymagane. Jednak ze wszystkich posiadanych przeze mnie informacji wynikało, że na Sororis nie ma wyposażenia niezbędnego do prowadzenia tego typu działań. Ten port był pozbawiony jakiegokolwiek ochrony, bo jej po prostu nie potrzebował.

— Ci z portu? — zapytałem, wciąż pełen niedowierzania.

— Niezupełnie. — Po raz pierwszy od wielu dni Eet udzielił odpowiedzi na moje pytanie. — Promienie nadeszły od strony portu, ale ich źródłem był na pewno statek.

To zdziwiło mnie jeszcze bardziej. O ile wiedziałem, tylko patrolowce miały zamontowaną aparaturę do emitowania takich promieni i musiałyby to być patrolowce drugiej klasy, nie jakiś wałęsający się statek zwiadowczy, a taki raczej by się tu nie zapuścił. Krążyły co prawda pogłoski, że Bractwo również dysponuje takim sprzętem, ale z kolei statek tak wyposażony musiałby być własnością jakiegoś dostojnika. Tylko co dostojnik miałby do roboty na Sororis? To miejsce było przecież schronieniem dla najgorszych szumowin świata przestępczego.

— Jak długo to trwało?

— Zbyt krótko, żeby mogli się czegokolwiek dowiedzieć — odpowiedział Eet — sam o to zadbałem. Ale już fakt, że nic nie wskórali, musiał dać im wiele do myślenia. Lepiej od razu wejźmy w nadprzestrzeń.

— Jaki kurs? — zapytał Ryzk.

— Lylestane.

Wybrałem to miejsce nie tylko ze względu na organizowane tam aukcje, które dawały mi szansę szybkiej sprzedaży zielonych kamieni. Zdecydowałem się na Lylestane również dlatego, że była to jedna z „wewnętrznych” planet, od dawna zamieszкана i ucywilizowana — może nawet zbyt ucywilizowana. Oczywiście Bractwo miało tam pewne wpływy, ale miało je praktycznie w każdym miejscu, w którym istniały możliwości wzbogacenia się. Na Lylestane panowały prawo i porządek, toteż żaden statek Bractwa nie odważyłby się wlecieć za nami w tamtejszą przestrzeń powietrzną. Jeśli chodzi o nas, to nie mieliśmy się czego obawiać — przynajmniej tak długo, dopóki przestrzegaliśmy prawa. Takie były warunki układu, który kiedyś zawarłem z funkcjonariuszami Patrolu.

Ryzk wyznaczył kurs, błyskawicznie wodząc palcami po klawiaturze komputera pokładowego. Chwilę później zasygnalizował wejście w nadprzestrzeń, jak gdyby obawiał się, że za chwilę poczujemy siłę chwytających nas fal holowniczych. Jego niepokój był tak widoczny, że stan radosnego uniesienia, w którym się znajdowałem, zaczął powoli mijać.

Powrócił jednak natychmiast, kiedy wyjąłem z kieszeni zielone kamienie. Ważyłem je w rękę, sprawdzałem, czy nie mają wad, w myśli ustalałem cenę wywoławczą każdego okazu. Gdybym miał trochę więcej doświadczenia, mógłbym nawet spróbować pociąć dwa najmniejsze. Jednak lepiej było zadowolić się trochę skromniejszym zyskiem, niż ryzykować zniszczenie klejnotów. Nie wierzyłem w swoje umiejętności. Wielokrotnie wykonywałem tego typu prace jubilerskie, ale zawsze używałem tanich minerałów gorszego gatunku, odpowiednich do ćwiczeń.

Największy kamień zamierzałem podzielić na trzy części. Drugi co do wielkości nie miał żadnej skazy i należało go tylko oszlifować. Z pozostałych dwóch spodziewałem się uzyskać cztery klejnoty. Co prawda nie pierwszej jakości, ale zielone kamienie były tak rzadkie, że nawet gorsze egzemplarze znajdowały nabywców.

Towarzyszyłem Vondarowi podczas licytacji na Baltis i Amon, ale nigdy nie zdarzyło mi się uczestniczyć w sławnych lylestańskich aukcjach. Przed dwoma laty jeden ze znanych mi przyjaciół Vondara objął tam posadę rzeczoznawcy. Nie wątpiłem, że mnie pamięta i chętnie przeprowadzi przez gąszcz lokalnych przepisów. Być może nawet zechciałby uprzedzić kilku prywatnych nabywców, że mój towar pojawi się na licytacji. Snując takie marzenia, obracałem kamienie w palcach. Upajałem się myślą, że zdołałem naprawić głupi błąd, popełniony na Lorgalu.

Ochłonałem dopiero na Lylestane, gdzie jako miejsce lądowania wskazano nam odległy kąt zatłoczonego portu. Nagle uświadomiłem sobie, że dotychczas uczestniczyłem w tego typu przedsięwzięciach jedynie jako obserwator, pełniąc funkcje sekretarza i ochroniarza Vondara, który sam prowadził interesy. Teraz miało być zupełnie inaczej. Po raz pierwszy od długiego czasu poczułem chęć, aby skorzystać z pomocy Eeta. Tylko potrzeba udowodnienia sobie, że w razie potrzeby potrafię samodzielnie przeprowadzić transakcję, powstrzymywała mnie od zwrócenia się do niego z prośbą o radę. Jednak kiedy przebierałem się w swój najlepszy strój — mieszkańcy wewnętrznych planet traktowali ubranie jako wyznacznik pozycji społecznej — mutant sam mnie odnalazł i zaoferował wsparcie.

— Idę z tobą — oznajmił, sadowiąc się na koi. Kiedy popatrzyłem w jego stronę, zauważyłem, że zarysy jego sylwetki stały się zamazane i niewyraźne. Gdy znowu nabrały ostrości, stwierdziłem, że zamiast Eeta mam przed sobą puka. Na Lylestane takie zwierzę musiało świadczyć o wysokim statusie jego właściciela.

Nie potrafiłem mu odmówić. Nawet siedząc beczynn timer na moim ramieniu, dawał mi poczucie bezpieczeństwa, którego bardzo potrzebowałem. Wychodząc z kabiny, w korytarzu natknąłem się na Ryzka.

— Wybierasz się na dół? — zagadnąłem. Potrząsnął przecząco głową.

— Tutejszy Zewnętrzny Port to dla mnie zbyt luksusowe miejsce. Trzeba być facetem z korporacji, żeby się tu dobrze czuć. Zostaję na pokładzie. Jak długo cię nie będzie?

— Muszę odwiedzić Kafu i załatwić formalności związane z aukcją. Potem natychmiast wracam.

— Przygotuję raketę do startu. W razie czego skontaktuj się ze mną.

Zdziwiło mnie trochę to, co powiedział. Najwyraźniej spodziewał się jakichś kłopotów, choć przecież świat, w którym się znaleźliśmy, był chyba najbezpieczniejszym z możliwych.

Na kosmodromie stało sporo ścigaczy do wynajęcia. Wgramoliłem się do najbliższego i wrzuciłem jeden ze swoich nielicznych kredytów do odpowiedniego otworu, wynajmując w ten sposób pojazd na cały dzień. Kiedy wymówiłem imię Kafu, ścigacz wystartował i lecąc tuż nad ziemią, ruszył w kierunku centrum miasta.

Lylestane została skolonizowana tak dawno, że jej cztery kontynenty zamieniły się niemal w ogromne miasta. Jednak z jakichś przyczyn mieszkańcy planety nie lubili wysokich budynków; żaden z mijanych przeze mnie obiektów nie przekraczał dwunastu pięter, choć wszystkie miały liczne podziemne kondygnacje.

Ścigacz wylądował bezszelestnie na dachu budynku i natychmiast przesunął się do strefy wyczekiwania. Podeszedłem do windy grawitacyjnej i jeszcze raz wymówiłem imię Kafu, zwracając się do urządzenia rejestrującego. Niemał natychmiast otrzymałem odpowiedź.

— Czwarty poziom, drugi korytarz, szóste drzwi.

W windzie roіło się od pasażerów. W większości byli to ludzie ubrani w kosztowne stroje, typowe dla mieszkańców wewnętrznych planet. Nawet u niższych rangą rzucała się w oczy obfitość koronek, ozdobnych frędzli i bufiastych rękawów. W oczach takiego jak jaj podróżnika wyglądali raczej śmiesznie niż modnie. Natomiast moja prosta tunika i krótko obcięte włosy sprawiły, że byłem obiektem powszechnego zainteresowania. W końcu zacząłem żałować, że niej wykorzystałem swoich nadnaturalnych zdolności do stworzenia jakiejś ochronnej iluzji.

Siedziba Kafu mieściła się na czwartym poziomie poniżej parteru. Świadczyło to o jego relatywnie wysokiej pozycji. Nie miał co prawda statusu dostojnika, który uprawniałby go do korzystania z pokoju, albo nawet całej amfilady pokoiów umieszczonych na wyższych piętrach i zaopatrzonych w okna, jednak nie mieszkał również w norze na głębokości dwóch czy trzech mil.

Znalazłem właściwy korytarz i zatrzymałem się przed pokojem numer sześć. Na drzwiach umieszczono komunikator, a tuż nad nim wizjer, dzięki któremu właściciel apartamentu mógł obserwować gości, samemu nie będąc widzianym.

Włączyłem komunikator. Chwilę potem płytka zakrywająca judasza odsunęła się na bok.

— Murdoc Jern — przedstawiłem się — pomocnik Vondara Ustle'a. Odpowiedź nie nadchodziła. Zacząłem już wątpić, czy Kafu w ogóle jest w domu, kiedy nagle z komunikatora dobiegł mnie stłumiony głos.

— Proszę wejść. — Drzwi bezszelestnie zniknęły w ścianie. Wszedłem do pokoju, który w niczym nie przypominał surowych, kamiennych wnętrz sororisańskich budowli.

Chociaż mieszkańcy planety uwielbiali kolorowe i krzykliwe stroje, w tym pomieszczeniu dominowały spokojne, stonowane barwy. Moje kosmiczne buty tonęły w bladożółtym, sprężystym mchu summead, tworzącym żywy dywan, z którego po bokach wyrastały dłuższe łodygi. Łodygi te, obwieszane zielonymi jagodami, pięły się po murze, tworząc wymyślne ozdobne kompozycje.

Przy ścianach ustawiono brązowe supersofy, zmieniające kształt w zależności od rozmiarów i wagi ciała użytkownika. Światło emitowane z sufitu przypominało promienie słoneczne w pogodny wiosenny dzień. Zauważyłem, że po przeciwległej stronie pokoju, obok jednej z supersof, łodygi układają się w obraz przedstawiający panoramę jakiejś planety. Patrząc na to, miałem wrażenie, że wyglądam przez okno. W dodatku widok nie był statyczny, gdyż co pewien czas żywe łodygi zmieniały położenie, tworząc zupełnie inną scenerię.

Na supersofie ustawionej przy tym „oknie” siedział Kafu. Pochodził z Thoth i nie dorównywał wzrostem przeciętnemu Terraninowi. Jego ciemnobrązowa skóra była tak silnie napięta na cienkich kościach policzkowych, że sprawiał wrażenie ofiary głodu. Lecz głęboko osadzone oczy obserwowały mnie uważnie i czujnie.

Zamiast kolorowych fatałaszków, w których lubowali się ludzie z Lylestane, miał na sobie strój typowy dla mieszkańców swojej rodzimej planety. Długa szata z wysokim, stojącym kołnierzem i szerokimi rękawami sięgała mu aż do kostek.

Obok supersofy znajdował się stół, na którym leżało mnóstwo błyszczących kamieni. Kafu najwyraźniej nie tyle oceniał ich wartość, co raczej układał z nich jakieś figury. Być może kamienie służyły mu jako żetony w jakiejś nieznanej mi, egzotycznej grze.

Po chwili jednak zgarnął je ze stołu, jakby miał zamiar od razu przystąpić do interesów. Następnie dotknął dłonią czoła w powitalnym geście.

— Rad cię widzę, Murdocu.

— A ja ciebie, Kafu. — Thothanie nie używali żadnych tytułów i poczytywali to sobie za zaletę. W rzeczywistości ta rzekoma skromność była raczej przejawem pychy i poczucia wyższości!”

— Wiele lat minęło...

— Pięć. — Ogarnęło mnie podobne uczucie, jak na Sororis. Chciałem jak najprędzej załatwić sprawę i wynieść się stąd. Ten pokój wypełniony bujną roślinnością, niemal pulsujący życiem, robił mnie bardzo dziwne wrażenie.

Eet zmienił pozycję na moim ramieniu i w oczach Kafu pojawił się błysk zainteresowania.

— Masz nowego towarzysza, Murdocu.

— To puk — starałem się opanować zniecierpliwienie.

— Ach tak? Bardzo interesujące. Jednak zapewne nie przybył tutaj, by snuć refleksje nad upływem czasu albo dyskutować o różnych formach życia występujących w galaktyce. Co masz mi do powiedzenia?

Zdziwiłem się. Przechodząc od razu do sedna sprawy, Kafu postąpił wbrew zwyczajowi. Nie poprosił mnie nawet, żebym usiadł ani nie zaproponował niczego do picia. Było to niepokojące, gdy zwykle skrupulatnie przestrzegał form towarzyskich. Nie wiedziałem, czy mam do czynienia z ukrytą wrogością z jego strony, czy może postępował tak z jakichś innych powodów. W każdym było oczywiste, że nie ucieszył go mój widok.

Postanowiłem odpłacić mu tą samą monetą i dlatego odpowiadając na jego pytanie, użyłem tego samego, szorstkiego i lakonicznego tonu.

— Mam drogie kamienie na aukcję.

Kafu uniósł ręce w charakterystycznym geście, który dla Thothan znaczył to samo, co dla nas przeczący ruch głową.

— Nie posiadasz niczego, co mógłbyś sprzedać, Murdocu Jernie

— Doprawdy? A co powiesz o tym? — Nie podszedłem, aby wysypać kamienie na stół, co zapewne uczyniłbym, gdybym spotkał się z życzliwszym przyjęciem. Zamiast tego położyłem najcenniejszy okaz na otwartej dłoni, tak żeby Kafu mógł go obejrzeć w pełnym świetle. Od razu zauważyłem, że światło to ma pewną szczególną właściwość — musiałoby ujawnić każde fałszerstwo, wszystkie wady i niedoskonałości klejnotu. Nie wątpiłem, że mój kamień przejdzie pomyślnie tę pierwszą próbę.

— Powtarzam: nie masz niczego, co mógłbyś sprzedać, tutaj albo u innych licencjonowanych kupców. Nie możesz również uczestniczyć w legalnych aukcjach.

— Dlaczego? — Jego spokój i pewność, z jaką wypowiedział te słowa, zmroziły mnie. Człowiek taki jak Kafu nie posłużyłby się kłamstwem, żeby uzyskać korzystniejsze warunki. Jeśli twierdził, że transakcja jest niemożliwa, to widocznie rzeczywiście tak było. Na razie nie docierało do mnie jeszcze, że oznacza to klęskę moich planów. Chciałem tylko wiedzieć, dlaczego tak się stało.

— Władze uznały, że straciłeś wiarygodność.

— Kto na mnie doniósł? — Desperacko uczepiłem się jedynej szansy ratunku. Gdybym poznał imię oszczercy, mógłbym zażądać publicznego przesłuchania — oczywiście gdybym zdołał zebrać wystarczające środki na pokrycie opłat sądowych.

— Pewien przybysz z kosmosu. Vondar Ustle.

— Przecież... on nie żyje! Był moim mistrzem, ale niedawno zmarł!

— Owszem — zgodził się Kafu. — Jednak zgłoszenia dokonano w jego imieniu i posłużono się urzędową pieczęcią Vondara.

Na to już nic nie mogłem poradzić, a w każdym razie na pewno nie teraz. Być może kiedyś, w przyszłości udałoby mi się opłacić prawników, którzy walczyliby o moją sprawę w

wielu planetarnych sądach. W tej chwili jednak żaden szanowany kupiec nie zgodziłby się prowadzić ze mną interesów.

Kafu twierdził, że osoba, która doprowadziła do wpisania mnie na czarną listę, podszywała się pod zmarłego Vondara. Zastanawiałem się, kto to był i dlaczego to zrobił. Funkcjonariusz Patrołu pragnący wykorzystać mnie w swojej walce o źródło kamieni nicości? A może ktoś z Bractwa? Po raz pierwszy od wielu dni pomyślałem o kamieniach nicości. Dotychczas miałem głowę zbyt zaprzątniętą handlem, żeby o nich pamiętać, lecz być może to one były przekleństwem zatruwającym mi życie.

— Szkoda. Klejnoty wyglądają pięknie — dodał Kafu. Wrzuciłem kamienie z powrotem do sakiewki, którą następnie schowałem za pazuchę. Potem skinąłem głową, starając się zachować obojętny wyraz twarzy.

— Czcigodny Kafu z rodu Ludzi, proszę o wybaczenie, że cię niepokoiłem.

Kafu również wykonał lekki, prawie niedostrzegalny pożegnalny gest.

— Masz potężnych wrogów, Murdocu Jernie. Musisz ostrożnie stawiać kroki i wystrzegać się ciemności.

— O ile w ogóle uda mi się ruszyć z miejsca — wymamrotałem ponownie skinąłem głową i czym prędzej opuściłem pokój, w którym obrócono wniwecz wszystkie moje nadzieje.

Osiągnąłem dno. Nie miałem środków na pokrycie opłat portowych i wiedziałem, że władze wkrótce zajmą mój statek. Byłem właścicielem drogich kamieni wartych fortunę, lecz nie mogłem ich legalnie sprzedać.

Legalnie...

— Być może tego właśnie chcą — Eet odgadł moje myśli.

— Cóż, skoro została nam tylko jedna droga, musimy nią podążać — odpowiedziałem ponuro.

Rozdział ósmy

Na niektórych planetach mógłbym natychmiast zapuścić się w świat ciemnych interesów, ale nie na Lylestane. Nie znałem tu nikogo. Jednak po krótkim namyśle moją uwagę zwrócił pewien fragment rozmowy z Kafu — być może lekka sugestia z jego strony...

Co właściwie powiedział? Nie masz niczego, co mógłbyś sprzedać któremukolwiek z licencjonowanych kupców... Czy rzeczywiście podkreślił słowo „licencjonowanych”, czy może tylko mi się tak zdawało? Czyżby próbował skłonić mnie do złamania prawa, licząc na to, że doniósłszy na mnie władzom, będzie mógł nabyć skonfiskowany klejnot ze zniżką? Nie wykluczałbym takiej możliwości, gdyby chodziło o kogoś innego. Sądziłem jednak, że Kafu nie ryzykowałby utraty dobrego imienia, angażując się w jakieś ciemne sprawy. Vondar uważał Thothanina za osobę godną zaufania i wiedziałem, że mojego zmarłego mistrza łączyły z małym brązowym człowieczkiem więzy głębokiej przyjaźni. Czy Kafu przeniósł choć odrobinę swych uczuć na mnie i teraz próbował dyskretnie naprowadzić mnie na właściwy trop? A może po prostu te wszystkie spekulacje zrodziły się w mojej rozgorączkowanej wyobraźni?

— Nie, masz słuszość — po raz drugi Eet przerwał tok moich myśli. — Masz słuszość, sądząc, że on ci sprzyja. Niestety, z pewnych względów nie mógł tego okazać... nie w tamtym pokoju.

— Promienie zwiadowcze?

— Coś w rodzaju fal podsłuchowych — odpowiedział Eet. — Miałem problemy z ich odebraniem, gdyż zostały wysłane przez maszynę, a nie przez ludzki mózg. To, co powiedział ten Kafu, było przeznaczone nie tylko dla twoich uszu. Jednak w czasie gdy mówił, jego myśli krążyły zupełnie innymi ścieżkami. Żałował, że nie może ci pomóc. Czy słyszałeś o kimś, kogo nazywają Tacktile?

— Tacktile? — powtórzyłem, zastanawiając się, kto i dlaczego szpiegował Kafu. Najprawdopodobniej ludzie Patrolu wciąż deptali mi po piętach. Doszedłem do wniosku, że wywierają na mnie presję, aby zmusić do przyjęcia warunków, które odrzuciłem na Thebie.

— Tak, tak, nie mylisz się! — Eet był już zniecierpliwiony. — Ale przeszłość nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. Liczy się tylko to, co ma nastąpić. Kim jest ten Tacktile?

— Nie mam pojęcia. A dlaczego pytasz?

— Bo właśnie o nim myślał Kafu, kiedy zasugerował ci sprzedaż klejnotów na czarnym rynku. W jego umyśle pojawił się również niewyraźny obraz budynku z ostro ściętym dachem. Nie zdołałem jednak przyjrzeć mu się dokładnie, bo zaraz zniknął. Kafu posiada podstawowe umiejętności z zakresu telepatii i zorientował się, ktoś próbuje wybadać jego myśli. Na szczęście, uznał to za efekt działania promieni zwiadowczych i nas nie podejrzewał.

Nas? Czy Eet chciał mi pochlebić?

— Miał prowizoryczną tarczę ochronną — ciągnął dalej mój towarzysz — wystarczająco sprawną, by zakłócić odbiór, zwłaszcza że brakowało mi czasu na jej rozpracowanie. Sądzę jednak, że ten Tactile mógłby ci się przydać.

— Jeśli jest CHK — czarnorynkowym handlarzem kamieni — to być może pełni jedynie funkcję przynęty w zastawionej przez kogoś pułapce.

— Nie, nie sądzą. Kafu widział w nim rozwiązanie twoich problemów, tylko nie mógł tego powiedzieć wprost. Poza tym Tactile przebywa na Lylestane.

— To bardzo cenna wiadomość — powiedziałem drwiąco — niestety nie mogę sobie pozwolić na spędzenie tu kilku lat, a właśnie tyle czasu zajmie szukanie człowieka znanego mi tylko z imienia i tak gęsto zaludnionej planecie.

— Faktycznie. Tylko jeśli taki Kafu uważa, że Tactile mógłby ci pomóc, to zapewne ten ostatni jest dobrze znany w środowisku ludzi handlujących klejnotami, nieprawdaż? Myślę, że powinieneś...

Tym razem udało mi się go wyprzedzić.

— Obejdę wszystkich kupców, nie zważając na to, że zdaniem moje nazwisko figuruje na czarnej liście — powiedziałem szybko. — zaś spróbujesz zbadać myśli ludzi, z którymi się będę spotykał.

Nie był to zły pomysł, chociaż musiałem znowu zdać się całko wicie na nadzwyczajne zdolności mojego towarzysza. W dodatku mogłem liczyć na to, że któryś z drobnych handlarzy, skuszony urodą kamieni, podejmie ryzyko przeprowadzenia nielegalnej transakcji. Postanowiłem zacząć właśnie od tych drobnych płotek.

Dopiero wieczór położył kres serii żalonych niepowodzeń. Chociaż niektórzy z odwiedzanych przez nas kupców spoglądali łączywie na oferowany towar, wszyscy powtarzali tę samą formułkę, że zostałem wpisany na czarną listę i w związku z tym nie ma mowy o robieniu jakichkolwiek interesów. Moja klęska nie była jednak całkowita, gdyż Eet cały czas prowadził swoje własne badania, czytając myśli naszych gospodarzy. Dzięki temu wracałem na statek zmęczony, ale — zważywszy okoliczności — w całkiem niezłym nastroju. Wiedziałem już kim był Tactile i gdzie mieszkał, a na dodatek nie musieliśmy iść daleko, gdyż jego siedziba mieściła się w Zewnętrznym Porcie.

Tactile, podobnie jak mój ojciec, prowadził lombard dla kosmicznych podróżników. Wielu z nich, nadużywając przyjemności Zewnętrznego Portu, zostawiało u niego cenne drobiazgi, aby jeszcze raz spróbować szczęścia w jaskiniach hazardu, lub przynajmniej utrzymać się przy życiu do chwili opuszczenia planety.

Nawet jeśli prowadził swe przedsiębiorstwo zgodnie z przepisami, to jako właściciel lombardu, musiał mieć do czynienia z Bractwem. Co ciekawe, był kosmitą z Warlock, Wyvernem płci męskiej, a przy tym gejem. Z jakiegoś powodu opuścił swą planetę, gdzie panował matriarchat i przeniósł się na Lylestane, zachowując jednak obywatelstwo Warlock i utrzymując stały kontakt z rodzinnymi stronami, w czym Patrol nie próbował mu przeszkadzać. Pełnił w pewnym sensie funkcję konsula honorowego swej planety na Lylestane. Nikt nie wiedział, jakiego rodzaju związki łączą go z żeńskimi władczyniami Warlock, ale potrafił pomyślnie załatwiać dla nich rozmaite sprawy międzyplanetarne i dzięki temu cieszył się półdyplomatycznym statusem, co pozwalało mu łamać niektóre mało istotne przepisy.

W rzeczywistości nazywał się inaczej. Imię „Tactile” nadali mu ludzie, którzy nie byli w stanie wymówić jego prawdziwego miana. Ludzie, a raczej mężczyźni z Warlock używali dziwnej, klekoczącej mowy, podczas gdy tamtejsze kobiety posługiwały się telepatią.

— No więc — Ryzk popatrzył w moim kierunku — jak ci poszło? Nie było sensu ukrywać przed nim prawdy. Nie sądziłem, żeby zdecydował się teraz uciec ze statku, skoro nie mógł sobie pozwolić nawet na krótką wizytę w porcie.

— Źle. Wciągnęli mnie na czarną listę. Nikt nie chce ze mną handlować.

— Ach, tak. Zwijamy się od razu, czy dopiero jutro? — oparł się plecami o ścianę kabiny. — Trudno, i tak nie mam nic do stracenia. Zawsze mogę spróbować w biurze pośrednictwa pracy.

Powiedział to suchym tonem, ale w jego głosie brzmiała tłumiona desperacja uziemionego kosmonauty.

— Na razie nie robimy nic. Wieczorem raz jeszcze wybiorę się do miasta. Od początku tej podróży czas jest naszym wrogiem. Musimy w ciągu dwudziestu czterech godzin zebrać środki na opłaty portowe, bo w przeciwnym razie skonfiskują nam statek.

— Tym razem jednak — ciągnąłem dalej — nie wystąpię jako Murdoc Jern.

Pozostała mi już tylko wątła nadzieja. Jeśli uznano mnie za niegodnego zaufania, to niewątpliwie statek i jego dwuosobowa załoga — gdyż Eeta zapewne przeoczyli — był pod stałą obserwacją. Musiałem więc iść w przebraniu. Zastanawiałem się, jak rozegrać tę grę.

— Opuszczając statek, skorzystam z zapadających ciemności. Potem będę musiał jakoś przedostać się przez halę pasażerską... — myślałem głośno. Ryzk przecząco pokręcił głową.

— To ci się nigdy nie uda. Zauważono by tu nawet przemytnika z Bractwa. Wejście do hali jest pod stałą obserwacją, a niepożądanych gości wyłapują już w tunelu prowadzącym na kosmodrom.

— Zaryzykuję — odrzekłem krótko. Nie powiedziałem mu jednak, jakiego sposobu zamierzam użyć. Chciałem, żeby moje wprawki w Eetowych sztuczkach pozostały tajemnicą. Sekret ma bowiem wartość jedynie tak długo, jak długo pozostaje sekretem.

Zjedliśmy i Ryzk wrócił do swojej kabiny, aby tam oddać się ponurym myślom. Byłem pewien, że stracił już wszelką wiarę we mnie i trudno było się temu dziwić.

Mimo to, wróciwszy do kabiny, natychmiast zasiadłem przed lustrem. Tym razem nie mogłem poprzestać na zwykłej bliźnie. Musiałem całkowicie zmienić twarz, podobnie jak wcześniej całkowicie zmieniłem ubiór. Zamiast nowej tuniki miałem teraz na sobie znoszony kombinezon mechanika ze statku trampowego.

Utkwiłem wzrok w swoim odbiciu w lustrze. Nie marzyłem nawet o stworzeniu dokładnej kopii twarzy, którą przyjąłem za wzór — wystarczyłoby chociaż niewielkie podobieństwo...

Wysiłek umysłowy kosztował mnie mnóstwo energii, toteż drżałem ze zmęczenia, oglądając w lustrze swoje nowe oblicze. Miałem oliwkową skórę Zorastianina, duże oczy i bardzo wąskie, zaciśnięte, blade usta. Kiedy rozchyliłem wargi, zobaczyłem ostro zakończone zęby. Jeśli udałoby mi się utrzymać ten obraz, nikt nie rozpoznałby we mnie Murdoca Jerna.

— Daleko ci do doskonałości — Eet nie pozwolił mi spokojnie kontemplować nowego wizerunku. — Jak większość początkujących, starsz się tworzyć bardzo dziwaczne iluzje. Jednak w tym wypadku miałeś rację. Na tej planecie rzeczywiście roi się od różnych dziwnych przybyszów.

Odwrociłem się. Mój towarzysz nie był już pukiem. Nie był też Eetem — na mojej koi leżało stworzenie przypominające węża, z wąską głową w kształcie grotu strzały. Tej formy życia nie znałem nawet z nazwy.

Nie miałem wątpliwości, że Eet zamierza mi towarzyszyć. Było rzeczą jasną, że nie mogę całkowicie polegać na swoich słabych ludzkich zmysłach, a od wizyty u Tacktile'a zależało bardzo wiele. Dlatego tym razem wołałem zapomnieć o swojej dumie.

Gad owinał mi się wokół ramienia. Wyglądał jak obrzydliwa, masywna bransoleta. Lekko podniesiona głowa umożliwiała mu obserwację otoczenia. Obaj byliśmy gotowi do wyjścia, jednak nie zamierzałem schodzić po trapie.

Zamiast tego poszedłem w głąb statku i przystanąłem przy otwartym luku, umieszczonym tuż nad statecznikami. Szukając po omacku, odnalazłem na jednym ze stateczników uchwyty, służące technikom podczas dokonywania przeglądów i napraw. Po chwili stałem już na ziemi, kryjąc się w cieniu rakiety.

Miałem co prawda identyfikator Ryzka, ale liczyłem, że nie będę musiał go pokazywać. Na szczęście w pobliżu przechodziła grupa urlopowiczów z jakiegoś dużego, międzygwiazdowego statku. Wykonałem ten sam manewr co na Thebie i przyłączyłem się do gromady. Roboty obserwacyjne nie powinny zwrócić uwagi na to, że mój wygląd zewnętrzny

nie odpowiada opisowi z identyfikatora. Taką przynajmniej miałem nadzieję, pomykając chyłkiem za turystami. Cała grupa zmierzała w stronę Zewnętrznego Portu.

Miejsce to w niczym nie przypominało zakazanej dziury, w której znalazłem Ryzka. Idąc główną ulicą, nie zauważyłem ani śladu jaskrawych, kolorowych neonów. Szpiczasty dach sklepu Tacktile'a widać było już od bramy. Wszystko wskazywało na to, że właściciel uznał oryginalny kształt budynku za najlepszy drogowskaz, rezygnując z umieszczenia na murach tabliczek wskazujących drogę.

Boczne płaszczyzny dachu zbiegały się pod tak ostrym kątem, że niemal całkowicie zasłaniały ściany. Drzwi były bardzo wysokie i przez to wydawały się nadzwyczaj wąskie. Ustąpiły natychmiast pod naciskiem ręki.

Znałem dobrze tego typu lombardy. Po obu stronach pomieszczenia, do którego wszedłem, znajdowały się lady, między którymi pozostawiono tylko ciasne przejście. Na ścianach, za kontuarami, wisiały półki zastawione różnymi przedmiotami, przyniesionymi przez klientów. Każdy przedmiot chroniła cienka mgiełka pola siłowego. Najwyraźniej interes prowadzony przez Tacktile'a kwitł, gdyż w sklepie znajdowało się aż czterech ekspedientów — po dwóch przy każdej ladzie. Jeden z ekspedientów był potomkiem Terran, drugi wyglądał na Trystianina i chyba liniał, gdyż pióropusz na jego głowie sprawiał wrażenie mocno wystrzępionego. O stworzeniu stojącym najbliżej mnie, którego szarą skórę pokrywały liczne brodawki, nie potrafiłem nic powiedzieć. Natomiast czwarty sprzedawca natychmiast zwrócił moją uwagę, gdyż zdecydowanie nie pasował do tego miejsca.

W galaktyce istniała pewna stara rasa, plemię istot nadzwyczaj uczonych i szacownych. Nazywano ich Zakathanami. Pochodzili od jaszczurek i byli historykami, archeologami, nauczycielami... Nigdy nie słyszałem, żeby któryś z nich zajmował się handlem. Jednak sprzedawca, niedbale oparty o ścianę i zajęty wpychaniem taśmy do urządzenia rejestrującego, był bez wątpienia Zakathaninem.

Szaroskóra istota przypatrywała mi się leniwie spod w półprzymkniętych powiek. Trystianin sprawiał wrażenie nieobecnego duchem, a Terranin uśmiechnął się przymilnie i pochylił do przodu.

— Witamy, o Czcigodny z rodu Ludzi. Czym możemy ci służyć? — zapytał. — Płacimy dobrymi kredytami, od ręki i bez zbędnych targów. Z pewnością będziesz w pełni usatysfakcjonowany.

Chciałem dobić targu z samym Tacktile'em, ale obawiałem się, że dotarcie do niego nie będzie łatwe. Chyba, że Wyvern miał powiązania z Bractwem. W takim wypadku znajomość ich tajnego kodu, i którą zawdzięczałem ojcu, mogła mi bardzo pomóc. Jednak to, co zamierzałem zrobić, było jak spacer po linie zawieszanej nad przepaścią. Jeśli Tacktile prowadził uczciwe przedsiębiorstwo, albo jeśli bardzo zależało mu na dobrych układach z Patrolem, to zobaczywszy kamienie, natychmiast złożyłby na mnie donos. Jeśli zaś trzymał z Bractwem, to próbowałby z kolei dowiedzieć się czegoś o ich pochodzeniu. W obu

przypadkach groziła mi denuncjacja, toteż musiałem się bardzo spieszyć. Mimo to, znałem doskonale wartość swojego towaru i nie zamierzałem rezygnować z większej części zysku, niż to było konieczne.

Posłałem Terraninowi znaczące spojrzenie. Potem z zakamarków pamięci wygrzebałem właściwą formułkę, licząc na to, że zadziała, chyba że tymczasem hasło zostało zmienione.

— Na sześć rąk i cztery żołądki Saput! — wymamrotałem. — Tak się składa, że faktycznie możecie mi usłużyć.

Sprzedawca nie okazał żadnego zainteresowania. Był albo doskonale wyszkolony, albo po prostu ostrożny.

— Wspomniałeś o bogini Saput, przyjacielu. Czyżbyś odwiedzał ostatnio Jangour?

— Byłem tam i nie mam zamiaru wrócić. Łzy bogini to coś, czego człowiek nie zapomina... nigdy.

Pozornie bezsensowne zdania pochodziły w istocie ze złodziejskiego żargonu, używanego niegdyś przez członków Bractwa. Oznaczały, że mam naprawdę niezwykłą zdobycz i zamierzam ją pokazać wyłącznie właścicielowi sklepu. Te słowa tajnego kodu szczególnie wryły mi się w pamięć, gdyż słyszałem je wielokrotnie, stojąc za identyczną ladą w lombardzie ojca.

— To prawda, Saput nie jest zbyt łaskawa dla przybyszów z innych planet. Tutaj spotkasz się z życzliwszym przyjęciem, przyjacielu.

Oparł dłoń na ladzie i jednocześnie drugą ręką wyciągnął spod lady talerz kandyzowanych śliwek. Poczułem się jak klient w sklepie dla dostojników.

Podniosłem śliwkę z talerza i na jej miejsce położyłem najmniejszy z zielonych kamieni. Jeden rzut oka pozwolił ekspedientowi zorientować się w sytuacji. Zabrał talerz i schował go z powrotem pod ladą. Wiedziałem, że ma tam komunikator wyposażony w kamerę, która przekaże obraz Tacktile'owi.

— Chcesz mi coś pokazać, przyjacielu? — zapytał swobodnym tonem. Położyłem na ladzie niewielki okruch zoranu, pamiątkę po nieudanym handlu z lorgalianami.

— Kamień ma skazę — ocenił fachowo — jednak od tak dawna nie widzieliśmy tu zoranów, że chętnie pójdziemy ci na rękę. Chcesz to sprzedać czy zastawić?

— Sprzedać.

— Ach, tak. Niestety, wolno mi tylko przyjmować rzeczy w zastaw. W sprawie sprzedaży będziesz się musiał porozumieć z samym mistrzem. A on czasem miewa humory. Lepiej daj nam kamień w zastaw, przyjacielu. Dostaniesz trzy kredyty...

Potrząsnąłem przecząco głową, udając prymitywnego i upartego szeregowego kosmonautę.

— Chcę sprzedać za cztery.

— Dobrze, zapytam mistrza. Lecz jeśli się nie zgodzi, nie weźmiemy tego nawet w zastaw.

Palec ekspedienta zawisł nad klawiszem interkomu, jak gdyby Terranin chciał dać mi ostatnią szansę na zmianę zdania. Pokręciłem głową. Sprzedawca wzruszył ramionami i z wyrazem współczucia na twarzy nacisnął guzik.

Nie rozumiałem, jaki sens mają te podchody. Oprócz mnie w sklepie nie było ani jednego klienta, a pozostali ekspedienci na pewno równie dobrze znali tajny kod. Widocznie bali się jakichś promieni zwiadowczych, penetrujących zapewne tę część zakładu.

Tuż obok guzika zabłysła na chwilę lampka kontrolna. Sprzedawca wskazał mi drogę na zaplecze.

— Pamiętaj, że cię ostrzegałem, przyjacielu. Twój klejnot z pewnością nie zainteresuje mistrza i przegrasz na całej linii.

— Zobaczmy. — Minałem pozostałych sprzedawców, którzy w ogóle nie zwrócili na mnie uwagi. Kiedy doszedłem do końca; pomieszczenia, część muru wsunęła się w ścianę i odsłoniła wejście do biura Tacktile'a.

Nie zdziwiłem się, widząc na biurku znajomy talerz z lepkiem śliwkami. Zielony kamień leżał już na honorowym miejscu, w samym środku świetlnego kręgu. Tacktile obrócił ku mnie swe pokraczne oblicze i długo świdrował spojrzeniem głęboko osadzonych oczu. Cieszyłem się, że w przeciwieństwie do kobiet Wyvernów nie posiada zdolności telepatycznych.

— Masz ich więcej? — zapytał bez niepotrzebnych wstępów.

— Tak, i to znacznie lepszych.

— Czy te kamienie figurują w rejestrach rzeczy skradzionych?

Czy popełniono w związku z nimi jakieś przestępstwo?

— Nie, zostały uczciwie kupione.

Nerwowo zabębnił w stół tępymi pazurami.

— Ile chcesz za nie?

— Cztery tysiące kredytów.

— Chyba zwariowałaś, cudzoziemcze. Na oficjalnej aukcji...

— ...dostałbym za nie pięć razy tyle — dokończyłem.

Tacktile nie poprosił mnie, żebym usiadł, wobec tego sam zająłem krzesło stojące po drugiej stronie biurka.

— Jeśli chcesz dostać swoje dwadzieścia tysięcy, wystaw klejnoty na licytację — odparował — jeżeli naprawdę są czyste, to nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś tego zrobić.

— To jest powód. — Wykonałem szybki gest dwoma palcami.

— A więc tak się sprawy przedstawiają... — zrobił krótką pauzę — dobrze, niech będą cztery tysiące. Chcesz zapłatę w gotówce?

W duchu odetchnąłem z ulgą. Ryzykowne posunięcie opłaciło się — Tacktile spokojnie przyjął informację, że ścigają mnie ludzie Bractwa. Potrząsnąłem przecząco głową.

— Nie, zdeponuj całą sumę w porcie.

— Dobrze, doskonale — powiedział. Tymczasem Eet zdążył poinformować mnie, że kupiec jest przerażony i nie odważy się nas oszukać.

Tactile wyjął urządzenie rejestrujące.

— Jakie imię mam wpisać? — zapytał

— Eet — odpowiedziałem. — Cztery tysiące, płatne w porcie. Wypłata na sygnał dźwiękowy o następującej częstotliwości — tu podałem mu kod.

Przybyłem na Lylestane z wielkimi nadziejami. Opuszczałem to miejsce bogatszy jedynie o skromną sumę, dzięki której mogłem uiścić opłaty lotniskowe i uzupełnić zapasy. W dodatku nawiązując kontakt z Tactile'em, ryzykowałem ściągnięcie sobie na kark pościgu.

Pokazałem Wyvernowi pozostałe kamienie, a on zaczął je oglądać, sztuka po sztuce. Ze sposobu, w jaki to robił, wywnioskowałem, że zna się trochę na klejnotach. W końcu kiwnął głową i wpisał ostatnie dane do urządzenia rejestrującego.

Wyszedłem ze sklepu tą samą drogą i tym razem wszyscy ekspedienci, poinstruowani przez Tactile'a, udawali, że mnie nie dostrzegają. Kiedy byliśmy już na zewnątrz, Eet przemówił ponownie.

— Dobrze byłoby wypić za powodzenie wyprawy. Na przykład w Purpurowej Gwieździe.

Ta propozycja była tak nieoczekiwana, że ze zdumienia zmyliłem krok. Uważałem, że o wiele mądrzej byłoby od razu wrócić na statek, poczynić niezbędne przygotowania i wystartować, zanim wpadniemy w jakieś poważniejsze kłopoty. Jednak doświadczenie nauczyło mnie, że rad Eeta nigdy nie należy lekceważyć.

— Dlaczego? — Zapytałem, idąc wciąż ku majaczącym w oddali światłom portowym.

— Ten Zakathanin w sklepie Tactile'a to wtyczka — wyjaśnił Eet i ciągnął dalej, tak gładko, jak gdyby czytał z taśmy. — Szuka pewnych informacji, które posiada kupiec. Wyvern ma się z kimś spotkać za godzinę w Purpurowej Gwieździe. To bardzo ważne spotkanie.

— Nie dla nas — zaoponowałem. Nie zamierzałem angażować się w jakieś ciemne interesy, zwłaszcza, jeśli były to interesy Bractwa.

— Bractwo nie ma z tym nic wspólnego! — Eet brutalnie przerwał tok moich myśli. — Sam Tactile zresztą nie jest jego członkiem, on tylko z nimi handluje. A tym razem chodzi akurat o coś zupełnie innego. — Piractwo... albo napad Jacksów.

— Powiedziałem już: to nie nasza sprawa!

— Twoje nazwisko umieszczono na czarnej liście. Jeśli to zasługa Patrolu, to być może zdołasz kupić sobie rozgrzeszenie, na przykład dostarczając im jakichś cennych wiadomości.

— Tak jak poprzednim razem? Nie sądzą, żeby udało nam się powtórzyć tę samą sztuczkę. Zresztą, to musiałaby być bardzo cenna informacja...

— Tactile był podniecony, myślał o naprawdę wielkich pieniądzech — ciągnął dalej Eet. — Weź mnie ze sobą do Purpurowej Gwiazdy, a dowiemy się, o co właściwie chodzi.

Zostałeś napiętnowany, więc twoja kupiecka kariera jest skończona. Czy masz jeszcze coś do stracenia? Spróbuj. Wciąż jeszcze nie zaczęliśmy szukać kamieni nicości.

Konieczność ciągłej walki o środki do życia sprawiła, że niemal zapomniałem o głównym celu naszej wyprawy, który wydawał się teraz czymś prawie nierealnym. Instynkt mówił mi, że to, co proponuje Eet, byłoby w istocie rzuceniem się na oślep w rzekę meteorów. Jednak nawet hazardzistom niekiedy sprzyja szczęście. Może Eetowi rzeczywiście udałoby się podsłuchać rozmowę Wyverna z tajemniczym nieznajomym — a stawka w tej grze musiała być wysoka, skoro Zakathanie zdecydowali się umieścić w sklepie swojego szpiega. Poza tym wizyta w barze w celu obłania udanego interesu doskonale pasowała do odgrywanej przeze mnie roli prostego kosmonauty.

— Zawróć i miń cztery budynki — zakomenderował Eet. Kiedy spojrzałem do tyłu, natychmiast zauważyłem neon w kształcie pięcioramiennej, purpurowej gwiazdy.

Był to bar wyższej kategorii, toteż portier popatrzył na mnie niechętnie, kiedy wreszcie zdobyłem się na odwagę i wszedłem do środka. Przez chwilę myślałem, że spróbuje mnie zatrzymać, ale jeśli rzeczywiście miał taki zamiar, to widocznie w ostatniej chwili zmienił zdanie i odsunął się na bok.

— Wybierz lożę po prawej, tę, nad którą wisi maska Iuty — polecił mój towarzysz.

Tuż za naszą wnęką mieściła się następna, ale ten, kto ją zajmował, zasunął kotarę, uniemożliwiając osobom postronnym obserwację wnętrza. Usiadłem i nacisnąłem klawisz, uruchamiając w ten sposób robota obsługującego stolik. Zamówiłem najtańszy napój, gdyż na inny nie było mnie stać, a poza tym i tak nie zamierzałem go pić. W przyćmionym świetle obserwowałem klientów baru. Większość z nich stanowili Terranie. Nie zauważyłem natomiast Tacktile'a. Eet poruszył się na moim ramieniu i skierował swój ostro zakończony łeb w stronę przegrody dzielącej naszą lożę od następnej, osłoniętej kotarą.

— Jest Wyvern — oznajmił — wszedł przez rozsuwane drzwi, ukryte w ścianie. Ten drugi już tam na niego czekał. Używają skrybopisaków.

Słyszałem szmer ściszonych głosów i wyobraziłem sobie tamtych dwóch wymieniających zdawkowe uwagi, podczas gdy ich palce błyskawicznie operowały skrybopisakami. Urządzenia te pozwalały na swobodne komunikowanie się, gdyż nie można było ich namierzyć promieniami zwiadowczymi. Takie środki ostrożności były jednak niewystarczające wobec niezwykłych talentów Eeta. Jeżeli myśli Tacktile'a i tego drugiego skupione były na właściwym temacie rozmowy, mój towarzysz mógł je bez trudu odczytać.

— Chodzi o operację Jacksów — powiedział Eet — ale Tacktile odmawia udziału. Jest bardzo ostrożny... i słusznie, bo ofiarą mają paść Zakathanie.

— Pewnie chcą im ukraść jakieś znaleziska archeologiczne...

— Tak, podobno o ogromnej wartości. To nie pierwsza tego typu akcja. Tacktile mówi, że ryzyko jest zbyt duże, ale tamten zaprzecza. Jak twierdzi, wszystko zostało pieczołowicie

przygotowane, a w odległości kilku lat świetlnych od tego miejsca nie ma żadnego statku Patrolu. Wyvern jest twardy, radzi tamtemu, żeby spróbował gdzie indziej. Teraz odchodzi.

Podniosłem szklanę do ust, nie wypijając jednak ani kropli płynu.

— Kiedy i gdzie nastąpi napad?

— Znam współrzędne tego miejsca, bo Obcy myślał o nich w czasie rozmowy. Kiedy chcą zaatakować — nie wiem.

— Nie mamy zatem żadnego konkretnego dowodu dla Patrolu — powiedziałem cierpko, wylewając większość zawartości szklanki na podłogę.

— Tak — zgodził się Eet — możemy jednak ostrzec potencjalne ofiary...

— Za duże ryzyko. Może atak już się odbył. Co będzie, jak złapią nas tuż obok miejsca zbrodni? Automatycznie staniemy się podejrzanymi.

— To Zakathanie — przypomniał mój towarzysz. — Oni zawsze odgadną prawdę. Wystarczy, że nawiążę z nimi telepatyczny kontakt.

— Ale mimo wszystko nie masz pojęcia, kiedy przeprowadzą operację... może nawet w tej chwili!

— Wątpię. Nie wyszło im z Tactile'em. Muszą znaleźć innego kupca, albo przekonać Wyyerna, żeby zmienił zdanie. Już raz podjąłeś ryzyko na Sororis, może powinienes zrobić to ponownie. Zwłaszcza że ewentualny sukces dałby ci bardzo wiele. Wsparcie Zakathanów, skreślenie twojego nazwiska z czarnej listy...

Wstałem, wyszedłem na ruchliwą ulicę i skierowałem się w stronę portu. Wyglądało na to, że mimo moich rozpaczliwych prób zachowania samodzielności Eet i tak decydował o wszystkim, gdyż logika i zdrowy rozsądek zawsze były po jego stronie. Wyrzucony poza nawias kupieckiej społeczności, nie mogłem dalej prowadzić handlu. Gdybym zaś przypadkiem zdołał ostrzec jakąś zakathańską ekspedycję o grożącym napadzie, zyskałbym bardzo potężnych protektorów. I nie tylko! Zakathanie zajmowali się wyłącznie starożytnościami, toteż tym wielkim skarbem, którym kuszono Tactile'a mogły być nawet kamienie nicości.

— Właśnie — podsumował z zadowoleniem Eet. — A teraz radzę ci czym prędzej opuścić tę niegościnną planetę.

Popędziłem w stronę statku, zastanawiając się, jak Ryzk przyjmie te najświeższe rewelacje. To, że zamierzaliśmy przeszkodzić Jacksom w dokonaniu napaści, raczej nie wróżyło nam długiego życia. Na szczęście w grze brali udział Zakathanie, co dawało nam jakieś szansę na zwycięstwo.

Rozdział dziewiąty

Planeta pod nami przypominała kulistą bryłę bursztynu, lecz nie takiego z Terry, który jest zwykle żółty albo ma barwę miodu. Kolor tego ciała niebieskiego przywodził raczej na myśl brązowozieloną, syrenejską ambrę. W miarę jak zbliżaliśmy się do powierzchni planety, zielone plamy rosły i stawały się rozległymi morzami. Nie zauważyłem żadnych dużych kontynentów, jedynie rozsiane gdzieniegdzie pojedyncze wyspy i archipelagi. Na całej planecie znajdowały się tylko dwa miejsca nadające się do lądowania.

Ryzk był podniecony. Z początku nie chciał się zgodzić na nasz plan, twierdząc, że punkt o wskazanych przez nas współrzędnych znajduje się w sektorze nie opisanym na żadnej mapie. Potem uświadomił sobie, że zmierzamy w stronę nowego, niezbadanego jeszcze świata i natychmiast obudził się w nim instynkt Wolnego Kupca.

Ostrożnie krążyliśmy po orbicie, ale nie zauważyliśmy nigdzie ani miasta, ani żadnego innego śladu obecności rozumnych istot. Mimo to postanowiliśmy zastosować tę samą taktykę, co na Sororis. Razem z Eetem mieliśmy ponownie opuścić orbitujący statek i udać się na rekonesans w zmodyfikowanej kapsule ratunkowej. Przypuszczając, że ewentualne poszukiwania archeologiczne mogły być prowadzone jedynie w rejonie któregoś z dwóch lądowisk, wybrałem to położone bardziej na północ.

Wylądowaliśmy o świcie. Ryzk, długo eksperymentując z kapsułą, wprowadził kilka dodatkowych ulepszeń, między innymi możliwość wyłączania automatycznego pilota i ręcznego sterowania. Potem tak długo szkolił mnie w obsłudze tego urządzenia, aż nauczyłem się w pełni panować nad maszyną. Nie miałem żadnego doświadczenia jako pilot galaktyczny, ale od dzieciństwa latałem na ścigaczach i ta umiejętność bardzo mi się teraz przydała.

Eet, tym razem w swojej prawdziwej postaci, zwinął się w kłębek na drugim hamaku, pozwalając mi samodzielnie sterować. Obserwując krajobraz, tuż przed lądowaniem zorientowałem się, że planeta zawdzięcza swą brązową barwę porastającym ją drzewom. Właściwie nie były to drzewa, lecz gigantyczne krzewy o cienkich, delikatnych gałązkach, okrytych bujnym, szeleszczącym listowiem. Krzewy miały od dwudziestu do trzydziestu stóp wysokości i nieustannie gięły się i kołysały, jak gdyby smagane wichrem. Występowały w

kilku różnych odcieniach, od zrudziałych brązów do jasnej miedzi. Porastały ziemię tak gęsto, że w zasięgu wzroku nie było widać ani skrawka wolnej przestrzeni, na której mogłaby wylądować kapsuła. Nie miałem najmniejszego zamiaru wpaść w zarośla, toteż wyłączyłem automat, przejąłem stery i lecąc nisko nad ziemią, rozglądałem się za jakąś polaną. Przez dłuższą chwilę nie mogłem nic znaleźć. Pomyślałem nawet, że wybrałem niewłaściwą wyspę i powinienem udać się na południe, aby zbadać drugą.

Wkrótce jednak dotarliśmy do miejsc pokrytych niskopienną roślinnością, a potem do wydym, gdzie pojedyncze ziarenka czerwonego, krystalicznego piasku skrzyły się w blasku wschodzącego słońca. W dole szumiało zielone morze, którego barwa przywodziła mi na myśl terrańskie szmaragdy.

Na środku szerokiej plaży, w połowie drogi między wydmami a wodą, znajdował się mój pierwszy drogowskaz — szeroka połać zeszlonego piasku, osmalonego ogniem z dysz hamulcowych. Tutaj właśnie lądowały rakiety. Przeleciałem jeszcze kawałek i osiadłem na ziemi tuż przy zaroślach, kryjąc się pod okapem z liści. Lądowanie było tak łagodne i precyzyjne, że poczułem przyływ uzasadnionej dumy.

Jeżeli śladu na plaży nie pozostawił statek zwiadowczy, to powinienem znaleźć w pobliżu resztki obozowiska archeologów. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

W atmosferze znajdowała się wystarczająca ilość tlenu, mogłem więc bez obawy zostawić hełm w kapsule. Zabrałem za to ze sobą coś innego, coś, co dał mi Ryzk. Nie wolno nam było używać laserów ani paralizatorów, więc Wolny Kupiec skonstruował broń własnego pomysłu — małą kuszę, wyrzucającą ostre jak igła strzałki. Ja sam wpadłem na to, żeby groty tych strzałek zrobić z gorszego gatunku zoranów, które zaostrzyłem za pomocą narzędzi jubilerskich.

Umiałem się posługiwać konwencjonalną bronią, ale ten prowizoryczny samostrzał wydawał mi się znacznie bardziej śmiertelny i skuteczny. Gdybym nie obawiał się spotkania z piracką załogą, zapewne zostawiłbym go na statku. My, kosmiczni wędrowcy, już od dawna nauczyliśmy się tłumić w sobie pierwotny instynkt atakowania wszystkiego, co obce. Pierwszym kosmonautom zakładano specjalne umysłowe „blokady” hamujące agresję. Później pewna powściągliwość i łagodność stała się częścią ludzkiej natury. Wciąż jednak musieliśmy czasem używać broni — zwłaszcza przeciwko istotom naszego gatunku. Efekty działania paralizatora nie były trwałe, toteż tego rodzaju sprzętu nie objęto embargiem. Natomiast laser stanowił część wyposażenia wojskowego i większość wędrowców nie miała prawa go używać. Jeśli chodzi o mnie, to jako „ułaskawiony” przestępca nie mogłem korzystać nawet z paralizatora. To, że wybaczone mi występek, którego nigdy nie popełniłem, umknęło jakoś moim dobroczyńcom. Nie chciałem jednak składać wniosku o przedłużenie pozwolenia, by nie zwracać na siebie ich uwagi.

Teraz, kiedy z Eetem na ramieniu wysiadałem z kapsuły, dziękowałem losowi za wynalazek Ryzka. Co prawda, ten świat nie wyglądał groźnie — słońce świeciło jasno, a jego

promienie dawały przyjemne ciepło. Łagodna bryza szeleściła w listowiu, niosąc ze sobą aromaty, które zadowolilyby nawet obdarzonego delikatnym powonieniem Salarika. Obserwując z dołu łądygi roślin, zobaczyłem, że niektóre cieńsze pędy uginają się pod ciężarem szkarłatno-złotykh kwiatów. Wokół nich uwijały się roje owadów.

W miejscu, gdzie wydmy stykały się z lasem, czerwony piasek ustępował miejsca brązowej ziemi. Idąc wzdłuż linii drzew, wkrótce znalazłem się na wysokości szklistej płaszczyzny, oznaczającej miejsce lądowania statku.

Tutaj zauważyłem coś, czego nie mogłem dostrzec z góry. Była to ukryta w gąszczu dróżka prowadząca w głąb lasu. Nie uważałem się za doświadczonego tropiciela, ale zdrowy rozsądek mówił mi, że nie powinienem nią iść. Wkrótce jednak przekonałem się, że przedzieranie się przez gąszcz równoległe do ścieżki jest bardzo trudne. Kiście kwiatów uderzały w moją głowę i barki, wypełniając powietrze intensywnym zapachem, który — jakkolwiek przyjemny — tworzył duszący i mdlący opar. Kiedy na dodatek posypał się na mnie żółtawy, powodujący swędzenie pyłek kwiatowy, dałem w końcu za wygraną i wróciłem na ścieżkę.

Samo przejście zostało dokładnie oczyszczone z roślin, ale bujny gąszcz porastający brzegi dróżki z czasem rozrósł się na górze i utworzył coś w rodzaju dachu. Tak więc szedłem teraz jakby chłodnym, cienistym korytarzem. Zauważyłem, że niektóre gałęzie, pozbawione już kwiatów, uginają się pod ciężarem strączków.

Droga cały czas biegła prosto, a na ziemi dało się zauważyć ślady pozostawione przez roboty transportowe. Najwyraźniej obóz został założony dość dawno. Tylko dlaczego nie zauważyłem go, lecąc ścigaczem? Z pewnością musieli wyciąć sporą połąć lasu, żeby zrobić miejsce dla swoich namiotów-baniek.

Znienacka szlak obniżył się, znikając w małym wąwozie. Dno wąwozu rozkopano za pomocą robotów, odsłaniając kamienny chodnik. Rosnące na brzegu rozpadliny zarośla zakrywały szczelinę w ziemi, przez co z góry musiała być zupełnie niewidoczna.

Ukląknę, aby dokładniej obejrzeć chodnik. Miałem całkowitą pewność, że nie jest to naturalna półka skalna. Przypuszczałem też, że ściany wąwozu mogą być po prostu murami, które w ciągu długich lat pokryły się ziemią.

Przejście schodziło coraz głębiej i stawało się coraz węższe. Zwolniłem, nasłuchując, lecz szelest liści na wietrze skutecznie zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

— Eet? — W końcu zdobyłem się na to, żeby poprosić go o pomoc. Pięć zmysłów, którymi obdarzyła mnie natura, nie wystarczyło do dokonania właściwej oceny sytuacji.

— Nic nie czuję... — mój towarzysz podniósł głowę i zaczął nią kołysać. — To stare miejsce, bardzo stare. Niegdyś przebywali tu ludzie...

Urwał nagle i poczułem, że jego drobne ciało stężało.

— O co chodzi?

— Czuję zapach śmierci... przed nami jest śmierć!

— Grozi nam niebezpieczeństwo? — zapytałem, trzymając broń w pogotowiu.

— Nie, teraz już nie. Ale...

Droga prowadziła teraz pod ziemią, gdyż wąwóz zmienił się w tunel. Jego wnętrze tonęło w gęstym mroku. Miałem przy pasie latarkę, ale nie chciałem jej użyć, by nie ściągnąć nam na kark jakiegoś niebezpieczeństwa.

Przystanąłem, bojąc się zagłębić w tę nieprzeniknioną ciemność.

— Czy tam ktoś jest? — zapytałem Eeta.

— Już odeszli — odpowiedział. — Chociaż całkiem niedawno. Poza tym... nie, wyczuwam jednak czyjąś obecność, ale sygnał jest bardzo słaby. Myślę, że ktoś przeżył... na razie.

To brzmiało dość niejasno i wciąż nie byłem pewien, czy powinniśmy tam wchodzić.

— Nie ma obawy — Eet wysłał mi błyskawiczny telepatyczny przekaz — wyczuwam tam cierpienie, ale bez śladu gniewu. To nie zasadzka.

Odważyłem się zapalić latarkę i krąg światła rozjaśnił kamienne ściany. Skalne bloki połączone ze sobą bez użycia zaprawy, a mimo to przylegały do siebie tak ściśle, że szpary między nimi były prawie niewidoczne. Powierzchnia ścian błyszczała, jak gdyby chropowate kamienie zostały wyszlifowane albo pokryte warstwą jakiejś gładkiej substancji. Mury miały odcień matowej czerwieni. Ta barwa budziła we mnie nieprzyjemne skojarzenia.

Kiedy przeszliśmy jeszcze kawałek, korytarz raptownie się poszerzył. Miałem wrażenie, że stoimy na progu jakiejś ogromnej podziemnej komnaty. Promień latarki oświetlił rozrzucone po podłodze resztki jakiegoś wyposażenia, spalone ogniem z laserów. Najwyraźniej stoczono tu bitwę.

A potem zobaczyłem ciała...

Ciężki, słodki aromat kwiatów ulotnił się, ustępując miejsca przyprawiającej o mdłości woni spalonego mięsa. Miałem ochotę odwrócić się na pięcie i czym prędzej wybiec stąd na świeże powietrze.

Wówczas usłyszałem ten głos. Nie był to jęk, lecz raczej syk, w którym brzmiała skarga — tak żalosna, że nie mogłem pozostawić jej bez odpowiedzi. Omijając trupy i zgliszcza, ruszyłem ku miejscu, z którego ten dźwięk dobiegał. Spod ściany wypełzła jakaś postać, pozostawiając za sobą na podłodze strużki krwi, połyskujące w świetle latarki.

Był to Zakathanin, jedyny, który przeżył nieoczekiwany szturm na obóz. Patrząc na pobojuwisko, pomyślałem, że tylko dzikie, barbarzyńskie plemię z jakiegoś zapadłego kąta galaktyki mogło się dopuścić takiej zbrodni.

To, że ranny przeżył do tej pory, świadczyło o niewiarygodnej odporności fizycznej istot jego gatunku. Czy przeznaczone mu było żyć dalej — nie wiedziałem, ale wydawało mi się to raczej wątpliwe. W każdym razie gotów byłem dołożyć wszelkich starań, żeby mu pomóc.

Zdobyłem się na to, by przeszukać splądrowany obóz i odnaleźć zapasy leków. Nawet one zostały porzucane i częściowo zniszczone. Bałagan panujący w komnacie wskazywał,

że napastnicy albo szukali czegoś na oślep, albo kierowali się wyłącznie bezrozumną żądzą zniszczenia.

Wędrowiec przemierzający przestrzeń kosmiczną musi mieć jakieś pojęcie o udzielaniu pierwszej pomocy, zaaplikowałem więc Zakathaninowi znany mi środek, choć nie wiedziałem, jak zadziała na organizm kosmity. Zatrzaszczywszy się o rannego, postanowiłem zbadać wnętrze komnaty. Potrzebowałem jakiegoś środka transportu, żeby przewieźć mojego podopiecznego do kapsuły ratunkowej. Na drodze prowadzącej do obozu widziałem ślady robotów bagażowych, ale wśród potrzaskanych sprzętów nie zauważyłem żadnej z tych maszyn. Uznałem więc, że mogły być ukryte w ciemnościach.

W końcu znalazłem jeden egzemplarz. Przednia część maszyny opierała się o ścianę w odległym końcu sali, jak gdyby puszczony samopas robot sunął naprzód, póki nie powstrzymała go kamienna bariera. Lecz obok niego zauważyłem coś jeszcze: czarny otwór w murze, powstały po wyjęciu kilku sąsiadujących ze sobą bloków skalnych. Bloki te leżały teraz obok na podłodze, ułożone w mały stosik.

Powodowany ciekawością, precyzyjnie się przez tę dziurę i zaświeciłem latarką do środka. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że pomieszczenie pełniło funkcję grobowca. Na przeciwległej ścianie zauważyłem szeroki występ. Nie była to jednak pozioma półka, na której mogłyby leżeć zwłoki. Występ miał raczej kształt kolumny, tak że zmarłego musiano tu chyba chować w pozycji pionowej.

Na ścianach znajdowały się półki, ale w tej chwili wszystkie były zupełnie puste. Mogłem sobie łatwo wyobrazić, że to Jacksowie wyczyścili je tak gruntownie. Przybyłem za późno. Być może osobnik, który rozmawiał z Tactile'em nie wiedział, że atak już nastąpił. Albo z jakiegoś powodu zataił tę wiadomość.

Wróciłem do transportera. Mimo że musiał uderzyć w ścianę z dużą siłą, wciąż działał. Włączyłem silnik i wrzuciłem pierwszy bieg. Maszyna ruszyła i z przeraźliwym zgrzytem metalu potoczyła się w stronę rannego. Zakathanin był ode mnie wyższy i cięższy, toteż miałem sporo kłopotu z ułożeniem jego bezwładnego ciała na platformie bagażowej. Na szczęście nie odzyskał przytomności, pomyślałem więc, że balsam, którego użycie doradził mi Eet, zadziałał jak środek przeciwbólowy.

Nie miałem zamiaru przeszukiwać pobojuwiska. Było oczywiste, że rabusie dostali to, czego chcieli. Ale to bezsensowne spustoszenie wydawało mi się czymś dziwnym i niezrozumiałym. Najwyraźniej Jacksowie różnili się bardzo od złodziei z Bractwa, którzy nigdy nie działali impulsywnie i unikali niepotrzebnych okrucieństw.

— Poprowadzisz transporter? — zapytałem Eeta. Na pulpicie sterowniczym znajdowało się tylko parę guzików i byłem pewien, że mój towarzysz potrafił nimi swobodnie operować. Dzięki temu, mając wolne ręce, mogłem pełnić rolę eskorty. Byłem wprawdzie pewien, że piraci już odlecieli, ale na wszelki wypadek należało zachować ostrożność.

— Oczywiście — Eet wskoczył na miejsce operatora i zapuścił silnik, który ponownie zaprotestował głośnym zgrzytem.

Wracając do kapsuły, nie zauważyliśmy żadnych śladów obecności Jacksów, nie napotkaliśmy też żadnych innych członków wyprawy archeologicznej, ocalałych z pogromu. Przez dłuższą chwilę bezskutecznie usiłowałem umieścić rannego w hamaku, w końcu jednak udało mi się tego dokonać. Potem włączyłem automatycznego pilota, który miał przetransportować nas na „Wendwinda”.

Z pomocą Ryzka przeniosłem Zakathanina do jednej z dolnych kabin. Pilot obejrzał dokładnie lekarstwa, których użyłem i z aprobatą kiwnął głową.

— To najlepsze, co mogłeś dla niego zrobić. Ci goście są twardzi. Wychodzą cało z katastrof, których nie przeżyłby żaden człowiek. Co się właściwie stało?

Powiedziałem mu o swoim odkryciu, o otwartym grobie i spustoszonej obozie. Ryzk nie potrafił ukryć entuzjazmu.

— Ależ to musiało być jakieś wspaniałe znalezisko! Z pewnością więcej warte niż kamienie, za którymi się uganiaasz. Jestem pewien, że to ma jakiś związek z Poprzednikami.

Zakathanie są kronikarzami galaktyki. Nadzwyczaj długowieczni według naszych, terrańskich kryteriów, z upodobaniem tworzą archiwa, badają pochodzenie starych legend i szukają dla nich naukowego uzasadnienia. Posiadają rozległą wiedzę o kilku międzygwiazdnych imperiach, które powstały i upadły, zanim oni sami wyruszyli w przestrzeń kosmiczną. Jednak w bardzo odległej przeszłości istniały cywilizacje, na temat których nawet Zakathanie wiedzą bardzo mało, gdyż pamięć o nich zatarł nieubłagany czas.

Gdy my, Terranie, po raz pierwszy wkroczyliśmy na gwiazdne szlaki, byliśmy stosunkowo młodym plemieniem. Nieraz znajdowaliśmy ruiny, zdegenerowane rasy na krawędzi upadku, a także niezliczone ślady tych, którzy żyli przed nami, wspięli się na niebotyczne wyżyny, o których nie śmieliśmy nawet marzyć, a potem zniknęli w nagłym kataklizmie lub powoli odeszli w mrok. Pierwsi odkrywcy nazwali ich Poprzednikami. Poprzedników było bardzo wielu, pochodzili z różnych ras i stworzyli różne imperia. Oni również mieli swoich Poprzedników i tak dalej, aż do początku czasu. Sama myśl o tych niezliczonych, minionych stuleciach mogła przyprawić człowieka o zawrót głowy.

Jednak znaleziska archeologiczne, związane z dawnymi cywilizacjami, rzeczywiście mogły przynieść odkrywcy niewyobrażalną fortunę. Mój ojciec pokazał mi kilka takich przedmiotów, a właściwie bransolet z ciemnego metalu, których kształt wskazywał na to, że nosiły je istoty różniące się budową od ludzi. Ojciec strzegł ozdób jak skarbu i nieraz zastanawiał się nad ich pochodzeniem, dopóki całej jego uwagi nie przyciągnął kamień nicości. Kamienie nicości... widziałem już ruiny, w których ukryto pełne skrzynki tych minerałów. Czy znajdowały się również w grobowcu badanym przez Zakathan? A może krypta była pozostałością zupełnie innej kultury, nie mającej nic wspólnego z Poprzednikami, wykorzystującymi kamienie nicości jako niezwykle źródło energii?

— Cokolwiek tam się znajdowało, teraz mają to Jacksowie — zauważyłem. My zdołaliśmy uratować jedynie Zakathanina, który w dodatku mógł umrzeć, zanim udałoby nam się dotrzeć do najdalej wysuniętych bastionów cywilizacji.

— Rozminęliśmy się z nimi o włos — powiedział Ryzk. — Przed chwilą z południowej wyspy wystartował jakiś statek... Zobaczyłem go na ekranie radaru, kiedy opuszczał atmosferę.

A więc piraci wylądowali z dala od placówki archeologów i aby dokonać napadu użyli ścigaczy. To oznaczało, że musieli wcześniej przeprowadzić dokładne rozpoznanie albo ktoś przekazał im informacje na temat położenia obozu. Nagle zdałem sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa.

— Mówisz, że zobaczyłeś ich na ekranie radaru... czy oni również mogli nas zauważyć? — zapytałem Ryzka.

— Jeżeli prowadzili stałą obserwację, to tak. Pewnie myśleli, że przybył statek z zaopatrzeniem, i dlatego tak szybko uciekli. W każdym razie chyba tu nie wrócą, jeśli rzeczywiście dostali to, czego chcieli.

Faktycznie, z pewnością spieszyło im się, żeby czym prędzej ukryć łup w jakimś bezpiecznym miejscu. Z powodu swych telepatycznych zdolności Zakathanie byli bardzo groźnymi przeciwnikami.

Sądziłem więc, że gdyby Jacksowie nie mieli sprawdzonej, położonej z dala od oficjalnych portów kryjówki, to zapewne w ogóle nie zdecydowałiby się na atak.

— A co myślisz o Gwiazdnych Wrotach? — zapytał Ryzk. — To wymarzone schronienie dla takich piratów.

Jeszcze rok temu zlekceważyłbym słowa pilota. Uważałem wówczas, że Gwiazdne Wrota istnieją tylko w legendach. Potem jednak nastąpiło coś, co zmusiło mnie do zmiany zdania. Po śmierci Vondara Wolni Kupcy, którzy uratowali mi życie pomagając wydostać się z Tanth, zamierzali przewieźć mnie właśnie w to mityczne miejsce. Nie sądziłem, żeby wszyscy członkowie załogi rakiety mogli wierzyć w utopię.

Jednak rzucona mimochodem uwaga Ryzka wzbudziła moje podejrzenia. Swego czasu miałem utarczkę z grupą Wolnych Kupców, którzy do spółki z Bractwem prowadzili jakieś ciemne interesy. Starcie omal nie zakończyło się tragicznie. Czy nie było podejrzane, że pilot, którego przyjąłem na pokład, wiedział o sekretnej przestępczej kryjówce? Czyżby Ryzk miał jednak coś wspólnego z moimi prześladowcami?

Eet uwolnił mnie od balastu niepotrzebnych domysłów i podejrzeń.

— Nie, nie masz powodu do obaw. Zna Gwiazdne Wrota tylko ze słyszenia — poinformował.

— Jeśli istotnie Jacksowie tam się udali, to ten tutaj może zapomnieć o swoim znalezisku — powiedziałem, wskazując na nieprzytomnego Zakathanina.

Moje wysiłki, mające na celu odzyskanie wiarygodności, najwyraźniej zawiodły. Liczyłem już tylko na to, że zdołamy dowieźć rannego do jakiegoś portu. Wówczas mógłbym przynajmniej liczyć na wdzięczność Domu, do którego należał. Taki sposób myślenia, nacechowany zimnym wyrachowaniem, zapewne nie wystawiał mi najlepszego świadectwa, jednak w mojej obecnej trudnej sytuacji po prostu nie mogłem sobie pozwolić na sentymenty — chociaż oczywiście w żadnym wypadku nie pozostawiłbym żywej, myślącej istoty w splądrowanym obozie.

Poprosiłem Ryzka, żeby wyznaczył współrzędne najbliższego portu. Pilot długo grzebał w pamięci komputera, usiłując znaleźć choćby najmniejszą wskazówkę, która pozwoliłaby określić położenie statku. Niestety, bezskutecznie. W końcu zasugerował, że powinniśmy wrócić na Lylestane. Znajdowaliśmy się w zakątku galaktyki, nie opisanym na żadnej znanej mu mapie. Nie mogliśmy, tak po prostu, na oślep dać nurka w nadprzestrzeń — nie byliśmy przecież pionierami, dla których tego rodzaju wyczyny były chlebem powszednim.

Jednak zanim zdążyliśmy rozstrzygnąć tę kwestię, Eet wtrącił się do rozmowy, oznajmiając, że nasz pasażer odzyskał przytomność.

— Niech on zadecyduje — powiedziałem. — Zakathanie musieli znać położenie planety, z której przybyła ich ekspedycja. Jeśli kosmita będzie w stanie przekazać nam te informacje, to po prostu odwieziemy go do jego bazy.

Nie byłem całkiem pewien, czy ciężko ranny archeolog należycie wywiąże się z roli przewodnika. Nie zamierzałem jednak wracać na Lylestane, obawiając się następnych kłopotów. Gdyby Zakathanin zmarł po drodze, któż uwierzyłby w naszą historię o napadzie Jacksów? Nie mieliśmy żadnego innego dowodu i najprawdopodobniej to nas oskarżono by o splądrowanie obozu. Zmęczony i zniechęcony, coraz bardziej gubiłem się w myślach. Najwyraźniej od chwili, gdy ze skrytki w pokoju ojca wydobyłem kamień nicości, ciążyło na mnie jakieś fatum. Kolejne posunięcia, z którymi wiązałem wielkie nadzieje, miały tylko ten skutek, że wpadałem w coraz gorsze tarapaty.

Eet zbiegł po schodkach znacznie szybciej niż my i po chwili znaleźliśmy go siedzącego obok prowizorycznego posłania, na którym spoczywał kosmita. Ranny poruszył zabandażowaną głowę i zdrowym okiem popatrzył na mutanta. Niewątpliwie nawiązali telepatyczny kontakt. Obaj nadawali na falach niedostępnych dla ludzkiego umysłu. Próbowałem zrozumieć, o czym mówią, ale bez skutku. Wyglądało to tak, jakbym usiłował podsłuchiwać rozmowę prowadzoną szeptem w drugim końcu rozległej sali.

Kiedy podszedłem bliżej, Zakathanin spojrzał w górę. Wymieniliśmy spojrzenia.

— Murdocu Jernie, przyjmij podziękowania od Zilwricha — jego myśli tchnęły powagą i dostojeństwem. — Malec powiedział mi, że potrafisz porozumiewać się za pomocą myśli. Jakim cudem zdążyłeś nadejść, zanim ostatnia iskra życia zgasła w moim ciele?

Odpowiedziałem mu zwyczajnie, używając głosu, tak, aby Ryzk również mógł mnie zrozumieć. Wspomniałem o tym, jak śledząc Tacktile'a, przypadkowo dowiedziałem się o

planie Jacksów, i w kilku słowach wyniszczyłem powód naszej podróży na bursztynową planetę.

— Miałem więc dużo szczęścia. Niestety, dla moich towarzyszy było już za późno. — On również tym razem użył języka międzygalaktycznego. — Słusznie podejrzewasz, że przyczyną napaści były skarby przechowywane w grobowcu. To niezwykle odkrycie, ślad po nieznannej dotychczas cywilizacji. Jego wartość nie jest więc po prostu sumą wartości znalezionych przedmiotów. Tu chodzi o coś znacznie cenniejszego — o wiedzę!

Wymówił to ostatnie słowo z takim naciskiem, jak gdyby wymieniał nazwę wspaniałego klejnotu.

— Sprzedadzą skarb kolekcjonerom, którzy ukryją go przed światem, by delektować się nim w samotności. W ten sposób nigdy nie poznamy tajemnicy!

— Wiesz, dokąd się udali? — zapytał Eet.

— Na Gwiazdne Wrota. Okazuje się, że to miejsce istnieje naprawdę. Znają tam kogoś, kto ma kupić skradzione przedmioty. Ten ktoś już dwukrotnie pomagał im pozbyć się łupu. Próbowaliśmy się dowiedzieć, kto zawiadomił te nędzne larwy o naszym znalezisku, ale niestety bezskutecznie. Dokąd mnie wieziecie? — Zakathanin nieoczekiwanie zmienił temat.

— Nie wiemy, jak się stąd wydostać. Możemy co najwyżej wrócić na Lylestane. To miejsce ci odpowiada?

— Nie, w żadnym wypadku! — brzmiała ostra odpowiedź. — Nie mam czasu do stracenia. Moje ciało jest wciąż słabe, to prawda, ale będzie musiało słuchać rozkazów woli. Nie mogę stracić tropu...

Ryzk pokręcił głową.

— Weszli w nadprzestrzeń. Nie możemy już ich śledzić. A położenie Gwiazdnych Wrót to najbardziej strzeżona tajemnica w galaktyce.

— Umysł można zablokować, aby ochronić ukryty w nim sekret. Jednak zablokowany umysł nie funkcjonuje zbyt sprawnie — odpowiedział Zilwrich. — Jeden z tych parszywców pozostał dłużej w obozie, by sprawdzić, czy jego kamraci nie przeoczyli czegoś cennego. Prowadząc poszukiwania, musiał na krótko usunąć blokadę. Wówczas udało mi się odczytać jego myśli i poznać drogę do Gwiazdnych Wrót.

— Nie, to wykluczone! — Dzięki moim zdolnościom telepatycznym natychmiast zrozumiałem, do czego zmierza archeolog i gwałtownie się temu sprzeciwiłem. — Może Flota zdołałaby się tam wdrzeć — my nie.

— Nie musimy się nigdzie „wdzierać” — poprawił Zilwrich — a po drodze na pewno zdążymy ułożyć jakiś sensowny plan.

Nie zamierzałem mu ustępować.

— Podaj nam współrzędne twojej rodzimej planety. Zawieziemy cię tam i jeśli zechcesz, będziesz mógł skontaktować się z funkcjonariuszami Patrolu. To zadanie dla nich.

— Wprost przeciwnie — zaproponował. — Oni na pewno prześlą sprawę Flocie i gwiazdne eskadry podejmą bezpośredni atak. Co się wówczas stanie ze skarbem? Jedna osoba, dwie, trzy lub cztery — mówiąc to tylko lekko poruszał głowę, ale my mieliśmy takie wrażenie, jak gdyby po kolei wskazywał nas palcem — mogą tam działać znacznie więcej niż cała armia. Podam wam jedynie współrzędne Gwiazdnych Wrót.

Otworzyłem usta, aby stanowczo zaprotestować, kiedy Eet nagle wydał mi bezgłośnie polecenie:

— Posłuchaj go. To dobry pomysł.

Tak więc wbrew sobie, wbrew najgłębszemu przekonaniu, że pomysł jest idiotyczny — zgodziłem się.

Rozdział dziesiąty

Pomysł był naprawdę szalony i chwilami wręcz podejrzewałem Zilwricha o to, że wykorzystał swe telepatyczne zdolności, aby narzucić nam swoją wolę. Jednak taki postępek stałby w jaskrawej sprzeczności z wszystkim, co słyszałem o Zakathanach. W każdym razie, skoro już zaangażowaliśmy się w to wariackie przedsięwzięcie, należało teraz opracować jakiś w miarę sensowny plan działania. Nie zamierzałem rzucać się na oślep w nieznanne.

Ku mojemu zdziwieniu, Ryzk spokojnie przyjął naszą decyzję, zupełnie jak gdyby pakowanie się w paszczę lwa — a tak właśnie można by określić naszą ekspedycję — było dla niego czymś zupełnie zwyczajnym. Podczas krótkiej narady wymieniliśmy się informacjami na temat Gwiazdnych Wrót. Były to głównie legendy i kosmiczne bajki nie mające dla nas żadnej wartości, o czym nie omieszkalem wspomnieć towarzyszom.

Zilwrich nie zgodził się ze mną.

— My, Zakathanie, od dawna zajmujemy się badaniem starych legend i wielokrotnie przekonaliśmy się, że w każdej z nich tkwi ziarno prawdy. Historia o Gwiazdnych Wrotach jest znana od dwóch zakathańskich pokoleń, co odpowiada wielu ziemskim generacjom...

— Ależ... to oznacza, że legenda powstała, zanim wyruszyliśmy w przestrzeń kosmiczną! — przerwał Ryzk. — Przecież...

— Co cię tak dziwi? — zapytał Zilwrich. — Zawsze istnieli jacyś wygnańcy, wyjęci spod prawa. Czy uważasz, że to istoty twojego gatunku wymyśliły piractwo czy zbrodnie i napady rabunkowe? Uwierz mi, że to nie wasza wina — albo, jak wolisz, nie wasza zasługa. Na przestrzeni dziejów powstało i upadło wiele gwiazdnych imperiów, a w każdym z nich żyli tacy, dla których własne żądze, ambicje i zachcianki były ważniejsze niż wspólne dobro. Całkiem możliwe, że Gwiazdne Wrota przez długi czas służyły im za schronienie, a potem odkryli je na nowo twoi ścigani przez prawo współplemieńcy i wykorzystali do tych samych celów. Czy znasz współrzędne, które ci podałem?

Pilot pokręcił przecząco głową.

— To miejsce nie leży na żadnym z uczęszczanych szlaków handlowych. To „martwy” sektor.

— Nic dziwnego. Czyż można sobie wyobrazić lepszą kryjówkę od zakątka galaktyki, gdzie opustoszałe planety krążą wokół dawno wygasłych słońc? Zakątka, który omijają podróżnicy, gdyż nie ma tam żadnych przejawów życia, żadnych możliwości prowadzenia handlu? W tym sektorze człowiek nie jest w stanie egzystować bez niewygodnego kombinezonu ochronnego.

— Sugerujesz, że jedną z tych opustoszałych planet są Gwiazdne Wrota? — rzuciłem na chybił trafił.

— Nie. Legenda mówi jasno, że Gwiazdne Wrota to sztuczny satelita. Niewykluczone, że niegdyś była to stacja, założona przed tysiącami lat, kiedy martwe światy tętniły życiem, a ich mieszkańcy podróżowali w przestrzeń kosmiczną. Jeśli tak, to ma dłuższą historię, niż sądziliśmy, gdyż według naszych badań ten sektor był zawsze pusty.

Trudno nam było to sobie wyobrazić. Ryzk zmarszczył brwi.

— Żadna stacja, nawet zasilana energią atomową, nie mogłaby działać tak długo.

— Jesteś pewien? — zapytał Zilwrich. — Niektórzy z Poprzedników dysponowali urządzeniami, które nadal pozostają dla nas zagadką. Na pewno słyszałeś o Grotach Arzoru albo o planecie Sargasso z układu Limba, gdzie wciąż działające maszyny wojenne przez tysiące lat przyciągały przelatujące statki, powodując rozbijanie się ich o powierzchnię. Jest możliwe, że stacja stworzona przez kosmitów dysponujących tak zaawansowaną techniką funkcjonowałaby do dzisiaj. Nie można też wykluczyć, że baza została wyremontowana przez jakichś zdesperowanych uciekinierów. Gdyby ci przestępcy zdołali się tam utrzymać, posiadaliby wówczas coś bardzo cennego, coś co mogliby drogo sprzedać.

— Bezpieczeństwo! — wpadłem mu w słowo. Chociaż Gwiazdne Wrota nie były własnością Bractwa, bez wątpienia posiadało ono tam jakieś wpływy.

— Z pewnością — potwierdził Eet. — Sprawa bezpieczeństwa. Jeśli czują się tam tak pewnie, to możemy się domyślać dwóch rzeczy. Po pierwsze, zapewne mają jakieś zabezpieczenia. Może nawet takie, które ochroniłyby ich przed atakiem Floty — bo przecież muszą brać pod uwagę ewentualność, że kryjówka zostanie odkryta. Po drugie, ich schronienie pozostaje tajemnicą od tak dawna, że być może stracili czujność... Nie dokończył zdania. Ryzk przerwał mu, kręcąc głową.

— No, w to pierwsze chętnie uwierzę. Gdyby ktoś spoza ich kręgu odwiedził to miejsce i zdołał się z niego wydostać, dowiedzielibyśmy się o tym. Taka historia rozniosłaby się szeroko po gwiazdnych szlakach. Muszą mieć zabezpieczenia i to diabelnie skuteczne.

Przywołałem na pomoc wyobraźnię. Detektory... ale nie te reagujące na tożsamość przybysza. Przyszły mi na myśl czujniki zdolne do odczytania czyichś intencji, wpuszczające do środka jedynie kryminalistów i ludzi robiących z nimi interesy. Powszechnie mówiło się, że Bractwo ma dostęp do wynalazków, o których istnieniu zwykli zjadacze chleba nie wiedzą. Podobno utrzymywali je w ścisłej tajemnicy, a korzystając z nich, zachowywali wielką ostrożność. Tak, bez wątpienia byli w stanie zdobyć takie czujniki.

— Można by je zablokować — podsunął Eet.

Ryzk, który potrafił odbierać telepatyczne sygnały Eeta (ale nie moje, co — jak dobrze wiedziałem — było błogosławieństwem dla nas obu), tym razem wyglądał na zdziwionego.

— Zablokować? Niby jakim sposobem? Nie da się majstrować przy falach identyfikacyjnych.

— Nikt jeszcze nie próbował wykorzystać do tego telepatii — odparł mutant. — Przebranie potrafi oszukać oko, a ostrożna manipulacja impulsami dźwiękowymi — ucho. Zmieniając bieg strumienia świadomości, można osiągnąć ten sam efekt w odniesieniu do detektorów, o których myślał Murdoc.

— To prawda — potwierdził Zilwrich. Musiałem wierzyć tej dwójce, gdyż ani ja, ani Ryzk nie orientowaliśmy się dobrze, do czego może służyć ten szósty zmysł, którego natura poskapiła większości ludzi.

Pilot usadowił się wygodniej w fotelu.

— Ja i Murdoc nie posiadamy potrzebnych umiejętności, co automatycznie wyłącza nas z akcji. A wy dwaj — skinął głową w stronę Eeta i Zilwricha — sami nie dacie sobie rady.

— Niestety, masz rację — przyznał Zakathanin. — W moim obecnym stanie byłbym wam raczej zawadą niż pomocą, a jeśli zdecydujemy się czekać, aż wyzdrowieję, to już przegraliśmy. — Widać było, że chętnie podkreśliłby swoje słowa jakimś gestem, ale był na to za słaby.

— Tymczasem bandyci zdążą pozbyć się swojego łupu — ciągnął dalej. — Nawiasem mówiąc, nasza ekspedycja znajdowała się pod stałą obserwacją Patrolu...

Zamarłem. Doprawdy, mieliśmy wiele szczęścia. Udało nam się sprawnie wylądować i błyskawicznie opuścić planetę. Gdybyśmy przybyli tam w czasie wizyty Patrolu...

— Kiedy nasza stacja przestała nadawać, z pewnością ich to zaalarmowało. Mają pełną listę naszego personelu, toteż z pewnością zauważą, że nie ma mnie na pobojuwisku. W każdym razie znaleźli tam dosyć dowodów, że napad rzeczywiście nastąpił. Jacksowie musieli przewidzieć taki obrót spraw — informacje, których im dostarczono, były przecież bardzo dokładne i wyczerpujące. Tak więc spróbują jak najprędzej sprzedać zdobycz.

Chyba zauważyłem błąd w jego rozumowaniu.

— Jeśli przewieźli łup na Gwiezdne Wrota, to przecież nie muszą się obawiać pościgu i mogą spokojnie czekać na klienta, który złoży najlepszą ofertę.

— Sprzedadzą go jak najprędzej, choćby nawet jakiemuś miejscowemu handlarzowi. Nie sądzę, żeby jakakolwiek piracka załoga potrafiła się zdobyć na cierpliwość.

Nieoczekiwanie Ryzk włączył się do dyskusji.

— Może mają jakiegoś protektora. Na przykład dostojnika, który chciałby wykorzystać skradzione przedmioty do prywatnych transakcji.

— To niewykluczone. W każdym razie musimy tam dotrzeć, zanim kolekcja zostanie rozprzedana, albo — przed czym niech nas Zludda chroni — rozbita i rozdzielona na metal i

kamienie. Mówię wam o tym, żebyście sobie zdali sprawę z wagi naszego zadania. Wśród tych przedmiotów znajdowała się również mapa gwiezdna!

Nawet ja, chociaż miałem właśnie głowę zaprzątniętą ponurymi myślami, odczułem dreszcz podniecenia. Mapa gwiezdna! Ten, kto zdołałby ją odczytać, miałby szansę na poznanie prastarych szlaków, a może nawet na dotarcie do granic dawnych gwiezdnych imperiów. Było to pierwsze odkrycie tego rodzaju. Niestety, ci co ją ukradli, mogli nie poznać się na jego wartości.

Nie poznać się na jego wartości... ten fragment moich rozważań wracał uparcie, aż nagle wpadłem na szalony pomysł. Mój ojciec cieszył się w Bractwie zasłużoną sławą jako znakomity rzeczoznawca, specjalista od znalezisk archeologicznych. Nigdy nie próbował uzyskać statusu dostojnika. Nie pociągało go życie w ciągłym strachu i ze świadomością, że za plecami czai się równie ambitny rywal. Po śmierci swego bezpośredniego przełożonego wykupił się z Bractwa i przeszedł na emeryturę. Był jednak na tyle znany i cieszył się takim autorytetem, że niekiedy dostojnik — zwierzchnik ojca — „wypożyczał” go na aukcje, jako specjalistę od wyceny licytowanych przedmiotów. Wiedzano powszechnie, że Hywel miał dużo do czynienia z pamiątkami po Poprzednikach.

Kto mógł pełnić rolę rzeczoznawcy na Gwiezdnym Wrotach? Na pewno ktoś kompetentny, godny zaufania i mający powiązania z Bractwem. Gdyby jednak w złodziejskiej kryjówce pojawił się uznany specjalista, uciekający przed Patrolem, co w tym zawodzie zdarzało się dosyć często? Ktoś taki nie musiałby nawet specjalnie zwracać na siebie uwagi — wiadomość o jego przybyciu prędzej czy później dotarłaby do dostojnika, będącego właścicielem skarbu. Ten zaś mógłby się zwrócić do przybysza z prośbą o dokonanie niezależnej wyceny. Oczywiście wydarzenia nie musiały się potoczyć tym torem, ale plan ten miał pewne szansę powodzenia. Kłopot polegał na tym, że człowiek potrzebny do jego realizacji nie żył.

Pogrążony w myślach, zupełnie nie zwracałem uwagi na otoczenie. Tymczasem Ryzk zaczął coś mówić, ale Eet uciszył go jednym gestem. Cała trójka patrzyła teraz na mnie. We wzroku tych dwóch, którzy potrafili odczytać moje myśli, malowało się wielkie zdziwienie. Hywela Jerna nie było już między żywymi i ten fakt musiał położyć kres wszelkim planom związanym z jego osobą. Wiedząc, że takie spekulacje nie mają sensu, myślałem jednak wciąż o sukcesie, jaki niewątpliwie odniósłby mój ojciec. Załóżmy, że ceniony rzeczoznawca, pozostający mimo przejścia na emeryturę w dobrych stosunkach z Bractwem, specjalizujący się w zabytkach z epoki Poprzedników, wylądował na Gwiezdnym Wrotach. Następnie osiadł tam, nie próbując nawiązać kontaktu z lokalnym dostojnikiem. Jasne, że kazano by mu zbadać znalezisko, a potem... Nie miałem pojęcia, co byłoby potem. Nie wymyśliłem jeszcze żadnego sposobu na odzyskanie skarbu. Musiałbym najpierw zorientować się, jak wyglądają Gwiezdne Wrota.

Jednak jakiś sposób musiał istnieć! Uczępiłem się swojego bezsensownego pomysłu. Hywel Jern nie żył od trzech planetarnych lat. Wieść o jego śmierci, za którą niewątpliwie stało Bractwo, rozeszła się szeroko. Nie mogło być inaczej, gdyż ojciec był znaną postacią. Ale on nie żył — i nic na to nie mogłem poradzić!

— Wiadomość o jego śmierci mogła być fałszywa. — Natychmiast uczepiłem się tej myśli, nie zdając sobie z początku sprawy, że podsunał mi ją Eet.

— Nie mogła. Dotyczyła przecież egzekucji wykonanej przez ludzi Bractwa — zaoponowałem, dając wreszcie spokój bezsensownym mrzonkom. Wymyślony przeze mnie plan nie miał szans powodzenia, chyba że ja sam zastąpiłbym ojca.

Zaraz... „chyba, że zastąpiłbym ojca”? Czyżby znowu jakaś Eetowa sztuczka? Nie, nauczyłem się już odróżniać jego sugestie od swoich własnych pomysłów. Jako dziecko marzyłem o tym, żeby; kiedyś stać się kimś takim jak Hywel Jern. To on był dla mnie najważniejszy, nic innego się nie liczyło. Nie miałem wówczas pojęcia, dlaczego nie darzę równym uczuciem jego żony, syna i córki. Dopiero wiele lat później dowiedziałem się, że byłem dzieckiem „z kontyngentu”. Jak wielu innych, odebrano mnie rodzicom i przekazano do adopcji kolonistom na innej planecie. Działania tego typu miały zapewnić krzyżowanie się genów i zapobiegać mutacjom. Jednak zawsze uważałem się za syna Hywela. Nawet po jego śmierci, kiedy macocha ujawniła całą prawdę, przedstawiając dowody, że mój „brat” Faskel jest jedynym prawowitym dziedzicem zmarłego.

Stary Jern zrobił wszystko, co mógł, żeby zapewnić mi przyszłość. Oddał mnie na naukę do sprzedawcy kamieni, człowieka mądrego i doświadczonego, a potem podarował kamień nicości. Udzielił mi też wielu użytecznych rad. Sądzę, że uważał mnie za swego duchowego spadkobiercę, mimo że nie miałem w sobie jego krwi.

Musiały istnieć jakieś źródła, z których mógłbym się czegoś dowiedzieć o moim prawdziwym pochodzeniu, ale nigdy nie zadałem sobie trudu, żeby do nich dotrzeć. Z pewnością Hywel zaszczerpił mi ciekawość świata i żylkę podróżniczą, toteż w pewnych okolicznościach mógłbym pójść jego śladem i wstąpić do Bractwa.

A więc chciałem być taki jak on. Czy potrafiłbym stać się nim — przynajmniej na jakiś czas? Taka mistyfikacja niosła ze sobą ogromne ryzyko. Ale mając po swojej stronie Eeta z jego niezwykłymi zdolnościami...

— Zastanawiałem się, kiedy na to wpadniesz — pomyślał drwiąco mutant.

— O co właściwie chodzi? — zapytał Ryzk. Ton jego głosu zdradzał lekką irytację. — Ty — wskazał na mnie niemal oskarżycielskim gestem — czy ty masz jakiś plan dostania się na Gwiezdne Wrota?

Ale ja odpowiedziałem Eetowi, lecz mówiłem głośno, na wpół świadomie powstrzymując się od wykorzystywania telepatycznych zdolności, które musiałyby odgrywać kluczową rolę w naszym przedsięwzięciu.

— To szalony pomysł. Jern umarł i oni o tym wiedzą.

— Co to za jeden, ten Jern, i jaki związek ma jego śmierć z naszą sprawą? — zapytał pilot.

— Hywel Jern był głównym rzeczoznawcą u jednego z sektorowych dostojników i moim ojcem — wyjaśniłem ponuro. — Zamordowano go...

— Na zlecenie? — dokończył Ryzk. — Ale jeśli nie żyje, to nie będziemy mieć z niego żadnego pożytku. Rozumiem, że specjalista od wyceny, pełniący ważną funkcją w Bractwie, bez trudu dostałby się na Gwiazdne Wrota. Może ty mógłbyś zagrać jego rolę? — urwał i zachmurzył się.

— Nie — powiedział po chwili — jeśli zamordowano go na zlecenie Bractwa, to zorientują się natychmiast.

Po krótkim namyśle doszedłem do wniosku, że nie jest to wcale takie pewne. Mój ojciec był już na emeryturze. Co prawda od czasu do czasu odwiedzali go ludzie z Bractwa, a jeden z tych gości okazał się być kapitanem statku należącego do Bractwa, który potem zarządził przesłuchanie mnie w związku ze sprawą kamieni nicości. Jern z pewnością został zabity na rozkaz Bractwa za to, że miał u siebie taki kamień, którego zresztą nie udało się zbrodniarzom znaleźć. Ale gdyby założyć, że bandyci pozostawili na miejscu zbrodni ciało, w którym kołatała się jeszcze iskra życia? Pogrzebem zajęła się najbliższa rodzina, lecz przecież był to znany sposób na oszukanie zabójców. A na słabo zaludnionej planecie, na której się osiedlił, nie mogli oni prowadzić zbyt drobiazgowych dochodzeń, obawiając się wykrycia.

Tak więc Hywel Jern zmartwychwstał, być może ukradkiem opuścił swą planetę... Istniało wiele technik medycznych, umożliwiających zmianę wyglądu. Nie, to nie było dobre wyjście. Hywel musiał wyglądać dokładnie tak samo, jak kiedyś, żeby wpuszczono go na Gwiazdne Wrota. Raz jeszcze pomyślałem, że plan, który błyskawicznie rozwijał się w mojej głowie, jest zupełnie bezsensowny i powinienem go odrzucić. Nie potrafiłem się jednak na to zdobyć. Musiałem upodobnić się do Hywela Jerna. Taka mistyfikacja na pewno byłaby trudna do rozszyfrowania. Nasi przeciwnicy z pewnością nie spodziewali się, że ktoś chciałby odgrywać rolę od dawna nieżyjącego człowieka, który w dodatku został zabity na zlecenie Bractwa. Podając się za ojca, miałem nawet większe szanse dotarcia do dostojników z Gwiazdnych Wrót. Jeśli można było wierzyć plotkom, istniała cicha rywalizacja między nimi a dostojnikami z centralnych struktur Bractwa. Ci pierwsi zapewne chętnie przyjęliby uciekiniera i wykorzystali do własnych celów, mimo że władze organizacji skazały go na banicję. W końcu przebywając w ich stacji, byłby właściwie więźniem, którego mogliby całkowicie kontrolować.

A zatem... Hywel Jern, uciekający przed Patrolem. W gruncie rzeczy była to prawda. Dopóki miałem kamień nicości, stanowiłem cenny łup dla obu głównych sił w galaktyce. Kamień nicości — znów wróciłem do niego myślami. Dotychczas nie zrobiłem żadnego użytku z egzemplarza, który nosiłem przy sobie. Nie próbowałem nawet wykorzystać go do zwiększenia mocy silników „Wendwinda”, chociaż razem z Eetem odkryliśmy, że istnieje

taka możliwość. Od dnia, kiedy oglądałem go po raz ostami, minęły całe tygodnie. Co pewien czas tylko dotykałem ręką pasa, żeby sprawdzić, czy wciąż jest na swoim miejscu.

Najdrobniejsza wzmianka o kamieniu mogła ściągnąć mi na kark ludzi Bractwa i spowodować zerwanie niepewnego, ale chyba wciąż obowiązującego zawieszenia broni między mną a Patrolem, który mógł coś podejrzewać, ale nie mógł być pewien. Nie, nie zamierzałem w żadnym wypadku wykorzystywać kamienia nicości w próbach dostania się do pirackiej kryjówki. Lepiej było wrócić do pomysłu z Hywelem. Ojciec nigdy nie odwiedził Gwiezdných Wrót, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Nie musiałbym się więc wykazywać znajomością jakiegokolwiek części stacji. Eet zaś, dzięki swym telepatycznym zdolnościom, mógł mnie na bieżąco informować, co powinienem wiedzieć.

Jednak czy byłbym w stanie udawać Hywela tyle czasu, ile prawdopodobnie zajmie nam odszukanie pirackiego łupu? Pamiętna blizna na mojej twarzy znikła po kilku godzinach, a iluzja Obcego stworzona z myślą o Lylestane działała jeszcze krócej. Tutaj być może musiałbym zmienić wygląd nawet na kilka dni i w tym czasie nie mógłbym sobie pozwolić na chwilę roztargnienia.

— Nie, nie potrafię tego zrobić — powiedziałem Eetowi, wiedząc, że tylko on jeden z całej trójki przewiduje podjęcie przeze mnie negatywnej decyzji i przygotowuje argumenty, żeby mnie od niej odwieść.

— Ty również nie dałbyś rady — ciągnąłem — nie zdołałbyś sprawić, żeby złudzenie utrzymało się tak długo.

— Temu nie mogę zaprzeczyć — przyznał.

— A zatem to niemożliwe.

Eet przybrał tę wyniosłą minę, którą w jego bogatym repertuarze uważałem za najbardziej irytującą. Nieodmiennie wyprowadzała mnie z równowagi, chociaż wielokrotnie obiecywałem sobie, że następnym razem nie zdoła mnie sprowokować.

— Zauważyłem — zaczął — że mało, bardzo mało jest rzeczy niemożliwych, kiedy zna się wszystkie fakty i podda je drobiazgowej analizie. Twój wyczyn z blizną był udany — oczywiście jak na istotę twojego gatunku, czyli istotę ograniczoną. Zamieniając się w kosmitę na Lylestane, poradziłeś sobie jeszcze lepiej. Nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś...

— Nie potrafię sprawić, żeby iluzja utrzymała się wystarczająco długo! — krzyknąłem, w nadziei, że ta zdecydowana odpowiedź rozproszy moje własne wątpliwości i zlikwiduje delikatną presję, jaką wywierali na mnie dwaj towarzysze obdarzeni przez naturę telepatycznymi zdolnościami.

— Zobaczmy — odpowiedział wymijająco Eet — ale na razie nasz przyjaciel potrzebuje wypoczynku.

Zauważyłem, że Zakathanin rzeczywiście opadł na posłanie i przymknął oczy. Wyglądał na całkiem wyczerpanego. Przy pomocy Ryzka poprawiłem mu posłanie, a potem poszedłem do swojej kabiny.

Rzuciłem się na koję. Nie zdołałem jednak odpędzić natrętnych myśli. Mimo woli wciąż zastanawiałem się, jak poradzić sobie z pozornie nierozwiązywalnym problemem. Gapiąc się w sufit, starałem się podejść do sprawy z logicznego punktu widzenia. Hywel Jern mógł zostać wpuszczony na Gwiazdne Wrota. Używając sztuczki, którą pokazał mi Eet, mogłem stać się Hywelem Jernem. Ale wysiłek, włożony w ciągłe podtrzymywanie iluzji, wyczerpałby i mnie, i mojego towarzysza. Ja zaś potrzebowałem sprawnego umysłu, który umożliwiłby mi zachowanie czujności i stawienie czoła niebezpieczeństwu, oczekującym nas w samym sercu wrogiego terytorium.

Gdyby tylko istniał jakiś sposób na spotęgowanie moich nadnaturalnych zdolności, abym mógł trochę dłużej zwodzić piratów. Na wsparcie ze strony Eeta raczej nie należało liczyć, gdyż mutant musiał skupić się na czytaniu myśli bandytów, co było dodatkową gwarancją naszego bezpieczeństwa. Potrzebowałem czegoś, co obudziłoby drzemiącą we mnie moc. Czegoś, co pomogłoby mi tak, jak kiedyś kamień nicości pomógł zwiadowcy z Patrolu. Kamień nicości!

Moje palce wymacały małą wypukłość w pasie. Usiadłem i opuściłem stopy na podłogę kabiny. Po raz pierwszy od wielu tygodni otworzyłem kieszonkę ze skarbem i wyjąłem bezbarwny, brzydki okruch. Tak właśnie wyglądał uspiiony kamień nicości.

A przecież dawał energię, dodatkową energię zwiększającą wydajność maszyn. Co prawda biedząc się nad tworzeniem iluzji, używałem energii innego rodzaju, ale mimo wszystko była to energia. Moi współplemieńcy zwykli używać tego pojęcia jedynie w odniesieniu do sztucznych mechanizmów, toteż nie byłem pewien, czy mi się uda. Zamknąłem okruch w obu dłoniach, ściskając go tak silnie, że ostre krawędzie niemal przecięły mi skórę.

W połączeniu ze sprawnym urządzeniem kamień powodował gwałtowny napływ mocy, który mógł niemal rozsadzić silnik statku zwiadowczego. Dzięki skrzynce z niepozornymi okruchami dryfujący w przestrzeni kosmicznej wrak, który odnaleźliśmy razem z Eetem, wciąż funkcjonował.

To właśnie fale emitowane przez kamienie ze skrzynki uaktywniły ten, który nosiłem przy sobie, powodując, że wskazały nam drogę do wraku. Potem, na bezimiennej planecie, takie same fale zaprowadziły nas do zapomnianych ruin, gdzie właściciele kamieni ukryli kolejne skrzynki.

Energia... ostatecznie ten pomysł nie był bardziej szalony od paru innych, które ostatnio chodziły mi po głowie. Mogłem zresztą zrobić prostą próbę. Nie, nie zamierzałem występować w roli królika doświadczalnego. Jeszcze nie tym razem. Nie miałem pewności, czy będę w stanie kontrolować przebieg eksperymentu. Niecierpliwie obiegłem wzrokiem pokój. Zauważyłem Eeta, zwiniętego w kłębek w nogach łóżka. Wyglądało na to, że śpi. Zawahałem się na moment. Eet? To byłoby zabawne i... satysfakcjonujące. Z przyjemnością

zobaczyłbym Eeta wytrąconego z równowagi i po raz pierwszy pozbawionego wpływu na to, co się z nim dzieje.

Wpatrywałem się w niego, nadal trzymając w ręku kamień, i myślałem intensywnie.

Zimna skała pod moimi palcami zaczęła się powoli nagrzewać. Zarys sylwetki Eeta stał się zamazany, niewyraźny. Nie pozwoliłem jednak, żeby najmniejsza iskierka triumfu przeszkodziła mi w koncentracji. Kamień był już tak gorący, że ledwie mogłem go utrzymać w rękach. Tymczasem Eet... Eet zniknął! To, co leżało na koi, przypominało teraz jego matkę, okrętową kotkę.

Musiałem upuścić kamień, gdyż ból był zbyt przejmujący. Eet podniósł się na nogi szybkim, prawdziwie kocim ruchem. Przeciągnąwszy się, spojrział na swoje nowe ciało. Potem popatrzył w moim kierunku, położył uszy po sobie i syknął gniewnie.

— Co na to powiesz? — rzuciłem w uniesieniu.

Nie odpowiedział na to telepatyczne pytanie. Byłem jednak całkowicie pewien, że nie dzieli nas bariera, za pomocą której zwykle separował się od świata zewnętrznego, kiedy chciał spokojnie pomyśleć. Miałem raczej wrażenie, że Eet nie jest już sobą!

Usiadłem na ruchomym krześle i przyglądałem się rozwścieczonemu, fukającemu kotu. Sprawiał takie wrażenie, jak gdyby chciał skoczyć mi do gardła. Czyżby oprócz stworzenia iluzji udało mi się osiągnąć jakiś efekt uboczny? Mój towarzysz zachowywał się tak, jak gdyby naprawdę był kotem. Rzeczywiście zebrałem mnóstwo energii, tylko czy przypadkiem nie przesadziłem? Przerazony, gwałtownym ruchem złapałem kamień. Ściskając go mocno w poparzonych palcach, spróbowałem odwrócić zachodzący proces.

Nie chcę kota, powtarzałem zawzięcie, chcę Eeta. Tymczasem kudłaty, rozwścieczony obiekt mojego eksperymentu okazywał wyraźnie, że tylko mizerna postura powstrzymuje go od skoczenia mi do gardła. Eet... powtarzałem to słowo w myślach niczym zaklęcie. Walcząc z ogarniającym mnie uczuciem paniki, usiłowałem za wszelką cenę skoncentrować się na tym, co musiałem zrobić. A musiałem odzyskać Eeta.

Raz jeszcze kamień stał się ciepły, potem gorący, a w końcu zaczął mnie parzyć. Mimo bólu nie osłabiłem uchwytu. Kontury ciała zwierzęcia zaczęły się zamazywać i po chwili na podłodze kulił się Eet we własnej osobie. Wyglądało na to, że powrót do zwykłej postaci nie poprawił mu humoru, a wręcz przeciwnie. Lecz czy na pewno miałem do czynienia z prawdziwym Eetem?

— Osioł!

To pojedyncze słowo, rzucone w moim kierunku niczym laserowy pocisk, rozproszyło wszelkie wątpliwości. Tak, to musiał być on.

Wskoczył na dzielący nas blat stołu, cofnął się, a potem dla odmiany zrobił krok do przodu, wciąż bijąc ogonem o boki. W swej furii bardzo przypominał kota.

— Dzieciak bawiący się zapalkami! — syknął. Zachichotałem. W ciągu ostatnich tygodni nie miałem wielu powodów do śmiechu. Jednak odniesiony sukces sprawił, że odczułem

wielką ulgę. Do tego dołączyła jeszcze satysfakcja, że udało mi się wreszcie zaskoczyć i pobić Eeta w dziedzinie, w której celował. Tak więc całkowicie poddałem się napadowi wesołości. Rechotałem tak długo, aż w końcu bezsilnie osunąłem się na ścianę.

Eet przestał się wściekle miotać i usiadł na miejscu w pozycji, jaką często przyjmują koty (w ogóle jego kocie pochodzenie rzucało się teraz bardziej w oczy). Ogon podwinął w ten sposób, że jego koniec spoczywał na tylnych łapach. Nie dopuścił do telepatycznego kontaktu między nami, ale ta wroga i niechętna postawa nie martwiła mnie wcale. Wiedziałem, że złość mojego towarzysza wkrótce minie, a jego błyskotliwa inteligencja wskaże mu rozmaite korzyści, płynące z przeprowadzonego eksperymentu.

Pieczęłowicie schowałem kamień do schowka w pasie i posmarowałem dłonie leczniczą pastą. Mutant wciąż siedział nieruchomo jak posąg. Nie podjąłem kolejnej próby porozumienia się z nim, czekając, aż sam zrobi pierwszy krok w tym kierunku.

To, że zdołałem dokonać tak ważnego odkrycia, bardzo podniosło mnie na duchu. Zdawało mi się, że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. Uzyskałem dowód, że mój talizman nie tylko usprawnia pracę maszyn, ale również wspomaga władze umysłowe! Uwięziony w kocim ciele Eet stracił swe telepatyczne zdolności, nie potrafił również wyzwolić się o własnych siłach. To znaczyło, że każda iluzja stworzona za pomocą kamienia będzie trwała tak długo, póki się jej nie zlikwiduje w ten sam sposób.

— Masz stuprocentową rację.

Eet postanowił wreszcie przerwać swe dąsy — a może było to zwykłe zamyślenie? Jego gniew również zdążył się ulotnić.

— Muszę ci jednak powiedzieć, że naprawdę igrałeś z ogniem, który mógł pożreć nas obydwu — powiedział i zdałem sobie sprawę, że bynajmniej nie chodzi mu o oparzenia na moich rękach. Mimo to nie zamierzałem go przeproszać za pomyślny wynik doświadczenia, które musiałem przeprowadzić. Teraz Hywel Jern mógł spokojnie udać się na Gwiazdne Wrota bez obawy, że konieczność podtrzymywania iluzji pociągnie za sobą nadmierny wydatek energii.

— Ryzykujesz wiele, zabierając ze sobą kamień — zauważył Eet. Dziwiło mnie jego niechętnie nastawienie.

— Sądzisz, że mogą mieć taki sam egzemplarz, który umożliwi im wykrycie naszego? — zapytałem niemal pewien, że trafiłem w sedno.

— Nie wiemy, jakiego wykrywacza używali niegdyś ludzie Bractwa, żeby dotrzeć do kamieni. W każdym razie Gwiazdne Wrota doskonale nadają się do przechowywania czegoś takiego. No cóż, nie mamy wyboru. Musimy spróbować.

Rozdział jedenasty

To na pewno tutaj.

Ryzk wyprowadził statek z nadprzestrzeni. Znajdowaliśmy się na granicy bardzo starego układu, którego słońce dawno zamieniło się w martwego czerwonego karła, a krążące wokół planety — w czarne i wypalone bryły żużlu. Pilot wskazał palcem małą asteroidę.

— Mają tarczę ochronną. Nie wiem, jak zamierzacie sobie z nią poradzić. Na pewno istnieje jakieś tajne hasło, umożliwiające dostanie się do kryjówki. Ten, kto go nie zna, a znajdzie się w zasięgu oddziaływania tarczy... — pstryknął palcami, dając nam do zrozumienia, że nieostrożnego śmiałka czekałaby natychmiastowa zagłada.

Zilwrich uważnie obserwował ekran małego, przenośnego projektora, który zamontowaliśmy w jego kabinie. Spoczywał w pozycji półleżącej na prowizorycznym posłaniu. Fałdy skóry na jego szyi zwisały żałośnie. Sprawiał wrażenie bardzo osłabionego, ale mimo to oczy mu błyszczały. Najwidoczniej właściwa Zakathanom ciekawość rzeczy niezwykłych sprawiła, że na chwilę zapomniał o odniesionych ranach.

— Gdybym tylko miał swój sprzęt! — powiedział w języku międzygalaktycznym, wymawiając słowa w charakterystyczny, syczący sposób, typowy dla istot jego gatunku. — Ten obiekt jakoś nie wygląda mi na prawdziwą asteroidę.

— Niewykluczone, że to stacja kosmiczna Poprzedników. Jednak cokolwiek by to było, nie wiem, jak mamy niepostrzeżenie dostać się do środka — warknął Ryzk.

— Nie możemy lecieć wszyscy — zaproponowałem — zrobimy to co zwykle. Wezmę ze sobą Eeta i posłużę się kapsułą ratunkową.

— Zamierzasz przedrzeć się przez ekrany? — zadrwił Ryzk. — Zrozum, że nasze detektory wykryły promieniowanie podobne do tego, jakie zwykle chroni obronne placówki Patrolu. Lasery unicestwią cię w ułamku sekundy!

— Może mógłbym przelecieć, trzymając się tuż za jakimś dużym statkiem, którego załoga zna hasło — rzuciłem. — Kapsuła jest tak mała, że z pewnością nie spowoduje zakłóceń w sygnałach wysyłanych przez większą rakiętę.

— Ale skąd weźmiesz taki statek? — dopytywał się Ryzk. — Możemy tu tkwić parę dni...

— Nie sędę — Eet włączył się do rozmowy. — Jeśli naprawdę dotarliśmy do Gwiazdnych Wrót, to na pewno panuje tu spory ruch i nie trzeba będzie czekać. Jesteś pilotem. Powiedz nam tylko, czy da się tak zrobić... to znaczy, czy będziemy mogli lecieć kapsułą tuż za tym statkiem?

Po raz pierwszy ze zdziwieniem stwierdziłem, że istnieją rzeczy, o których Eet nie ma pojęcia. Ryzk zmarszczył brwi, co było u niego oznaką skupienia.

— Mogę wyposażyć kapsułę ratunkową w nadajnik emitujący fale holownicze. Do tego dodam urządzenie, które automatycznie odłączy napęd w momencie, gdy fale dotkną tamtego statku. Na wasze szczęście, te osłony wyłapują przede wszystkim duże obiekty. Projektowali je z myślą o ataku Floty, a nie o jednoosobowej ekspedycji. Nie można też wykluczyć, że wykryją was i wpuszczą do środka. W takim wypadku napotkacie komitet powitalny i najprawdopodobniej pożałujecie, że nie zginęliście od promieni laserowych.

Robił, co mógł, żeby odmalować naszą przyszłość w czarnych barwach. Moim jedynym atutem podczas czekającej nas próby była wiedza o możliwościach kamienia nicości, jednak mimo tego nie traciłem nadziei. Pomyślny wynik eksperymentu bardzo podniósł mnie na duchu.

Ryzk wykorzystał w końcu pomysłowość, z której słynęli wszyscy Wolni Kupcy, do dalszych prac nad ulepszeniem kapsuły. Wyposażył ją w rozmaite urządzenia ochronne. Nie mogliśmy co prawda walczyć, ale mieliśmy wszystko, co potrzeba, żeby bezpiecznie zbliżyć się do asteroidy i tam czekać na przelatujący statek. Była to jedyna szansa dostania się do pilnie strzeżonej fortecy wroga.

Tymczasem „Wendwind” wylądował na księżycu, krążącym wokół najbliższej z martwych planet.

Porowata, czarna, kamienna kula wyglądała ponuro i odpychająco, ale właśnie dlatego stanowiła znakomite schronienie. Współrzędne tego prowizorycznego lądowiska zostały wprowadzone do komputera w kapsule ratunkowej, aby umożliwić nam powrót z pirackiej stacji, chociaż Ryzk był całkowicie pewien, że stamtąd nie wrócimy, i szczerze nam to wyznał, żądając przy tym, abym umieścił w dzienniku pokładowym wzmiankę, że jego kontrakt wygasa po upływie wcześniej uzgodnionego terminu. Spełniłem to życzenie, a Zilwrich posłużył nam za świadka.

To wszystko oczywiście nie mogło mnie natchnąć optymizmem i wiarą w sukces. Bez przerwy dotykałem ręką kieszonki z kamieniem nicości. Niepozorny okrucuch stał się dla mnie talizmanem, który miał mnie ochronić przed grożącą klęską.

Kiedy przygotowywaliśmy się do zmiany wyglądu, Eet oświadczył:

— Sam zdecyduję, w co się zmienić. — Powiedział to tonem nie znoszącym sprzeciwu, toteż nie próbowałem oponować.

Znajdowaliśmy się w mojej kabinie. Nie chciałem, żeby Ryzk i Zakathanin poznali tajemnicę kamienia. Trudno było jednak przewidzieć, jak zareagują na widok rezultatów naszej transformacji.

Wziąłem do ręki matowy, zimny okruch i położyłem go na stole między nami. Moje zadanie było proste. Jednak na wypadek, gdybym miał jakieś kłopoty z przypomnieniem sobie drobnych szczegółów, przygotowałem bardzo wyraźny hologram, przedstawiający ojca. On sam za życia nie lubił tego rodzaju rzeczy, a przechowywany przeze mnie egzemplarz należał niegdyś do mojej przybranej matki. Była to jedyna rzecz — poza kamieniem nicości — którą wziąłem z domu, kiedy po śmierci ojca musiałem go opuścić. Nie mam pojęcia, dlaczego tak zrobiłem. Być może był to przejaw głęboko ukrytej, niezwyklej umiejętności widzenia rzeczy przyszłych. Nie oglądałem hologramu od chwili opuszczenia rodzimej planety, toteż przypatrując mu się teraz, gratulowałem sobie słusznej decyzji. Okazało się, że czas częściowo zatarł wspomnienia. Obraz twarzy ojca, jaki przechowywałem w pamięci, różnił się od wizerunku, który miałem teraz przed oczyma.

Mając świeżo w pamięci poparzenia, jakich doznałem, wypróbowałem działanie kamienia na Eecie, ostrożnie dotknąłem powierzchni cennego okrucha, skupiając jednocześnie całą uwagę na hologramie, a dokładniej na trójwymiarowym obrazie twarzy. W tej chwili prawie nie zdawałem sobie sprawy, co się wokół mnie dzieje.

Tymczasem mój towarzysz przycupnął na stole i położył swą zakończoną pazurami łapę na kamieniu, tuż obok mojej dłoni.

Nie byłem pewien, czy rzeczywiście w moim wyglądzie zewnętrznym nastąpiła jakaś zmiana. W każdym razie nie czułem nic, co mogłoby o tym świadczyć.

Kiedy jednak po krótkim wahaniu spojrzałem w lustro, aby upewnić się, czy eksperyment przyniósł rezultaty, zobaczyłem w nim wyraźnie cudze oblicze. Tak, to był mój ojciec, ale znacznie młodszy, niż go zapamiętałem. Przypomniałem sobie, że jako wzorca użyłem trójwymiarowego zdjęcia zrobionego wiele lat planetarnych przed moim pierwszym spotkaniem z Hywelem, tuż po jego ślubie z macochą.

Ktokolwiek spotkał starego Jerna choć raz w życiu, nie mógł zapomnieć jego ostrych, surowych rysów. Liczyłem, że Eet pomoże mi w tej mistyfikacji, czytając myśli moich przeciwników i informując o rzeczach, które powinien wiedzieć człowiek, za którego się podawałem.

Eet... ciekaw byłem, jaką iluzję wybierze tym razem? Spodziewałem się czegoś podobnego do puka albo do gada, którego postać przybrał na Lylestane. Myliłem się jednak. To, co siedziało na stole, nie było bowiem zwierzęciem, lecz istotą człekomopodobną, rozmiarami przypominającą pięcio — lub sześcioletnie dziecko.

Skóra dziwnego stworzenia nie była jednak gładka jak skóra dziecka. Pokrywała ją krótka, aksamitna sierść, podobna do futra puka. Na czubku głowy rosły dłuższe włosy, tworzące najeżony czub. Stwór miał nagie, nieowłosione dłonie, których czerwony kolor

ostro kontrastował z czarną sierścią. Szkarłatne, lekko wylupiate oczy o owalnych źrenicach przypominały oczy gada. Biegące wzdłuż grzbietu nosa wąskie pasemko futra podkreślało jego kształt. Usta były tylko wąską szczeliną, równie czarną jak sierść.

Nigdy nie widziałem takiego stworzenia na własne oczy ani nawet nie słyszałem o jego istnieniu. Ciekaw byłem, dlaczego Eet zdecydował się przybrać akurat taką postać. Gwiezdni wędrowcy miewali różnych ulubieńców, ale ta istota, choć dziwaczna, nie wyglądała na maskotkę. Sprawiała wrażenie istoty rozumnej i można ją było określić jako „człowieka”.

— Owszem — potwierdził Eet, jak zwykle używając telepatii. — Myślę, że w tej pirackiej twierdzy roi się od najrozmaitszych form życia. Poza tym to ciało ma możliwości, które mogą się okazać użyteczne w trudnej sytuacji.

— Kim właściwie jesteś? — Nie mogłem pohamować ciekawości.

— Nie znajdziesz dla mnie imienia — odpowiedział. — Sądzę, że ta rasa dawno zniknęła z wszechświata.

Przesunął czerwone dłonie wzdłuż owłosionych boków, a potem zaczął bezwiednie drapać się po lekko wystającym brzuchu.

— Wy, ludzie, sami przyznajecie, że późno poznaliście kosmos. To ciało po prostu odpowiada moim potrzebom i takie tłumaczenie musi ci wystarczyć.

Nie było sensu z nim dyskutować, mogłem tylko mieć nadzieję, że się nie myli. Nagle coś zwróciło moją uwagę. Nie zdejmując ręki z brzucha, Eet wolną dłonią sięgał po kamień nicości. Wyglądało to tak, jak gdyby chciał porwać i ukryć skarb, chociaż nie nosząc ubrania, nie miałby gdzie go schować. W każdym razie szybko złapałem kamień i z powrotem schowałem w pasie. Na Eecie nie zrobiło to najwidoczniej żadnego wrażenia. Spokojnie opuścił rękę i oparł ją na kolanie.

Pożegnaliśmy Ryzka i Zakathanina. Nie uszło mojej uwagi, że Zilwrich intensywnie wpatrywał się w Eeta. Z początku miałem wrażenie, że przyczyną tego jest tylko ciekawość. Potem zauważyłem, że z trudem ukrywa podniecenie, jak gdyby rozpoznał okrytą futrem postać.

Ryzk przyglądał się nam obu.

— Jak długo to się utrzyma? — zapytał w końcu. Było jasne, że uważa zmiany w naszym wyglądzie za efekt użycia plasty. Zaskoczyło mnie to. Powinien wiedzieć, że nie mamy na statku specjalistycznego sprzętu, niezbędnego do przeprowadzenia operacji.

— Tak długo, jak będzie trzeba — zapewniłem i poszliśmy do zmodyfikowanej kapsuły ratunkowej.

Potężne uderzenie wypchnęło nas z macierzystego statku. Po tym nietypowym starciu skierowaliśmy się w stronę pirackiej stacji. Dzięki ulepszeniom wprowadzonym przez Ryzka mogliśmy swobodnie dryfować w przestrzeni kosmicznej, czekając na przewodnika. Eet, w swojej nowej postaci, stanął za sterami.

Nie mieliśmy pojęcia, jak długo trzeba będzie patrolować okolicę. Czekanie zawsze bardziej męczy niż działanie. Zachowywaliśmy całkowite milczenie, a czas włókł się bardzo wolno. Próbowałem przypomnieć sobie wszystko, co ojciec opowiadał o latach swojej pracy dla Bractwa. Nie próbowałem nawet zgadywać, o czym myśli Eet. Żałowałem, że Hywel nie lubił się rozwódzić nad swoją działalnością w Bractwie, tym bardziej że na stacji z pewnością czyhało na mnie mnóstwo pułapek, liczniejszych niż dziury na martwym księżycu. Wiedziałem, że to, co zamierzam zrobić, będzie jak spacer po ostrzu noża.

W końcu ciszę przerwał stukot dobiegający od strony pulpitu sterowniczego. Nasz radar wychwycił poruszający się obiekt, na małym, podręcznym ekranie zobaczyliśmy statek zmierzający prosto ku stacji. Eet spojrział na mnie przez ramię. Pomyślałem, że niecierpliwie czeka na mój rozkaz. Nie był przyzwyczajony do przyjmowania czyichś poleceń, zwłaszcza w oczywistych sprawach. Na wpół świadomie kiwnąłem głową i jego palce dokonały na klawiaturze odpowiedniej korekty kursu. Po chwili znaleźliśmy się za statkiem, nieco poniżej kadłuba. W tym miejscu mogliśmy niepostrzeżenie umieścić słaby promień holowniczy. Taką przynajmniej mieliśmy nadzieję.

Na nasze szczęście, obcy pojazd był dość spory. Spodziewałem się czegoś w rodzaju statku zwiadowczego, albo co najwyżej najmniejszego ze statków Wolnych Kupców. Tymczasem natknęliśmy się na transportowiec z pewnością najniższej klasy, porównywalny wielkością ze statkiem transferowym drugiej klasy.

Promień holowniczy ześrodkował się i przyciągnął nas do kadłuba statku. Ukryci w cieniu ogromnej maszyny byliśmy teraz niewidoczni dla ewentualnego obserwatora. W napięciu czekaliśmy na jakikolwiek sygnał świadczący o tym, że załoga statku wykryła i obecność. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo i odetchnęliśmy trochę swobodniej. Ten drobny sukces przyniósł nam wielką ulgę.

Teraz pokładowy ekran nie pokazywał już obcego statku, lecz to, co było przed nami. Dla bezpieczeństwa Eet uruchomił fale zakłócające pracę tarcz ochronnych. Przez powstałą szczelinę ujrzeliśmy fragment zadziwiającego portu, do którego się zbliżaliśmy.

Nie można było rozróżnić, czy zbudowano go na asteroidzie, księżycu, czy może na dawnej stacji kosmicznej. Widzieliśmy tylko mnóstwo statków pokrywających całą powierzchnię. Statków lub raczej wraków, gdyż wszystkie miały połamane burty i robiły wrażenie bardzo zniszczonych. Zbita ich masa tworzyła nieforemną jajowatą bryłę, i tylko w jednym miejscu, dokładnie przed nami, zauważyliśmy ciemną szczelinę, do której skierował się nasz przewonik.

— Zdobyczne statki... — rzuciłem. Teraz byłem już w stanie uwierzyć w najbardziej nieprawdopodobne historie o Gwiezdnym Wrotach. Piraci ściągnęli tu splądrowane statki i użyli ich do budowy bazy. Nie wiedziałem jednak, dlaczego tak postąpili. Nagle zobaczyłem — i poczułem — drgający ekran ochronny. Kapsuła ratunkowa zatrzęsała się, ale połączenie ze

statkiem nie zostało zerwane. Chwilę potem, nie atakowani przez nikogo, znaleźliśmy się w środku.

Kiedy ze wszystkich stron otoczyły nas ściany zbudowane z wraków, dostrzegłem, że grozi nam nowe niebezpieczeństwo. Korytarz, którym lecieliśmy, stawał się coraz węższy i w każdej chwili mogliśmy zaczepić o wystające części pojazdów.

Stwierdziłem również, że wraki wcale nie tworzą zbitej masy, jak z początku sądziłem. Najwyraźniej miały tylko służyć jako osłona dla jakiejś wewnętrznej konstrukcji. Zauważyłem dźwigary i skórzane pasy, łączące ze sobą statki. Między poszczególnymi jednostkami pozostawiono jednak spore odstępy. Niektóre szczeliny były tak duże, że bez trudu pomieściłyby kapsułę ratunkową.

Nasz korytarz mógł w każdej chwili zmienić się w wąskie przejście, w którym zmieściłby się tylko transportowiec. Biorąc to pod uwagę, postanowiłem wybrać mniejsze ryzyko.

— Chyba spróbujemy się gdzieś wcisnąć, a potem wyjdziemy na zewnątrz w kombinezonach — powiedziałem. Była to raczej sugestia niż rozkaz.

— Myślę, że to najlepsze wyjście — zgodził się Eet. Ja jednak uświadomiłem sobie nagle, że nie mam na pokładzie stroju ochronnego w małym rozmiarze, który pasowałby na mojego towarzysza.

— Poduszka ratunkowa — przypomniał Eet, wyłączając fale holownicze, łączące nas z ogromnym statkiem.

Rzeczywiście. Workowate okrycie przeznaczone dla rannych, których nie można było ubrać w kombinezony. Stosowano je podczas awaryjnych lądowań na niegościnnych planetach, gdy zachodziła potrzeba opuszczenia kapsuły. Rozpiąłem pasy bezpieczeństwa i otworzyłem skrytkę, w której znajdowały się stroje ochronne. Tuż przy butach doczepionych do kombinezonu leżała ciasno zwinięta poduszka. Zamknięty w niej Eet byłby zupełnie bezradny i zdany na moją pomoc, ale miałem nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo.

Mój towarzysz naciskał guziki na pulpicie sterowniczym, usiłując zwrócić dziób kapsuły w lewo i wycelować w jedną ze szczelin między wrakami. Po odłączeniu się od holującego nas statku siłą rozpędu poleciliśmy naprzód, między dwa dźwigary podtrzymujące ściany wybranego przez nas otworu. Poczuliśmy wstrząs, kiedy kapsuła otarła się o ścianę, i następny chwilę później, gdy jej dziób uderzył w jakąś przeszkodę. Miałem nadzieję, że nasz pojazd zmieścił się w dziurze, gdyż ogon pojazdu, sterczący ze ściany głównego korytarza, mógłby zdradzić komuś naszą obecność.

Włożyłem kombinezon najszybciej, jak potrafiłem, żeby sprawdzić, czy ta nadzieja nie okaże się płonna. Nie miałem jednak pojęcia, co zrobiłbym, gdyby rzeczywiście tak było. Wyjąłem poduszkę ze skrytki. Kiedy Eet wszedł do środka, zamknąłem wszystkie otwory i wypełniłem torbę powietrzem. Urządzenie miało służyć ludziom, toteż mutant nie mógł narzekać na brak miejsca. Poruszał się w poduszce jak pływak w małym basenie, gdyż na stacji nie działała siła ciężkości.

Odblokowawszy otwór wyjściowy, ostrożnie wypełzłem na zewnątrz. Bałem się — bardziej, niż byłbym gotów sam przed sobą przyznać — że jakaś ostra krawędź rozpruje mój kombinezon albo poduszkę Eeta. Na szczęście w szczelinie było dość miejsca, toteż zacząłem czołgać się po burcie kapsuły. Sunąłem po omacku, gdyż nie miałem odwagi zapalić latarki.

Jak dotąd, fortuna nam sprzyjała. Ogon naszego pojazdu w całości mieścił się w dziurze. Musiałem przejść jeszcze kawałek, czepiając się wystających części wraków i ciągnąc za sobą Eeta, zanim dotarłem do głównego korytarza.

Było tam odrobinę jaśniej, chociaż nie dostrzegłem nigdzie źródła światła. W każdym razie mogłem teraz bez trudu znajdować oparcie dla rąk. Szybko posuwałem się naprzód, gnany obawą, że następnym statek lecący korytarzem rozgniecie mnie na ścianie z wraków.

Za cmentarzyskiem rakiet rozciągała się otwarta przestrzeń. Zobaczyłem tam kolejne statki. Trzy z nich znajdowały się w zasięgu wzroku. Natychmiast rozpoznałem transportowiec, dzięki któremu dostaliśmy się do bazy. Dalej dostrzegłem bojowy statek desantowy z ostro zakończonym dziobem, jakich — jak wiedziałem — używają członkowie Bractwa Złodziei. Trzecia jednostka wyglądała na zwykły jacht.

Wszystkie pojazdy znajdowały się na orbicie czegoś, co było sercem tego zadziwiającego kosmicznego świata. Była to stacja o owalnym kształcie, podobnie jak zewnętrzna, ochronna skorupa z wraków, z pomostami do lądowania na każdym końcu. Jej ściany, choć nieprzezroczyste, robiły wrażenie pokrytych jakąś krystaliczną substancją. Błyszcząca powierzchnia usiana była wgłębieniami i plamami. Bez wątplenia bezustannie ją naprawiano, używając do tego substancji różniących się od pierwotnego materiału.

Z otwartego luku transportowca wyjechał robot ciężko obciążony towarami. Uciepiony wystającej części jednego z wraków, patrzyłem, jak automat spływa na platformę. Górna część maszyny, obciążona bagażem, oddzieliła się od reszty i ruszyła w stronę otwartego wjazdu stacji. Nie zauważyłem nigdzie ubranego w kombinezon nadzorca, wokół kręciły się same roboty. Pomyślałem, że mógłbym dzięki nim dostać się do wnętrza stacji, używając tego samego sposobu, który niedawno pozwolił mi uciec z hotelu na Thebie.

Niestety nie zdążyłem nawet spróbować. Nie wiadomo skąd nadeszła fala, która przycisnęła mnie do wraku. Czułem się tak, jak gdyby materiał kombinezonu przykleił się do ściany za moimi plecami.

Ci, którzy mnie schwyтали, nie spieszyli się ze ściągnięciem zdobyczy. W końcu jednak wyprysnęli z luku jachtu na miniaturowych latających saniach i uwiązawszy mnie na linie, pociągnęli za sobą. Nie wrócili już na jacht — zamiast tego skierowali się ku platformie, na której przed chwilą wylądował robot. Tam zsiadli ze swego niewielkiego pojazdu i przepchnęli nas przez śluzę. Kiedy tylko znaleźliśmy się we wnętrzu stacji, ledwo odczuwalna siła ciężkości sprawiła, że moje buty dotknęły podłogi. Obok mnie miękko wylądował Eet.

Ci, którzy mnie schwyтали, byli ludźmi, wyglądającymi w dodatku na potomków Terran. Wszyscy podnieśli przyłbice hełmów, a potem jeden z nich otworzył mój kask, wpuszczając do środka powietrze. Nadawało się do oddychania, chociaż miało specyficzny, ledwie wyczuwamy zapach przetworzonego tlenu. Nie zdjęli pętli opasującej moje ramiona, ale rozluźnili więzy na tyle, że mogłem swobodnie iść, szturchany w plecy lufą lasera. Jeden ze strażników odebrał mi torbę z Eetem i pociągnął za sobą, co jakiś czas odwracając się i obrzucając mutantą uważnym spojrzeniem.

Tak więc trafiliśmy jako jeńcy na legendarne Gwiazdne Wrota. Moim oczom ukazał się niezwykle widok. Centralny szyb wypełniony był rozproszonym, zielonkawym światłem, którego odbłask nadawał nieprzyjemną barwę twarzom napotykanym istot. Na ścianach dostrzegłem balkony i otwory licznych korytarzy. Dzięki sztucznej grawitacji mogłem się zorientować, gdzie jest góra, a gdzie dół. Mijaliśmy pomieszczenia, które robiły wrażenie laboratoriów i inne, ukryte za szczelnie zamkniętymi drzwiami. Załoga stacji ledwie dorównywała liczebnością populacji średniej wielkości osady planetarnej.

Domyślałem się jednak, że część mieszkańców bazy spędza dużo czasu w kosmosie i tylko nieliczni przebywają tu stale.

Zaprowadzono nas właśnie do jednego z takich stałych mieszkańców. Był Orbsleonem i jego beczkowaty korpus tkwił w głębokim pucharze, wypełnionym różową cieczą, dzięki której mógł nieustannie regenerować siły. Płyn sięgał mu aż do pomarszczonych ramion, z których wyrastały miękkie macki, unoszące się tuż pod powierzchnią. Na czubku głowy, szerokiej u podstawy i zwężającej się ku górze, miał dwoje szeroko rozstawionych oczu. Stwór przypominał wyglądem kałamarnicę, od których pochodziła cała jego rasa. Dziwaczne ciało kosmity ukrywało jednak bystry i przenikliwy umysł. Dostojnik z Gwiazdnych Wrót musiał być prawdziwym dostojnikiem, niezależnie od tego, jak wyglądał.

Czubek macki wyłonił się z pucharu i przekręcił kluczyk w urządzeniu służącym do komunikowania się w języku międzygalaktycznym. Było to konieczne, gdyż Orbsleoni na co dzień porozumiewali się za pomocą dotyku.

— Ty być kto?

— Hywel Jern — moja odpowiedź była równie zwięzła jak jego pytanie.

Nie miałem pojęcia, czy w ogóle zna to imię. Eet również nie udzielił mi żadnej pomocy. Po raz pierwszy zwątpiłem, czy mutant jest w stanie pomóc mi w dźwiganiu ciężaru mistyfikacji. Mogło się zdarzyć, że nie byłby w stanie odczytać niektórych myśli kosmity. W takim wypadku groziłoby mi wielkie niebezpieczeństwo. Czy teraz miałem do czynienia z taką sytuacją?

— Ty przybyć... jak? — czubek macki wystukał pytanie na klawiaturze komunikatora.

— Na jednoosobowym statku. Uderzyłem w księżyc, wsiadłem, do kapsuły ratunkowej... — miałem już gotową historyjkę i liczyłem, że brzmi wiarygodnie.

— Jak ty przedostać się? — jego twarz oczywiście była bez wyrazu.

— Zobaczyłem transportowiec i uczepiłem się go. Podczas przeprawy silnik kapsuły odmówił posłuszeństwa, musiałem awaryjnie lądować i przejść...

— Dlaczego przybyć?

— Ścigają mnie. Byłem rzeczoznawcą u dostojnika Estamphy, chciałem się wykupić i żyć w spokoju. Ale Patrol miał na mnie oko... Nie mógł tego załatwić zgodnie z prawem, więc opłacił człowieka, żeby mnie wykończył. Facet był pewien, że nie żyję. Od tego czasu ciągle uciekam. — Mogli kupić tę bajeczkę tylko pod warunkiem, że rozpoznaliby we mnie Hywela. Teraz, kiedy byłem już w tym pograżony po uszy, zacząłem sobie uświadamiać ogrom swojej głupoty.

Nagle Eet ocknął się i przemówił do mnie.

— Wysłali po kogoś, kto znał Jerna. Poza tym, kiedy wymieniłeś imię, nie znaleźli w rejestrze, że taki nie żyje.

— Co tutaj robić? — pytał dalej przesłuchujący.

— Jestem specjalistą od wyceny. Mógłbym być przydamy. No i... to jedyne miejsce, w którym nie muszę się obawiać Patrolu. — Ciągnąłem dalej, tak śmiało, jak tylko potrafiłem.

Zbliżający się człowiek wkroczył powoli i raczej dostojnie, co było konieczne w warunkach osłabionej grawitacji. Wydawało mi się, że widzę go pierwszy raz w życiu. Był mutantem, potomkiem Terran. Miał białe matowe włosy i chronione okularami oczy Faltharianina. Gogle utrudniały mi odczytanie wyrazu jego twarzy. Na szczęście Eet zdążył się przygotować.

— Nie zna dobrze twojego ojca, ale widział go kilka razy w siedzibie dostojnika Estamphy. Raz przyniósł do niego zabytek z epoki Poprzedników, plakietkę z irydium wysadzaną kamieniami bes. Hywel zaproponował mu trzysta kredytów, ale on nie chciał sprzedać za tę cenę.

— Znam cię — powiedziałem szybko, korzystając z informacji przekazanych przed Eeta. — Miałeś kiedyś pamiątkę po Poprzednikach... irydium inkrustowane kryształami bes.

— To prawda — mówiąc językiem międzygalaktycznym odrobinę sepleniał — sprzedałem ci je.

— Nie! Oferowałem trzysta kredytów, ale ty uważałeś, że mógłbyś dostać więcej. Pamiętasz?

Nie odpowiedział. Zamiast tego zwrócił się do Orbsleona.

— Wygląda jak Hywel i wie to, co tamten powinien wiedzieć.

— Masz jakieś wątpliwości? — macki znów zatańczyły na klawiaturze.

— Jest jakby młodszy...

Wysiłkiem woli zdołałem przybrać wyraz twarzy, który miał zostać odebrany jako lekceważący uśmiech.

— Uciekinier nie zawsze może sobie pozwolić na zmianę wyglądu za pomocą plasty, ale zawsze pozostają tabletki odmładzające...

Faltharianin nie odpowiedział od razu. Pomyślałem, że chętnie zobaczyłbym jego twarz nieosłoniętą okularami. W końcu niemal niechętnie przyznał:

— Może być tak, jak mówisz.

Podczas tej wymiany zdań Orbsleon nie spuszczał ze mnie wzroku. Ani razu nie mrugnął powieką, być może wcale nie potrafił mrugać. W końcu raz jeszcze sięgnął po komunikator.

— Ty może przydatny. Ty zostać.

Ciągle nie wiedziałem, w jakim charakterze tu przebywam — jako jeniec czy może pracownik? Wyprowadzono mnie z pokoju i wskazano pomieszczenie na niższym piętrze, gdzie zostawiono nas samych z Eetem po uprzednim przeszukaniu i sprawdzeniu, czy nie mamy przy sobie broni. Odebrano nam również skafander poduszkę ratunkową. Spróbowałem otworzyć drzwi i bez szczególnego zdziwienia stwierdziłem, że są zamknięte. Byliśmy więźniami, choć wciąż nie miałem pojęcia, co to właściwie oznacza.

Rozdział dwunasty

W tej chwili najbardziej potrzebowałem snu. Życie w przestrzeni kosmicznej toczy się według rozkładu zajęć nie pokrywającego się z naturalnym dobowym cyklem. Nie zwraca się wtedy uwagi na słońce i księżyc, noc i dzień. W nadprzestrzeni nie trzeba regularnie wyznaczać kursu statku, toteż człowiek kładzie się do łóżka, gdy odczuwa zmęczenie i je, kiedy jest głodny. Nie miałem pojęcia, kiedy ostami raz miałem coś w ustach ani kiedy ostami raz spałem. W każdym razie teraz odczuwałem dojmujący głód, który walczył we mnie o lepsze z potrzebą snu.

Pokój, w którym nas zamknięto, był bardzo mały i prawie pozbawiony mebli. Nieliczne sprzęty sprawiały takie wrażenie, jak gdyby zaprojektowano je z myślą o ciasnej kajucie statku. Zauważyłem rozkładaną koję, którą w razie potrzeby można było zwinąć w przylegający do ściany rulon, odświeżacz, z którego należało bardzo ostrożnie korzystać i automat zjedzeniem. Bez specjalnych nadziei przekręciłem pojedynczą tarczę nad dystrybutorem (najwyraźniej nie było żadnej możliwości wyboru menu). Ku mojemu zdziwieniu, lampki na tablicy zabłyśły i pokrywa dystrybutora odskoczyła, ukazując gotowy posiłek i zamknięty pojemnik z płynem.

Najwidoczniej mieszkańcom stacji brakowało zapasów, albo uważali, że nieproszonym gościom należy zapewnić tylko takie pożywienie, które pozwoli im utrzymać się przy życiu. Jedzenie, którym mnie poczęstowano, pochodziło z prawdziwych kosmicznych racji. Owszem — było pożywne i sycące, ale właściwie bez smaku. Miało tylko zapewnić przetrwanie.

Podzieliliśmy się otrzymaną porcją, a potem wypiliśmy z pojemnika dość paskudny płyn vita. Obawiałem się trochę, że do naszego posiłku dodano jakąś nieznaną nam substancję, z gatunku tych, które albo zmuszają człowieka do wyjawienia wszystkich sekretów, albo odbierają mu wolę i czynią z niego bezmyślne narzędzie. Jednak mimo tych podejrzeń nie potrafiłem się powstrzymać od jedzenia.

Wyrzuciwszy puste pojemniki do likwidatora odpadów, uświadomiłem sobie, że tak jak przed chwilą musiałem za wszelką cenę zaspokoić głód, tak teraz koniecznie muszę się

przespać. Miałem jednak wrażenie, że Eet jest innego zdania, a przynajmniej, że on sam nie odczuwa teraz potrzeby snu.

— Kamień! — to słowo zabrzmiało jak rozkaz. Nie potrzebowałem pytać, o jaki kamień chodzi. Moja ręka natychmiast powędrowała w stronę skrytki przy pasie.

— Dlaczego?

— Chcesz, żebym poszedł na zwiady w ciele phwata?

Na zwiady... Jak on to sobie wyobrażał? Sprawdziłem już drzwi i stwierdziłem, że są zamknięte. Nie wątpiłem też, że na zewnątrz są strażnicy, a w ścianach pokoju zamontowano nadajniki fal obserwacyjnych.

— Nie, nie ma tu nadajników — Eet wydawał się bardzo pewny siebie. — A jak chcę stąd wyjść? Tędy.

Wskazał wąską szczelinę przy suficie, która — po usunięciu zasłaniającej ją kraty — mogła posłużyć jako przejście.

Usiadłem na koi, przenosząc wzrok z włochatego zwierzoluda, którym stał się Eet, na wąski otwór w ścianie. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem, jak zmienia postać, uznałem to za iluzję, działającą również na zmysł dotyku. Ale czy przyrost masy był czymś realnym, czy oglądany stwór rzeczywiście wielokrotnie przewyższał rozmiarami prawdziwego Eeta? A jeśli tak było — to jakim sposobem udało mu się to osiągnąć? Chciałem też znać odpowiedź na jeszcze jedno, szczególnie niepokojące mnie pytanie — czy iluzja utrzyma się, jeśli ktoś nie ma przy sobie kamienia?

— Użyj go! — zażądał Eet. Nie odpowiedział na żadne z moich bezgłośnych pytań. Zupełnie jakby nagle pojawiła się jakaś ważna sprawa, którą musiał koniecznie załatwić i nie miał czasu na rozmowę ze mną.

Wiedziałem, że nie uzyskam od niego żadnych odpowiedzi, dopóki sam nie zechce mi ich udzielić. Mimo wszystko jego umiejętność czytania myśli była naszym największym atutem w tej rozgrywce. Jeśli więc uważał, że pełzanie przewodami wentylacyjnymi jest konieczne, to należało mu w tym pomóc.

Wciąż obejmowałem kamień obiema dłońmi. Eet twierdził co prawda, że na stacji nie ma promieni zwiadowczych, ale nie miałem ochoty odkrywać mojego skarbu w takim miejscu. Obserwowałem skulonego na podłodze Eeta i usiłowałem wyobrazić go sobie jako mutanta o wyglądzie kota. Po chwili włochaty, człekopodobny stwór zniknął i przede mną kucał Eet w swej prawdziwej postaci.

Wypchnięcie siatki blokującej dostęp do kanału nie sprawiło mi żadnych trudności. Zaraz potem mój towarzysz, wykorzystując mnie jako drabinę, błyskawicznie wskoczył do środka. Nie powiedział, kiedy zamierza wrócić ani gdzie się wybiera. Być może sam jeszcze tego nie wiedział.

Usiłowałem zwalczyć senność, mając nadzieję, że Eet nawiąże ze mną telepatyczny kontakt, ale moje ciało potrzebowało odpoczynku. W końcu wyciągnąłem się na koi i

zapadłem w sen tak głęboki, jak gdybym rzeczywiście znajdował się pod wpływem narkotyku.

Budziłem się powoli i niechętnie, z trudem otwierając ciężkie, jakby sklezione powieki. Niemal natychmiast zobaczyłem Eeta, znów okrytego włóchatym futrem, zwiniętego w kłębek. Siedziałem nieruchomo, starając się zwalczyć spowodowane wyczerpaniem otępienie.

A więc wrócił, i to wrócił podwójnie — do naszej celi, a także do swojej poprzedniej postaci. Jak zdołał dokonać tego drugiego wyczynu? Strach otrzeźwił mnie niemal natychmiast i zmusił do sięgnięcia w zanadrze. Z ulgą stwierdziłem, że kamień wciąż spoczywa na swoim miejscu w kieszonce przy pasie.

Obserwowałem go nieprzytomnymi, wciąż jeszcze przymglonymi oczyma. Rozprostował członki i przeciągnął się, jak gdyby właśnie wyrwano go ze snu równie głębokiego jak mój.

— Będziemy mieli gości — nawet jeśli sprawiał wrażenie zaspanego, to umysł miał sprawny.

Powłócząc nogami, ruszyłem w stronę odświeżacza. Kimkolwiek byli nadchodzący ludzie, nie powinni wiedzieć, że zostałem uprzedzony o ich przybyciu. Skorzystawszy z urządzeń zainstalowanych w kabinie, poczułem się znacznie raźniej. Spojrzałem właśnie w stronę dystrybutora żywności, kiedy drzwi się otworzyły i do środka wszedł jeden z podwładnych Orbsleona. — Dostojnik chce cię zobaczyć.

— Jeszcze nie jadłem. — Najwyraźniej traktował mnie jako własność swego pana, uznałem więc za stosowne podkreślić swoją niezależność.

— W porządku. Jedz teraz.

To natychmiastowe ustępstwo zaskoczyło mnie i jednocześnie dodało pewności siebie. Jednak strażnik od razu dał mi do zrozumienia, że nie mogę liczyć na nic więcej. Stał w drzwiach i patrzył, jak włączam dystrybutor, a potem dziełę nieapetyczny posiłek z Eetem.

— Hej, ty — zwrócił się w pewnym momencie do mojego towarzysza — czym się zajmujesz?

— Nie warto do niego mówić — rzuciłem szybko — musiałbyś użyć przetwarzacza dźwięku. Jest moim pilotem, to znaczy był nim. Inteligencja znacznie poniżej średniej, ale niezły z niego technik.

— Rozumiem... A właściwie kim on jest?

Nie wiedziałem, czy pytał z czystej ciekawości, czy może kazano mu zdobyć więcej wiadomości na nasz temat. W każdym razie do wymyślonej naprędce historyjki dodałem jeszcze jedną informację.

— To phwat, pochodzi z Formalh.

W galaktyce istniało mnóstwo planet zamieszkałych przez istoty reprezentujące pewien poziom inteligencji — lub czegoś, co od biedy można było określić jako inteligencję. Poznanie choćby tysięcznej części tych planet przekraczało czyjekolwiek możliwości.

— On zostaje — podczas gdy ja przygotowywałem się do wyjścia, strażnik zastąpił drogę Eetowi.

Potrząsnąłem głową.

— Jest bardzo do mnie przywiązany. Jeśli go nie weźmiemy, umrze. — Mówiłem o czymś, co kiedyś wydawało mi się legendą, o emocjonalnej więzi istot należących do różnych ras. Jednak rok temu wątpiłem w istnienie Gwiazdnych Wrót, a teraz miałem je pod stopami. Być może więc w innych nieprawdopodobnych historiach także tkwiło ziarno prawdy. W każdym razie strażnik najwidoczniej uwierzył mi i nie zaprotestował, kiedy mutant powłókł się naszym śladem.

Nie wróciliśmy już do sali, w której byłem przesłuchiwany przez Orbsleona. Zamiast tego zaprowadzono mnie do pokoju, który stanowił jakby zmniejszoną kopię typowego lombardu. Widywałem już wiele takich miejsc. Część pomieszczenia zajmował długi stół zastawiony różnymi spektro-przyrządami i trzeba przyznać, że tutejsze wyposażenie laboratoryjne wywołałoby zawiść u niejednego planetarnego rzeczoznawcy. Na ścianach zauważyłem zarysy „bezpiecznych” szafek wyposażonych w zamki uruchamiane dotknięciem kciuka. Żeby dostać się do ich zawartości, należało wetknąć palec w otwór z czytnikiem, jednak mogła to zrobić wyłącznie osoba do tego upoważniona.

— Jesteśmy w zasięgu promieni zwiadowczych — poinformował mnie Eet. Zdążyłem się już tego domyślić, podobnie jak domyśliłem się, dlaczego mnie tu przyprowadzono. Zamierzali sprawdzić, czy naprawdę jestem ekspertem od wyceny, a to oznaczało, że czeka mnie bardzo trudne zadanie. Musiałem przywołać na pomoc całą wiedzę przekazaną mi przez człowieka, pod którego się podszywałem. A także wiedzę, którą zdążyłem sobie przyswoić od chwili opuszczenia go.

Przedmioty, których wartość miałem oszacować, leżały na stole, pod ochronną pajęczyną z ull. Ruszyłem prosto w ich kierunku, gdyż w tym momencie mojego życia liczył się przede wszystkim uprawiany przeze mnie zawód.

Wszystkie cztery okazy były starannie obrobione i osadzone w metalu. Lśniły i iskrzyły, a ich blask ożywiał pokój. Pierwszy z klejnotów miał formę naszyjnika. Wykonano go z kamieni koro, tych bezcennych minerałów wydobywanych z dna sargoliańskich mórz. Salarikowie płacili za nie podwójną cenę, ponieważ — noszone bezpośrednio przy ciele — pod wpływem ciepła wydzielaly woń zbliżoną do zapachu perfum.

Podniosłem klejnot i obejrzałem go pod światło, a potem zważyłem każdy z kamieni w rękę i obwąchałem go. Potem niedbale rozluźniłem uchwyt, pozwalając, aby naszyjnik ześliznął się na stół. — Syntetyczny. Zapewne robota Rampera z Norsteadu albo któregoś z jego uczniów. Wyprodukowany jakieś pięćdziesiąt lat planetarnych temu. Używali do tego aromatu marquee... Impregnowany pięciokrotnie, a może sześciokrotnie — orzekłem i zwróciłem się w stronę następnego egzemplarza. Wiedziałem, że moim zadaniem nie jest popisywanie się przed strażnikiem i dwoma innymi mężczyznami znajdującymi się w pokoju.

Powinienem raczej starać się zrobić wrażenie na tych, którzy wysyłali w moim kierunku promienie zwiadowcze.

Drugi klejnot, w bardzo skromnej oprawie, zwrócił moją uwagę ciemną, głęboką barwą. Przyglądałem mu się przez dłuższą chwilę, a potem umieściłem go pod infraskopem i dokonałem dwukrotnych pomiarów.

— Ten z kolei ma udawać terrański rubin pierwszej klasy. Nie ma żadnej skazy i wygląda na autentyczny. W przeszłości poddawano go jednak działaniu dwóch różnych substancji. Jedną potrafię zidentyfikować, ale drugiej nie znam. Spowodowała zmianą barwy. Wydaje mi się, że na początku klejnot był znacznie jaśniejszy. Przejdzie każdy test, z wyjątkiem laboratoryjnych badań jakości. Jednak ekspert miałby duże wątpliwości.

Trzeci przedmiot był naramiennikiem z czerwonego metalu, który — oglądany pod odpowiednim kątem — zmieniał barwę na złotą. Artysta wykorzystał ten niezwykły efekt, ozdabiając naramiennik ornamentem przedstawiającym kwiaty i liście winorośli. Niektóre z liści zostały wyrzeźbione w ten sposób, że sprawiały wrażenie obramowanych złotem. Tutaj nie mogło być mowy o pomyłce; dobrze pamiętałem dzień, w którym mój ojciec pokazał mi przedmiot zrobiony z tego samego metalu. Tamten jednak miał formę małego wisiora i został sprzedany do muzeum.

— To dzieło Poprzedników. Jest autentyczne. Jedyne egzemplarz tego typu biżuterii, jaki widziałem w życiu, został zabrany z rostandiańskiego grobowca. Archeologowie orzekli, że jest znacznie starszy niż sam grobowiec. Być może został znaleziony przez pochowanych tam Rostandian. Jednak do dziś nie wiadomo, skąd pochodzi ten metal.

W przeciwieństwie do trzech pozostałych ozdób, czwarta była matowa i bez połysku. W ołowianoszarym metalu tkwiły źle oszlifowane klejnoty, układające się w niegustowny wzór. Tylko środkowy kamień był interesujący, ale tym, którzy zajęli się jego obróbką, również zabrakło wyobraźni.

— Robota Kamperela. Główny klejnot to szafir z odmiany sol i można by go jeszcze raz oszlifować. Reszta... — wzruszyłem ramionami — w ogóle nie warto się nimi zajmować. Chłam dla turystów.

— Jeśli to wszystko, co macie mi do pokazania — ciągnąłem dalej, zwracając się do dwóch milczących mężczyzn — to pogłoski krążące o Gwiezdnym Wrotach są bardzo przesadzone.

Jeden z nich obszedł stół i ponownie przykrył ozdoby pajęczyną. Zastanawiałem się właśnie, czy odprowadzą mnie z powrotem do celi, kiedy z ukrytego interkomu dobiegł mnie trzeszczący, monotony głos dostojnika.

— To być próba, tak jak ty myśleć. Zobaczyc i inne rzeczy. Co do szafiru... ty potrafisz go przeszlifować?

W głębi duszy odetchnąłem z ulgą. Ojciec nie umiał tego robić, tak więc i ja nie musiałem przyznawać się do tej umiejętności.

— Jestem rzeczoznawcą, a nie jubilerem. Przy obróbce tej sztuki popełniono poważne błędy i naprawienie ich wymaga dużych umiejętności. Radziłbym zaproponować to takim firmom, jak na przykład... — gorączkowo szukałem w pamięci — ... Phatka i Njila.

Znajomość tych imion zawdzięczałem z kolei Vondarowi. Mistrz ostrzegał mnie przed handlarzami z półświatka, którzy prowadzili podwójny lub nawet potrójny rejestr klejnotów i dzielili swe skarby na te, które mogli sprzedawać publicznie, i te, które przekazywali tylko zaufanym nabywcom. Podejrzewano ich o konszachty z Bractwem, chociaż nigdy nie udało się tego udowodnić. W każdym razie znajomość tych nazwisk stanowiła dodatkowy dowód, że zdarzało mi się już przeprowadzać transakcje na granicy prawa.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Człowiek, który owinął klejnoty pajęczyną, schował je do jednej ze skrytek w ścianie. Wszyscy obecni zachowywali milczenie, z interkomu również nie dobiegał żaden dźwięk. Przeszepowałem z nogi na nogę, zastanawiając się, co teraz nastąpi.

— Przyprowadzić go tutaj — zatrzeszczał w końcu interkom. Tak więc zabrano mnie do znajomego pokoju. Dostojnik Orbsleon jak zwykle płał w swoim pucharze. Nad powierzchnią cieczy wystawał blat małego stolika, na którym leżał pojedynczy kawałek metalu.

O dziwo, nie wprawiono weń żadnego klejnotu, jednak jego kształt wydał mi się dobrze znajomy. Okruch miał formę pierścienia, którego rozmiar świadczył o tym, że był przeznaczony do noszenia na obszernej, grubej rękawicy kombinezonu kosmicznego. Brakowało w nim jednak kamienia nicości, a wgłębienie przeznaczone na oczko było puste. Nie wątpiłem, że mam przed sobą pierścień identyczny jak ten, który spowodował śmierć mojego ojca, choć pozbawiony najistotniejszego elementu. Od razu pojąłem, że to kolejny test, tym razem mający sprawdzić nie moją wiedzę o kamieniach, lecz o czyś zupełnie innym. Musiałem teraz wymyślić historię na tyle bliską prawdy, żeby wydała im się przekonująca.

— Promienie zwiadowcze — Eet natychmiast odczytał moje myśli.

— Co to być? — Dostojnik nie tracił czasu, natychmiast przeszedł do rzeczy.

— Mogę to dokładnie obejrzeć? — zapytałem.

— Ty brać, oglądać, a potem odpowiedzieć na pytanie — polecił.

Wziąłem pierścień do ręki. Bez kamienia wyglądał jeszcze bardziej niepozornie. Jak dużo mogłem im powiedzieć? Z pewnością wiedzieli dużo o śmierci mojego ojca, toteż musiałem podzielić się z nimi wszystkimi informacjami, którymi dysponował Hywel.

— Widziałem już coś takiego, ale w środku był kamień — oświadczyłem. — Matowy, bo najwyraźniej poddano go działaniu jakichś substancji, które odebrały mu połysk i uczyniły bezwartościowym. Pierścień znaleziono na rękawicy martwego kosmity, zapewne Poprzednika, i przyniesiono do mojego lombardu.

— Bezwartościowy... — zatrzeszczał głos dostojnika — a jednak ty kupić go.

— Należał do kosmity, Poprzednika. Wiedza, którą zdobywa się dzięki takim przedmiotom, wzbogaciła już niejednego. Jedna, druga poszlaka i już jesteś na tropie cennego znaleziska. Sam w sobie ten przedmiot jest bez wartości, ale jego wiek i fakt, że noszono go na rękawicy, dodaje mu znaczenia.

— A dlaczego na rękawicy?

— Nie mam pojęcia. Co właściwie wiemy o Poprzednikach? Było ich bardzo wielu, tyle różnych cywilizacji i ras, a w dodatku żyli w różnych epokach. Zakathanie doliczyli się co najmniej czterech gwiazdnych imperiów, poprzedzających powstanie ich własnej cywilizacji. A twierdzą, że było ich jeszcze więcej. Mury miast pękają, słońca wygasają, ale tego rodzaju przedmioty niekiedy — w sprzyjających warunkach — wytrzymują próbę czasu. Przestrzeń kosmiczna konserwuje, jak sam dobrze wiesz. Wszystko, co wiemy o Poprzednikach, zawdzięczamy właśnie takim strzępom i okrucem, pozornie bez wartości.

— Treść pytań, które ci teraz zadaje — powiedział mi Eet — pochodzi od kogoś innego.

— Od kogo?

— Kogoś ważniejszego od tej drobnej płotki. — Po raz pierwszy Eet użył obraźliwego określenia, pozwolił, żeby pogarda, którą odczuwał, przeniknęła do telepatycznego przekazu. — Nic więcej nie wiem. Ten drugi używa zabezpieczeń przeciwko promieniom zwiadowczym i postrzegania pozazmysłowego.

— To był pierścień — powtórzyłem głośno i z powrotem położyłem krążek na stoliku. — Przedtem zdołał go kamień, którego już nie ma. Przypomina egzemplarz znaleziony przy Poprzedniku i przechowywany niegdyś w moim lombardzie.

— Niegdyś... Gdzie teraz?

— O to musicie zapytać tych, którzy splądrowali mój zakład i o mało mnie nie uśmiercili. — Odparłem cierpko. Kłamałem, ale czy jakikolwiek promień zwiadowczy mógł to wychwycić? Czekałem, niemal spodziewając się, że ktoś stanowczo zaprzeczy moim słowom. Nawet jeśli tak się stało, to żaden z obecnych w tym pokoju chyba jeszcze o tym nie wiedział. Jeżeli zaś uznano, że mówię prawdę, to zapewne niektórzy członkowie Bractwa będą musieli wkrótce odpowiedzieć na parę kłopotliwych pytań. To zaś w żadnym wypadku nie mogło mi zaszkodzić.

— Dosyć — zaskrzeczał komunikator. — Ty iść do miejsca, gdzie handel. Ty patrzeć.

Eskortujący mnie człowiek skierował się ku drzwiom. Odchodząc, nie trzasnął obcasami i nie stanął na baczność, tak jak zrobiłby to ktoś z Patrolu. Mimo to nie zamierzałem kwestionować jego autorytetu i bez oporu pozwoliłem się prowadzić do miejsca wskazanego przez Orbsleona.

Poszliśmy jedną z galerii obiegających pustą przestrzeń w środku stacji. Musieliśmy powłóczyć nogami, nie odrywając stóp od podłoża, i trzymać się poręczy osadzonej w ścianie. W przeciwnym razie groziłoby nam poważne niebezpieczeństwo, gdyż w tym miejscu prawie nie działała siła ciężenia. Idąc w dół doszliśmy do zamontowanego zamiast

schodów wygiętego pręta, wyposażonego w uchwyty dla rąk. Poruszanie się po nim przypominało jazdę windą grawitacyjną. Wkrótce dotarliśmy do położonych trzy poziomy niżej apartamentów dostojnika.

Przypominały trochę gwarny i ruchliwy plac targowy. Wszędzie kręciły się istoty najrozmaitszych ras i gatunków: Terranie, terrańscy mutanci, stworzenia człekopodobne i kosmici w niczym nie przypominający ludzi.

Większość z nich miała mundury kosmonautów, chociaż żaden nie nosił oficjalnych insygniów. Wszyscy byli uzbrojeni w paralizatory, ale nikt nie miał lasera.

W loży, do której mnie wprowadzono, nie zauważyłem ani śladu specjalistycznego sprzętu. Inny Orbsleon (najwidoczniej pochodzący z niższej kasty, o czym świadczyły odnóża podobne do kończyn kraba, których dawno temu pozbyli się dostojnicy) przycupnął na dnie pucharu. W naczyniu znajdowało się tylko tyle płynu, aby zapewnić Orbsleonowi minimum komfortu. Było jasne, że to on tu jest dowódcą i że oczekiwał mojego przybycia. Nie dotknął nawet palcem komunikatora i zamiast tego wskazał łapą krzesło stojące przy ścianie. Usiadłem posłusznie, a Eet skulił się u moich stóp. W pomieszczeniu znajdowały się jeszcze dwie istoty, na widok których uświadomiłem sobie z dreszczem przerażenia (który, miałem nadzieję, udało mi się z powodzeniem ukryć), jak bardzo oddaliłem się od świata rządzonego przez prawo.

W galaktyce zawsze istniało niewolnictwo, czasem ograniczone do jednej planety, kiedy indziej znów panujące na terytorium jednego lub kilku systemów słonecznych. Najbardziej rozpowszechniona postać tej instytucji polegała na wykorzystywaniu jeńców wojennych do prac gospodarskich. Równoległe występowały jednak formy niewolnictwa mogące przyprawić człowieka o mdłości. A te... stworzenia były rezultatem praktyk, które Patrol od dawna próbował wyeliminować z gwiazdnych szlaków.

Służący Orbsleona byli istotami człekopodobnymi... do pewnego stopnia. Poddano ich serii chirurgicznych i genetycznych eksperymentów, i teraz trudno byłoby sklasyfikować ich jako ludzi według powszechnie uznawanych kryteriów opracowanych przez Lankoroksa. Klasyfikacja Lankoroksa dzieliła kosmiczną społeczność na Terran, mutantów i kosmitów. Ci dwaj byli raczej żywymi maszynami, zaprogramowanymi wyłącznie do wykonywania określonych zadań. Jeden z nich siedział przy stole, z rękami bezwładnie opartymi o blat. Jego pulchne ciało robiło wrażenie całkiem sflaczałego, jak gdyby nawet ta energia, która tchnęła w niego pseudożycie, zdążyła się już ulotnić. Drugi niewolnik zajęty był obróbką klejnotu, naszyjnika wysadzanego drogimi kamieniami, noszonego przez Wyvernów z Warlock podczas oficjalnych uroczystości. Wykazywał przy tym niezwykłą delikatność i precyzję. Wyluskując kamienie z oprawy, natychmiast oceniał je i wkładał do jednego z szeregu stojących przed nim pudełek. Jego oczy o wielu soczewkach, osadzone w dużej, zniekształconej głowie nie były zwrócone w stronę naszyjnika. Zamiast tego patrzył przed siebie, nie zatrzymując jednak wzroku na żadnym konkretnym obiekcie.

— To detektor — powiedział mi Eet. — Widzi wszystko, relacjonuje, ale nie ocenia ani nie klasyfikuje informacji. Ten drugi pełni funkcję przekaźnika.

— Postrzeganie pozazmysłowe! — przeraziłem się nagle. Jeśli naprawdę dysponowali umiejętnościami tego typu, to tamta zwisająca bezwładnie bryła mięsa mogła wejść na te same fale, na których nadawał Eet. Wówczas niewolnik odgadłby, że nie jesteśmy tymi, za których się podajemy.

— Nie, on wyłapuje tylko niższe częstotliwości — odpowiedział Eet — chyba, że jego pan rozkaże...

Zamilkł. Wiedziałem, że on również zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Nie miałem pojęcia, dlaczego mnie tu sprowadzono. Czas płynął. Przyglądałem się wchodzącym i wychodzącym. Niewolnik — detektor kontynuował swoją pracę, dopóki naszyjnik nie został całkowicie ogołocony z klejnotów. Zaraz potem w jego ruchliwych palcach pojawiła się filigranowa tiara. Wyjmując kamienie z dopiero co zapełnionych pudełek, osadzał je w tiarze niemal tak samo szybko, jak wcześniej wyjmował z naszyjnika. Wykorzystał tylko część klejnotów, ale i tak widziałem, że rezultatem jego pracy będzie egzemplarz biżuterii wart co najmniej tysiąc potwierdzonych kredytów. Taką cenę zapłacono by za niego w każdym sklepie jubilerskim na każdej z wewnętrznych planet. Niewolnik podczas pracy ani razu nie spojrzął na swoje ręce.

Nie powiedziano mi, na czym mają polegać moje obowiązki — jeśli w ogóle miano mi przydzielić jakieś obowiązki. Przez chwilę przyglądałem się ciekawie pracy niewolnika, ale z czasem moje zainteresowanie osłabło i bezczynność zaczęła mnie nużyć. Bez wątpienia jednak człowiek w mojej sytuacji miał prawo bez wzbudzania podejrzeń okazywać niecierpliwość w oczekiwaniu na jakieś zajęcie. Wierciłem się na krześle, które wydawało mi się tym twardsze, im dłużej na nim siedziałem. Nagle do łoży wszedł jakiś człowiek. Miał na sobie tunikę kapitana statku kosmicznego, pozbawioną firmowego logo, i sprawiał wrażenie bywalca. Bez wahania ominął stół, przy którym siedzieli niewolnicy, i skierował się prosto ku Orbsleonowi.

Przyciskał rękę do brzucha gestem, który bardzo przypominał mój własny odruch sprawdzania, czy wszystko w porządku z pasem na drogie kamienie. Potem odpiął tunikę i przez chwilę szukał czegoś za pazuchą. Kosmita pchnął w jego kierunku wysuwany stolik, podobny do tego, który wcześniej użył jego dostojnik, demonstrując mi pierścień.

Kosmonauta wyciągnął zwitek tkaniny ull, rozłożył go i moim oczom ukazał się znajomy, pstrokaty okruch — zoran. Macka Orbsleona owinęła się wokół kamienia i bez ostrzeżenia rzuciła go w moim kierunku. Instynktownie złapałem szybujący pocisk.

— Co to znaczy? — Z przenikliwym krzykiem kapitan obrócił się i spojrzął w moim kierunku, kładąc jednocześnie rękę na kolbie paralizatora. Badałem kamień, obracając go w ręku.

— Pierwsza klasa — oznajmiłem. I rzeczywiście tak było. Już dawno nie widziałem ładniejszego egzemplarza. W dodatku kamień by starannie oszlifowany i oprawiony. Wyposażono go nawet w uchwyt na łańcuszek.

— Dziękuję — w głosie kapitana pobrzmiwał sarkazm. — A kim ty właściwie jesteś? — To drugie pytanie zostało zadane dużo mniej podejrzliwym i agresywnym tonem.

— Hywel Jern, ekspert od wyceny — odpowiedziałem. — Chcesz to sprzedać?

— Nie przyszedłbym tu tylko po to, żeby usłyszeć twój werdykt! — odparł. — Od kiedy Vonu zatrudnia eksperta?

— Od dzisiaj — podniosłem kamień do światła, żeby jeszcze raz; mu się przyjrzeć. — Tu jest matowa plamka.

— Gdzie? — Przemierzył pokój dwoma długimi krokami. — Jeśli zmatowiał, to od twojego oddechu. To wspaniała sztuka.

Obrócił się w stronę Orbsleona.

— Sprzedam za cztery — rzucił.

— Nie dawać tyle za zorany — zaskrzeczał komunikator — nawet za te pierwszej klasy.

Kapitan zmarszczył brwi i zrobił taki ruch, jak gdyby chciał odwrócić się w stronę wyjścia.

— W takim razie za trzy.

— Jeden.

— Nie! Tadorc dałby mi więcej. Trzy!

— Idź do Tadorca. Dwa.

— Dwa i pół...

Nie miałem pojęcia, o czym mówią, gdyż na stacji nie używano konwencjonalnych kredytów. Być może mieli jakąś własną jednostkę monetarną.

Orbsleon najwidoczniej podjął ostateczną decyzję.

— Najwyżej dwa. Idź do Tadorca.

— Dobra, niech będą dwa. — Kapitan upuścił zorana na stół. Macka kosmity wysunęła się w kierunku tablicy z szeregiem małych klawiszy. Ruchomy czubek nacisnął kilka kolejnych guzików, ale nie było żadnej dźwiękowej odpowiedzi. Orbsleon ponownie użył komunikatora.

— Sprzedane za dwa... Na przystani numer cztery... pobrać potrzebne zapasy.

— Dwa! — kapitan wyrzucił z siebie to słowo niczym przekleństwo i wymaszerował z łoży. Gdyby w tym miejscu panowała trochę silniejsza grawitacja, z pewnością dałby się słyszeć odgłos tupania.

Kosmita ponownie rzucił zoraniem, tym razem w kierunku niewolnika-detektora, który schował klejnot do jednego ze swych pudełek. W tym momencie do pomieszczenia wszedł mój strażnik i przewodnik zarazem.

— Ty! — Wskazał na mnie. — Chodź, idziemy!

Poszedłem za nim. Odczułem chwilowe zadowolenie, gdyż miałem już dość nudy panującej w loży.

Rozdział trzynasty

Dostojnik najwyższej rangi — dotarło do mnie ostrzeżenie Eeta, Potwierdziło tylko moje własne przypuszczenia co do celu naszej wędrówki. Wspięliśmy się z powrotem na wyższe poziomy stacji, mijając tym razem siedzibę Orbsleona. Otaczające nas chropowate ściany były pokryte śladami malowideł i płaskorzeźb. Być może istoty, które zbudowały stację, przeznaczyły to miejsce na siedzibę przedstawicieli władzy.

Poleciwszy mi przejść przez obrotowe drzwi, moi strażnicy pozostali na zewnątrz. Bez szczególnego zaangażowania spróbowali i zatrzymać Eeta, ten jednak z energią, której trudno było po nim oczekiwać, przepchnął się między nimi. Zdziwiłem się, że strażnicy nie idą za mną. Chwilę później zrozumiałem, dlaczego mieszkaniowiec tych... apartamentów nie uważał ich obecności za konieczną. Po zrobieniu kolejnego kroku uderzyłem bowiem w ścianę stworzoną przez pole siłowe.

Oslabiona grawitacja, do której zdążyłem już trochę przywyknąć, w tym pomieszczeniu nie tylko osiągnęła poziom optymalny dla istot ludzkich, ale nawet trochę go przekroczyła, tak że z wysiłkiem stawiałem kroki.

Za niewidzialną barierą rozciągało się wnętrze umeblowane jak pokój w luksusowym zajeździe na jednej z wewnętrznych planet. Poszczególne sprzęty nie tworzyły jednak harmonijnej całości i — stłoczone w jednym miejscu — różniły się rozmiarami, jak gdyby zrobiono je dla istot dużo większych albo też dużo mniejszych ode mnie. Miały tylko jedną wspólną cechę — okazały, a w niektórych wypadkach wręcz krzykliwe i rażący wygląd.

Na supersofie rozpiął się dostojnik. Z pochodzenia był Terraninem, ale jednocześnie niektóre drobne, trudne do zauważenia szczegóły wyglądu sugerowały, że to mutant. Zapewne wywodził się z jakiejś rasy pierwszych kolonistów. Włosy miał przycięte w ten sposób, by sterczały sztywno nad częściowo ogoloną czaszką. Dzięki temu przypominał najemników z dawnych czasów. Zastanawiałem się, jak zakrywa ten grzebień hełmem — jeśli w ogóle kiedykolwiek nosi hełm. Miał ciemną skórę i nie był to efekt kosmicznej opalenizny, lecz naturalna, brązowa karnacja. Przez jego twarz od kącików oczu aż do szczęk biegły dwie symetryczne blizny, tak regularne, że nie mogły się tam znaleźć przypadkowo. Zapewne pełniły funkcję ozdobnego tatuażu.

Podobnie jak wyposażenie pokoju, jego strój był krzykliwą mieszaniną różnych stylów ubierania się, różnych kosmicznych mód. Długie nogi dostojnika, oparte na sofie, oblekały wąskie nogawki z białej, wytłaczanej skóry, z doczepionymi wysokimi butami. Oprócz tego miał na sobie coś, co przypominało trochę tunikę admirała Patrolu, udekorowaną gwiazdami zrobionymi z klejnotów i wstążkami. Rękawy bluzy zostały jednak ucięte na wysokości barków. Ręce mężczyzny poniżej łokci opasywały bransolety — czy może raczej opaski — z irydium. Jedną z opasek ozdobiono kamieniami, które mogły być tylko terrańskimi rubinami z pierwszej wody, a drugą rzędami ułożonych naprzemiennie, kontrastujących ze sobą zielonych szafirów sol i błękitnych lokerali. Obie bransolety wydały mi się bardzo niegustowne.

Na dodatek do tego wszystkiego, sztywny grzebień włosów na czubku głowy ujęty był w obręcz z metalowej siatki o zielonozłotej barwie. Do obręczy przyczepiono wisior z pojedynczym kamieniem koro, mniej więcej dziesięciokaratowym i bardzo pięknym. Klejnot opierał się o czoło mężczyzny. Ogólnie rzecz biorąc, dostojnik wyglądał jak odświętnie ubrany wódz piratów, którym zresztą był.

Nie wiedziałem, czy ta mieszanina przepychu i złego smaku ma tylko robić wrażenie na podwładnych dostojnika, czy może on sam gustuje w takich strojach. Ludzie z wyższych sfer Bractwa ubierali się z reguły dość tradycyjnie i unikali wszelkiej ostentacji. Jednak osobnik, z którym miałem do czynienia, jako jeden z panów Gwiezdných Wrót, a może nawet jej wyłączny władca, mógł nie należeć do Bractwa.

Przyglądał mi się z namysłem. Spojrzałem prosto w jego ciemne oczy i odniosłem wrażenie, że to odzienie jest swego rodzaju maską, mającą na celu zmylenie ludzi, z którymi prowadził interesy. W rękę trzymał białą, przezroczystą płytkę nefrytu. Od czasu do czasu podnosił ją do ust i czubkiem języka zlizywał odrobinę niebieskiej masy leżącej na płytce.

— Powiedziano mi — użył języka międzygalaktycznego, ale nie potrafiłem określić, z jakim mówił akcentem — że miałeś do czynienia z pozostałościami po Poprzednikach.

— Trochę, o czcigodny z rodu Ludzi. Miałem okazję widzieć i zbadać około dziesięciu różnych rodzajów znalezisk.

— Spójrz tam — zamiast wykonać gest wolną ręką, ruchem brody wskazał na lewo — obejrzyj to, co tam leży, i powiedz, czy naprawdę pochodzi od Poprzedników?

Przedmioty, które miałem zbadać, leżały na okrągłym stole z salodiańskiego marmuru. Najbliżej mnie znajdował się długi sznur upleciony z metalowych nitok, tu i ówdzie usiany błyszczącymi, różowymi kamieniami. Tuż obok zobaczyłem koronę czy może tiarę, przy czym człowiek miałby kłopoty z założeniem jej na głowę, bo była owalna, a nie okrągła. Stała tam także rzeźbiona misa wysadzana klejnotami, które jednak nie układały się w żadną figurę, i lecz sprawiały wrażenie rozrzuconych przypadkowo. Obrazu dopełniał piękny okaz broni, ukryty w pochwie czy futerale. Rękojeść była inkrustowana różnokolorowymi metalami łączonymi w tak wymyślny sposób, że nie mogło być mowy o żadnym fałszerstwie.

Wiedziałem już, że odnalazłem to, z powodu czego zapuściłem się do tej jaskini zbójców. Miałem przed oczyma większą część skarbu, który Zakathanie odnaleźli w grobowcu. Zilwrich udzielił mi zbyt dokładnych wskazówek, żebym mógł się pomylić. Było jeszcze cztery czy pięć innych znalezisk, ale najcenniejsze i najważniejsze leżały tutaj.

Moją uwagę przyciągnęła zwłaszcza misa, choć zdawałem sobie sprawę, że jeśli dostojnik nie docenił dotychczas znaczenia, jakie mają pozornie bezładnie rozrzucone ornamenty i kamienie, to w żadnym razie nie powinienem dawać mu podstaw do przypuszczeń, że ma do czynienia z gwiazdną mapą.

Ruszyłem w stronę stołu. Zanim do niego dotarłem, napotkałem po drodze barierę. To dało mi okazję do zademonstrowania pewności siebie. Wiedziałem, że tak właśnie postąpiłby Hywel.

— Nie mogę oszacować klejnotów bez dokładnego zbadania, o czcigodny.

Nacisnął guzik wbudowany w oparcie sofy i oto mogłem pójść dalej. Zauważyłem jednak, że kiedy już doszedłem do stołu, znów uderzył w klawisz, tym razem dwukrotnie. Nie miałem wątpliwości, że zostałem uwięziony.

Podniosłem pleciony sznur i obracałem go między palcami. W przeszłości widziałem wiele pozostałości po Poprzednikach. Niektóre należały do kolekcji ojca, z innymi zetknąłem się dzięki współpracy z Vondarem Ustle'em, a jeszcze inne oglądałem na trójwymiarowym obrazie, jednak ten skradziony skarb był najcenniejszym, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się badać. To, że wszystkie te przedmioty należały kiedyś do Poprzedników, byłoby dla mnie oczywiste, nawet gdybym nie znał ich historii. Pytanie tylko, której z licznych cywilizacji należało je przypisać. Niewykluczone, że zakathańska ekspedycja natrafiła na pozostałości jeszcze jednej, dotychczas nie poznanej kultury.

— To dzieło Poprzedników. Wydaje mi się jednak, że to coś zupełnie nowego — powiedziałem dostojnikowi, który wciąż lizał swój przysmak, nie spuszczać ze mnie wzroku. — Dlatego te przedmioty są warte znacznie więcej, niż się wydaje. Prawdę mówiąc, nie jestem w stanie ich oszacować. Możesz zaoferować to Komisji Vydyke, ale niewykluczone, że nawet ich nie będzie stać na kupno.

— Ile dostanę za sam metal i kamienie?

Już to pytanie wystarczyło, żeby wywołać u mnie obrzydzenie i gniew. Sam pomysł zniszczenia tych skarbów, żeby sprzedać osobno oprawę i klejnoty, był świętokradztwem, oburzającym dla każdego, kto znał ich pochodzenie.

Musiałem jednak odpowiedzieć na zadane mi pytanie i nie odważyłem się okazać swoich prawdziwych uczuć. Podnosiłem poszczególne przedmioty, marząc w głębi duszy o tym, żeby dokładniej przyjrzeć się mapie. Bałem się jednak wzbudzić w nim podejrzenia.

— Żaden z kamieni nie jest duży — oświadczyłem. — Wszystkie mają bardzo staroświecki szlif, co zawsze obniża cenę, a próbując je na nowo oszlifować straciłbyś jeszcze

więcej. Metal... Nie, to co czyni te przedmioty wartościowymi, to precyzja wykonania i fakt, że są tak stare.

— Tak właśnie myślałem — dostojnik po raz ostatni polizał swoją płytkę i odstawił pustą na bok — ale trudno na coś takiego znaleźć kupca.

— Są jeszcze kolekcjonerzy, o czcigodny. Co prawda nie tak hojni jak Vydyke, ale natychmiast zebraliby wszystkie dostępne środki, żeby tylko zdobyć choć jedną rzecz z tych, które tu leżą. Wiedzieliby, że to czarnorynkowy interes i trzymaliby swój nabytek w ukryciu. Bractwo zna takich ludzi.

Nie odpowiedział od razu, ale nie przestawał mi się przypatrywać, jak gdyby cały czas czytał w moich myślach, zamiast słuchać tego, co mówię. Miałem jednak wystarczające pojęcie o telepatii, żeby wykluczyć taką możliwość. Sądziłem raczej, że zastanawia się nad tym, co przed chwilą powiedziałem.

Teraz uświadomiłem sobie jeszcze jedną rzecz, która z początku mnie zaniepokoiła, a potem wprawiła w podniecenie. Poczulem ciepło w okolicy brzucha, promieniujące z kieszeni, w której trzymałem kamień nicości. Ponieważ nie próbowałem w tej chwili wykorzystywać właściwości klejnotu, dziwne zjawisko mogło mieć tylko jedno wytłumaczenie. W pobliżu musiał znajdować się któryś z tych tajemniczych minerałów. Spojrzałem na koronę, spodziewając się go tam znaleźć, ale nie zauważyłem znajomego błysku. Wtedy dotarła do mnie myśl Eeta.

— Misa!

Wyciągnąłem rękę, jak gdybym chciał jeszcze raz zbadać naczynie. Na jego powierzchni, po mojej stronie, w miejscu na szczęście niewidocznym dla dostojnika, dostrzegłem iskrę. Jeden z rzadkich klejnotów, które moim zdaniem symbolizowały gwiazdy, obudził się do życia!

Podniosłem misę i obracałem ją niedbale w palcach, cały czas zakrywając kamień jedną dłonią. Czulem życiodajne ciepło promieniujące od brzucha i naczynia trzymanego w rękach.

— Które z tych znalezisk jest twoim zdaniem najważniejsze? — zapytał dostojnik.

Odstawiłem misę i jeszcze raz powiodłem wzrokiem po kolekcji, jak gdybym zastanawiał się przed podjęciem ostatecznej decyzji.

— Chyba to — dotknąłem dziwacznej broni.

— Dlaczego?

Zrozumiałem, że znów wystawił mnie na próbę i że tym razem nie udało mi się wyjść z niej obronną ręką.

— On wie — ostrzeżenie Eeta dotarło do mnie dokładnie w chwili, kiedy dostojnik sięgnął ręką w stronę guzików na poręczy.

Rzuciłem bronią, którą trzymałem w ręku. Szczęśliwym trafem udało mi się trafić go w czoło, tuż pod kamieniem koro. Najwyraźniej nie chroniło go już pole siłowe albo raczej ja sam znajdowałem się w środku tego pola. Nawet nie jęknął, przymknął tylko oczy i zapadł się

głębiej w supersofę. Obróciłem się w stronę wejścia. Byłem pewien, że zdążył zaalarmować strażników. Pole siłowe chroniło mnie, ale jednocześnie uniemożliwiało ucieczkę.

Zobaczyłem strażników stojących w otwartych drzwiach. Jeden z nich krzyknął głośno i wystrzelił z lasera. Pole wytrzymało uderzenie, zmieniając kierunek promienia, tak że fala ognia cofnęła się do tyłu. Mężczyzna, który zdążył już wejść do pokoju, zachwiał się, upuścił miotacz i upadł na towarzysza, który szedł za nim.

— Tu jest wyjście — Eet był już przy supersofie. Sięgnął łapą i porwał tajemniczą broń, leżącą teraz na brzuchu dostojnika. Zgarnąłem ze stołu pozostałe skarby, wziąłem je pod pachę i ruszyłem za Eetem w kierunku ściany. Mutant wcisnął odpowiedni guzik i otworzył sekretne drzwi. Kiedy ponownie zamknęły się za naszymi plecami, nawiązał ze mną telepatyczny kontakt.

— Te drzwi nie zatrzymają ich na długo. Po drodze jest mnóstwo alarmów i zabezpieczeń. Wykryłem je, kiedy byłem na zwiadach. Wystarczy, że włączą to wszystko, a znajdziemy się w potrzasku.

Oparłem się o ścianę i rozpiąłem tunikę, aby schować zdobycz za pazuchę. Powstało niezgrabne wybrzuszenie, tak że ledwo mogłem się z powrotem zapiąć.

— Czy będąc na zwiadach, znalazłeś też jakieś wyjście? — zapytałem. Nasza ucieczka była raczej instynktownym odruchem niż świadomym działaniem. Teraz nie byłem pewien, czy przypadkiem sami nie wpakowaliśmy się w pułapkę.

— To stare kanały dla mechaników. W kabinie są kombinezony kosmiczne. Ciągłe muszą łątać pokrywę stacji. Teraz wszystko zależy od tego, czy uda nam się w porę dotrzeć do kabiny z kombinezonami.

Siła ciężenia praktycznie nie istniała w miejscu, w którym się znajdowaliśmy, toteż sunęliśmy naprzód w niemal całkowitych ciemnościach, płynąc w powietrzu. Na szczęście wzdłuż zewnętrznego muru umieszczono w pewnych odstępach uchwyty świadczące o tym, że ten sposób poruszania się nie jest tu czymś nowym. Obawiałem się jednak tego, co było przed nami. Nawet zakładając, że jakimś szczęśliwym trafem udałoby się nam dotrzeć do kombinezonów, założyć je i wydostać się poza zewnętrzną skorupę stacji, mielibyśmy wciąż bardzo trudne zadanie. Musielibyśmy przedostać się przez szeroki pas przestrzeni kosmicznej, dzielący stację od pierścienia wraków, i odnaleźć kapsułę ratunkową. Tutaj już nie należało liczyć na szczęście. Byłem przekonany, że postawią na nogi całą stację i rozpoczną polowanie na terenie, który dla nich był doskonale znany, a dla nas zupełnie obcy.

— Zaczekaj — ostrzeżenie Eeta przyszło tak nagle i nieoczekiwanie, że nie zdążyłem wyhamować i wpadłem na niego. — Z przodu jest pułapka.

— Co robimy?

— Ty nie rób nic, a przede wszystkim nie rozpraszaaj mnie! — warknął.

Spodziewałem się, że ruszy naprzód, aby unieszkodliwić to, co nam zagrażało. Myliłem się. Nie próbował się ze mną kontaktować, ale wyraźnie czułem fale energii uderzające w

jakiś odległy punkt. W tym samym czasie kamień nicości rozgrzał się do tego stopnia, że zaczął mnie parzyć.

— Wystarczy — stwierdził w końcu mój towarzysz. — Tamta moc się wypaliła. Droga wolna, przynajmniej na razie.

Jeszcze dwukrotnie napotkaliśmy coś, co Eet nazywał pułapkami. Ja jednak nic nie widziałem. W końcu przeszliśmy przez wysuwany segment ściany i znaleźliśmy się w pomieszczeniu przypominającym pęcherz czy bąbel, przylepiony do zewnętrznej pokrywy stacji. Zgodnie z przewidywaniami Eeta znaleźliśmy tam skafandry. Kombinezon, który na mnie pasował, był jednocześnie zbyt ciasny, żebym mógł ukryć w nim nasz łup. Dlatego oddałem Eetowi misę i tiarę. Mutant wybrał sobie najmniejszy ubiór, który i tak był dla niego zbyt obszerny.

Wciąż jednak nie miałem pojęcia, jak dostaniemy się do kręgu wraków, gdzie czekała na nas kapsuła. Oba skafandry były wyposażone w silniki rakietowe, umożliwiające technikom pracującym w przestrzeni kosmicznej powrót na stację. Trudno było jednak przewidzieć, czy urządzenia te mają dość mocy, żeby zanieść nas aż do złomowiska. Poza tym, używając ich bylibyśmy doskonale widoczni na ekranie radaru. Z drugiej strony mieliśmy przy sobie skarb i...

— Ten błąd, który popełniłem... Czy dostojnik zdaje sobie sprawę, jak ważna jest ta misa?

— Do pewnego stopnia. Wie, że to mapa.

— Której pewnie nie chcieliby zniszczyć. — Miałem nadzieję, że tak jest istotnie.

— To tylko twoje pobożne życzenia — odparł mutant. — Ale w tej chwili to jedyne, co nam pozostało.

Zasygnalizowałem wyjście z pomieszczenia i wyczołgałem się na zewnątrz. Magnetyczne płytki na butach utrudniały mi oderwanie się od pokrywy stacji. Kiedyś razem z Eetem właśnie w ten sposób rozpoczęliśmy podróż w przestrzeń i przypomniałem sobie lęk, który odczułem w momencie, gdy straciłem kontakt z bezpieczną powierzchnią statku Wolnych Kupców i pożeglowałem w bezkresną pustkę.

Tutaj jednak pustka nie była bezkresna. Transportowiec, którego śladem tu przylecieliśmy, zniknął, ale kosmolot bojowy z ostro zakończonym dziobem i jacht wciąż przebywały na orbicie. Nad nimi rozciągała się zbita masa wraków.

W tym złomowisku nie można było dostrzec żadnych znaków orientacyjnych. Wątpiłem, czy kiedykolwiek uda nam się znaleźć wąski przesmyk w splątanej i poszarpanej kupie żelastwa, kryjącej kapsułę ratunkową.

Nie widziałem żadnego powodu, dla którego mielibyśmy zwlekać. Nawet jeśli szanse dotarcia do wraków były niewielkie, to pozostając na miejscu, narażaliśmy się na ryzyko schwytania, zanim uda nam się cokolwiek przedsięwziąć. Na wszelki wypadek związaliśmy się jedną z zakończonych hakami lin, używanych przez techników pracujących poza obrębem

stacji. W ten sposób połączeni ruszyliśmy naprzód, celując między oba statki, których zarysy majaczyły złowieszczo nad naszymi głowami. — Nie sięgam do sterów — oświadczył Eet. To był nieoczekiwany cios, który mógł przesądzić o naszym losie. Czy moc silnika raketowego, przyczepionego do moich barków, wystarczy, żeby przenieść nas obu?

Włączyłem stery i poczułem potężne szarpnięcie, które oderwało mnie i spowitego w kombinezon Eeta od powierzchni stacji. Zmierzałem w stronę krawędzi najbliższego z wraków. Przesuwając się wzdłuż burt statków, miałem szansę odnaleźć przejście. Spodziewałem się, że lada chwila zostaną schwytani przez fale. Byłem prawie pewien, że w obawie przed zniszczeniem skarbu dostojnik nie zaryzykuje użycia morderczej broni.

Siła pchająca mnie naprzód działała nadal, mimo oporu, jaki powodował Eet, kołysząc się swobodnie na drugim końcu liny. Nie widać było żadnej pogoni, nie nadeszły również fale pościgowe. Zamiast triumfu odczuwałem jednak tylko niepokój. Najgorszy jest zawsze moment oczekiwania na nieunikniony atak. Nie wątpiłem, że już nas zauważyli i że za chwilę zostaniemy złapani w sieć.

Napęd silnika wyczerpał się, gdy od wraków dzielił nas jeszcze spory kawał drogi. Rozpaczliwie szarpiąc stery, udało mi się zmusić urządzenie do jeszcze jednego, krótkiego wysiłku, ale dystans między mną a złomowiskiem uległ przez to tylko nieznacznemu zmniejszeniu. Przez przypadek Eet znalazł się przede mną i teraz obserwowałem, jak jego kombinezon obraca się w próżni, zupełnie jakby znajdujący się w środku mutant walczył o odzyskanie kontroli nad sterami. Gdyby zdołał tego dokonać, mógłby użyć własnej mocy.

Nie miałem pojęcia, co zrobił, ale zniemacka jego łopoczący skafander skoczył naprzód, pociągając mnie za sobą. Parł naprzód coraz szybciej, nie kołysząc się już na boki. Pędził jak strzała, bez wysiłku ciągnąc mnie za sobą w stronę wraków. Jednak wciąż nie miałem pojęcia, dlaczego nas nie ścigają.

Poszarpana i groźna masa zniszczonych statków była coraz wyraźniej widoczna. Wierzyłem, że Eet jest w stanie kontrolować swoją moc i nie uderzymy prosto w tę kupę żelastwa. Nawet lekkie otarcie o jakąś ostrą krawędź mogło spowodować rozdarcie kombinezonów, co równałoby się wyrokowi śmierci.

Eet znów kręcił się wokół własnej osi, walcząc z siłą, która pchała nas naprzód. Ja również wykonywałem gwałtowne ruchy, robiąc wszystko, żeby trafić na burtę statku, co zapewniłoby mi względnie łagodne lądowanie.

Lecieliśmy teraz szybciej niż wtedy, gdy jeszcze działał mój silnik raketowy. Nagle uświadomiłem sobie, że Eet do uruchomienia swojej rakiety użył kamienia nicości.

— Wyłącz to! — wydałem myślą rozkaz. — Potnie nas na kawałki, jeśli tego nie zrobisz.

Być może nie potrafił kontrolować tej mocy. W każdym razie moje stopy z potworną siłą uderzyły w gładką powierzchnię, którą wcześniej wybrałem jako miejsce lądowania. Wyciągnąłem rękę, usiłując złapać kombinezon Eeta. Mutant próbował skrócić, przesuwając się wzdłuż złomowiska i unikając kontaktu z wrakami. Płytki magnetyczne na butach przez

pewien czas trzymały mnie na uwięzi., Udało mi się nawet gwałtownym szarpnięciem zatrzymać na chwilę Eeta, ale zaraz potem zadziałała siła, która pchała go naprzód i odpadłem od burty statku.

Przesuwaliśmy się obok porzewiałych rakiet, nagłymi skrętami ciała unikając kontaktu z metalowymi częściami. Było oczywiste, że nawet jeśli nie zostaniemy wykryci przez skanery ukryte w zakamarkach złomowiska, to w każdej chwili możemy napotkać promienie zwiadowcze, reagujące na ciepło. Nie wątpiłem, że mieszkańcy Gwiazdnych Wrót muszą dysponować takim sprzętem.

Być może bali się atakować ze względu na skarb. Czy zdążyli już uruchomić jakieś zewnętrzne zabezpieczenia, które uniemożliwią nam ucieczkę i pozwolą im schwytać nas bez większego trudu? Na przykład wtedy, kiedy brak powietrza sprawi, że będziemy całkiem bezsilni...

— Myślę, że chcą cię dostać żywego. — Eet odpowiedział na moje ponure rozmyślenia. — Przymuszają, że znasz wartość mapy. Chcą wiedzieć, dlaczego. Być może domyślają się też, że Hywel Jern nie powstał z martwych. Umiem czytać w cudzych myślach, ale w tym pirackim gnieździe nie byłem w stanie wyłapać wszystkiego.

Nie interesowały mnie motywy działania naszych przeciwników. Myślałem tylko o tym, jak stąd uciec, o ile to w ogóle było możliwe. Gdybyśmy mieli dosyć czasu, po prostu oblecielibyśmy krąg wraków i w końcu na pewno znaleźlibyśmy wejście. Niestety, nie pozwalał nam na to skąpy zapas powietrza.

— Przed nami... statek z wyłamanym włazem — stwierdził nagle Eet. — Widziałem go już wcześniej!

W ciemności dostrzegłem częściowo wyrwaną pokrywę luku, przypominającą półotwarte usta. Ten widok również i we mnie obudził wspomnienie. Poprzednio oparłem rękę na krawędzi tego włazu w chwili, kiedy dopadła nas fala pościgowa. Byliśmy wobec tego całkiem blisko wejścia, chociaż z trudem mogłem uwierzyć w takie szczęście.

Eet znowu nabrał prędkości, odsuwając się na pewną odległość od wraku. Ta energia na pewno nie pochodziła z silnika raketowego. Strumień mocy był wystarczająco silny, by doprowadzić nas aż do korytarza używanego przez statki. Potem posuwaliśmy się powoli, szukając oparcia dla rąk. Przynajmniej ja posuwałem się w ten sposób, ciągnąc za sobą kombinezon wraz z ukrytym w nim Eetem. Było to możliwe tylko dzięki temu, że prawie nic nie ważyliśmy. Jednak i tak czułem się osłabiony i drżałem ze zmęczenia. Nie byłem pewien, czy zdołam dotrzeć do celu.

Każdy następny chwyt był dla mnie męczarnią. Starłem się nie myśleć o tym, jak duży odcinek dzieli mnie od kapsuły, skupiając uwagę wyłącznie na każdym następnym ruchu. Na chwilę przestałem się nawet obawiać tego, co pozostawiłem za plecami.

Jakimś cudem udało nam się odnaleźć szczelinę, w której zostawiliśmy kapsułę i wypełnąć do środka przez właz. Kiedy tylko zatrzasnąłem za sobą drzwiczki, opuściły mnie

resztki sił i osunąłem się na podłogę. Niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, obserwowałem Eeta, który szamotał się w swoim niewygodnym kombinezonie, usiłując dosięgnąć wewnętrznych urządzeń sterowniczych. Nie zważając na niepowodzenia, z ponurą cierpliwością próbował raz po raz.

W końcu dopiął swego. Powietrze zaświszczało mi w uszach i wewnętrzny luk otworzył się. Eet przez chwilę walczył z opornym skafandrem, aż w końcu wydobył się z niego i ze złością odepchnął nogą bezużyteczny ubiór. Potem przyczłapał do mnie i zaczął majstrować przy zatraskach mojego kombinezonu.

Powietrze wypełniające kapsułę otrzeźwiło mnie na tyle, że zdołałem ściągnąć ochronny strój i wpełznąć do kabiny. Eet wyprzedził mnie i natychmiast przykucnął w hamaku przeznaczonym dla pilota, naciskając odpowiednie guziki, by nas stąd wyprowadzić.

Wgramoliwszy się do hamaka, wyczerpany ległem na plecach. W tej chwili zupełnie nie wierzyłem w to, że uda nam się przedrzeć przez zewnętrzne zabezpieczenia Gwiezdných Wrót. Przecież nasz statek musi napotkać po drodze jakieś pole siłowe, które — nie wyrządzając żadnej krzywdy — zatrzyma nas, tak jak życzyli sobie nasi prześladowcy. Mimo to, przekora nie pozwoliła mi poddać się bez walki. Ścisnąłem kamień nicości w drżących dłoniach i zmieniłem wygląd — albo raczej spróbowałem zmienić wygląd, gdyż nie mając lustra, nie mogłem się upewnić co do rezultatu moich starań.

Była to jedyna rzecz, którą mogłem teraz zrobić. Liczyłem, że w ten sposób uda mi się przynajmniej oszukać fale zwiadowcze.

— Jedna właśnie nadchodzi — poinformował mnie Eet i od tej chwili ani razu nie nawiązał ze mną kontaktu, koncentrując się wyłącznie na szukaniu wyjścia z tunelu.

Ile czasu mi pozostało? Ścisnąłem w rękach kamień, mimo że parzył mnie w palce. Nie miałem lustra, które pozwoliłoby mi śledzić poszczególne etapy transformacji, ale włożyłem w tę przemianę resztki woli i energii.

Spojrzałem zamglonymi oczyma na swoje nowe ciało. Na nogach miałem znajome skórzane spodnie. Kiedy popatrzyłem trochę wyżej, od razu rzucił mi się w oczy blask admiralskiej tuniki. Obróciłem głowę w lewo, a potem w prawo. Na obnażonych rękach, poniżej łokci, dostrzegłem opaski wysadzone klejnotami. Dzięki mocy kamienia nicości stałem się dokładną kopią dostojnika — taką przynajmniej miałem nadzieję. Jeśli obserwowali nas za pośrednictwem fal, to ta sztuczka mogła dać nam niewielką przewagę, chociaż na krótką chwilę wprowadzając ich w błąd.

Eet nie patrzył na mnie, ale jego myśl odbiła się echem w mojej głowie.

— Dobra robota. Oho, nadchodzi fala zwiadowcza!

Nie posiadając zdolności mojego towarzysza, mogłem mu tylko uwierzyć na słowo. Zebrałem wszystkie siły i dość żwawo uniosłem się w hamaku. Eet zniemacka uderzył włochatą pięścią w pulpity sterownicze. Kapsuła wystartowała gwałtownie, wciskając mnie z

powrotem w hamak. Dostałem zawrotów głowy, zrobiło mi się niedobrze — a potem zapadłem w ciemność.

Rozdział czternasty

Kiedy wróciła mi przytomność, przez pewien czas leżałem oszołomiony, gapiąc się w koliste wybrzuszenie nad sobą. Z początku nie byłem w stanie przypomnieć sobie, gdzie jestem, ani nawet kim jestem. Powoli wracała mi pamięć ostatnich wydarzeń. Co najmniej udało nam się przeżyć; nie padliśmy ofiarą zabezpieczeń chroniących piracką twierdzę. Czy jednak zdołaliśmy zachować wolność?! Być może znajdowaliśmy się w obrębie pola siłowego. Spróbowałem usiąść i hamak kapsuły zakołysał się.

Jedno szybkie spojrzenie upewniło mnie, że nie przypominam już dostojnika, chociaż za sterami kapsuły wciąż kulił się włochaty karzeł. Moja dłoń powędrowała do wybruszenia w pasie. Chciałem jak najprędzej sprawdzić, czy znowu jestem sobą. Miałem dziwne wrażenie, że nie będę w stanie normalnie myśleć czy planować, zanim również z wyglądu nie stanę się znowu Murdokiem Jernem. Zupełnie jakby stworzona na poczekaniu iluzja sprawiła, że zmieniłem się w nieudaną kopię ojca. A przecież przemiana miała dotyczyć tylko powierzchowności. Powoli zaczynałem się w tym wszystkim gubić.

— Tak, jesteś sobą — dotarła do mnie myśl Eeta.

Mimo to, wciąż czułem jakiś niepokój. Moja dłoń spoczęła na kieszeni, w której przez wszystkie te dni i miesiące przechowywałem kamień nicości. Nie wyczułem tam znajomego, twardego kształtu. Kieszeń była pusta!

— Kamień! — wrzasnąłem, mimo zmęczenia unosząc się w hamaku. — Kamień...

Eet zwrócił się w moją stronę. Twarz kosmity była zupełnie bez wyrazu — takie przynajmniej miałem wrażenie.

— Jest w bezpiecznym miejscu. — Ponownie użył telepatii.

— Ale gdzie?

— W bezpiecznym miejscu — powtórzył. — A ty znowu także z wyglądu przypominasz Murdoca Jerna. Przedostaliśmy się przez ich zabezpieczenia. Fala zwiadowcza dotarła do ciebie, kiedy wyglądałeś jak dostojnik, i dała się oszukać. Dzięki temu mieliśmy dość czasu na wydostanie się z zasięgu osłon za pomocą kamienia.

— A więc do tego był ci potrzebny! Wezmę go teraz z powrotem. Wciąż siedziałem prosto, chociaż musiałem kurczowo trzymać się hamaka, żeby utrzymać tę pozycję.

Wykorzystując moc kamienia, Eet użył tego samego sposobu, którym posłużyliśmy się niegdyś, aby zwiększyć szybkość statku zwiadowczego Patrolu. Zły byłem na siebie, że zapomniałem o tak skutecznej broni, którą cały czas mieliśmy w zasięgu ręki.

— Wezmę go — powtórzyłem, gdyż Eet nie zrobił żadnego ruchu, żeby wskazać mi miejsce ukrycia klejnotu. Co prawda pomagałem Ryzkowi w przebudowie kapsuły, ale mimo to nie miałem pojęcia, gdzie mutant mógł umieścić kamień, żeby jak najwydajniej wspomagał silnik pojazdu.

— Jest w bezpiecznym miejscu — stwierdził po raz trzeci Eet. Dopiero teraz dotarło do mnie, że wciąż udziela mi wykrętnych odpowiedzi.

— Kamień należy do mnie...

— Do nas — sprawiał wrażenie zdecydowanego. — Albo raczej... należał do ciebie, ponieważ na to pozwoliłem.

Nareszcie przejaśniło mi się w głowie.

— Swego czasu zamieniłem cię w kota... Boisz się, że...

— Nie uda ci się tego powtórzyć. Następnym razem nie dam się zaskoczyć. Jednak kamień staje się niebezpieczny, jeśli ktoś posługuje się nim w nieodpowiedzialny sposób.

— A ty — z trudem zachowywałem spokój — ty będziesz pilnował, żebym tego nie robił!

— Owszem. Poza tym, chcę ci coś pokazać. Patrz — wskazał palcem na coś, co leżało w sąsiednim hamaku. Przedmiot ten umieszczono tam zapewne po to, aby uchronić go przed wstrząsami.

Wolną ręką przyciągnąłem do siebie drugą siatkę. Znajdowała się w niej misa z mapą. Chwilę później trzymałem naczynie w rękach, uważnie je oglądając.

Kiedy obróciłem misę do góry dnem, błysnęły ku mnie małe kamyki, osadzone w kopulastej podstawie, bez wątpienia symbolizujące gwiazdy. Dopiero teraz, mając dużo czasu, mogłem przyjrzeć im się dokładniej i stwierdzić, że nie są identyczne. Istoty mojej rasy, oznaczając gwiazdy na mapach, zwykle używają czterech kolorów — czerwonego, niebieskiego, białego i żółtego. Najwyraźniej nieznany autor mapy robił dokładnie tak samo. Odstąpił od tej reguły tylko w jednym wypadku, umieszczając tuż obok żółtego klejnotu — prawdopodobnie oznaczającego słońce — kamień nicości!

Szybko obracałem naczynie w rękach, oglądając nieregularny wzór. Tak, wokół kolorowych słońc rozmieszczono również inne planety, ale były to ledwie widoczne kropki. Tylko tę jedną, jedyną oznaczono za pomocą klejnotu.

— Jak myślisz, dlaczego?

— Ponieważ stamtąd pochodzą kamienie nicości!

Trudno mi było uwierzyć, że możemy mieć w rękę klucz do zagadki. Na wpół świadomie wyobrażałem sobie, że nasza ekspedycja będzie podobna do wypraw, o jakich opowiadają

starożytne ballady i sagi. W tych historiach cel poszukiwań zawsze leży poza zasięgiem śmiertelników.

Jednak to, że mieliśmy mapę, nie przesądzało jeszcze o niczym. Musieliśmy jeszcze znaleźć na niej jakieś znajome miejsce. Nie byłem astronawigatorem i gdyby nie udało nam się dopasować wzoru na misie do już istniejących map gwiazdnych, moglibyśmy spędzić całe życie na bezowocnych poszukiwaniach.

— Wiemy, gdzie to zostało znalezione — zasugerował Eet.

— Tak, ale nie możemy wykluczyć, że to relikwiarz jeszcze starszej cywilizacji. Ten, w którego grobie ukryto kamień, mógł nigdy nie słyszeć o autorze mapy, a co dopiero o planetach, które są na niej oznaczone.

— Zakathanin powinien znaleźć klucz do zagadki. Pomoże mu w tym Ryzk, który zna kosmiczne szlaki. Większość gwiazd odwzorowanych na tym planie zapewne nie figuruje na oficjalnych mapach, ale ta dwójka prawdopodobnie wyszuka jakiś punkt oparcia dla dalszych poszukiwań.

— Chcesz im powiedzieć? — Byłem trochę zaskoczony. Eet nigdy dotychczas nie radził mi informować kogokolwiek, że skrzynki przekazane Patrolowi nie zawierały wszystkich istniejących kamieni nicości. W gruncie rzeczy to on był autorem całego planu wyprawy.

— Tylko to, co konieczne... że znaleźliśmy ślad, który doprowadzi nas do kolejnego znaleziska. Zakathanin pójdzie z nami z żądzą wiedzy, Ryzk — z chęci zysku.

— Przecież mamy odwieźć Zilwricha razem ze skarbem do najbliższego portu. Oczywiście... — uświadomiłem sobie nagle, że może nie miałem racji, posądzając mojego towarzysza o to, że lekkomyślnie pcha nas w nieznaną, mając za drogowskaz jedynie starą mapę. — ...Oczywiście nie powiedzieliśmy, kiedy odwieziemy go do tego portu.

Coś mi mówiło, że Zakathanin może chętnie zgodzić się na nasz projekt wyprawy szlakiem wskazanym przez mapę. W końcu umiłowanie wiedzy było charakterystyczną cechą tej rasy.

Chociaż wciąż trzymałem w ręku naczynie z planem, wróciłem do kwestii, która w tej chwili wydawała mi się najistotniejsza.

— Kamień, Eet.

— Jest bezpieczny.

Nie zamierzał rozwijać tego tematu.

Oczywiście, istniał jeszcze drugi kamień. Jednak w porównaniu z egzemplarzem używanym przez nas był tylko matowym okruczem wielkości główki od szpilki, na który ktoś nie znający jego niezwykłych właściwości nie zwróciłby najmniejszej uwagi. Czy ilość emitowanej energii zależała od wielkości kamienia? Pamiętałem wywołaną przez Eeta eksplozję mocy, która przepchnęła nas przez krąg wraków. Czy ta moc rzeczywiście pochodziła z niepozornej drobiny, którą mogłbym bez trudu zakryć czubkiem małego palca? Bez wątplenia wiedzieliśmy jeszcze bardzo mało o właściwościach tych klejnotów.

Chciałem szybko wrócić na statek i jak najprędzej oddalić się od Gwiazdnych Wrót. Kapsuła podążała wyznaczonym kursem. Zastanawiałem się, jak długo potrwa nasza podróż. Z pewnością nie znajdowaliśmy się daleko od martwego księżyca, na którym wylądował „Wendwind”.

— Mechanizm powrotny. — Zbliżyłem się do tarczy urządzenia. Wskaźniki pokazywały, że automatyczny pilot prowadzi nas w kierunku statku. Nagle zwątpiłem w możliwości tej maszyny. Większość zmian w systemie sterowniczym kapsuły została wprowadzona przez Ryzka tylko jako rozwiązanie tymczasowe i sprawiła mu wiele trudu, chociaż Wolny Kupiec był znacznie lepszym mechanikiem niż większość kosmonautów.

A nuż system naprowadzania miał jakąś wadę? W takim przypadku zgubilibyśmy się w przestrzeni kosmicznej. Było jednak oczywiste, że przynajmniej na razie podążaliśmy wyznaczonym kursem.

— To prawda — Eet przerwał mi tok myślenia. — Chociaż nie sądzę, żebyśmy kierowali się w stronę księżyca. Jeśli tamci weszli w nadprzestrzeń...

— Chcesz powiedzieć, że wystartowali, nie czekając na nas? — Ta obawa od dawna czała się w zakamarkach mojego mózgu. Wizyta na Gwiazdnych Wrotach była zuchwałą i ryzykowną. Niewykluczone, że Ryzk i Zilwrich spisali nas na straty już w momencie, gdy wyruszyliśmy w stronę stacji. A jeśli na przykład Zakathanin nagle zasłabł i pilot, korzystając z tego, że Zilwrich jest zbyt wyczerpany, by protestować, postanowił poszukać pomocy? Istniało wiele powodów, dla których „Wendwind” mógł wystartować. W każdym razie, wciąż lecieliśmy wyznaczonym kursem — i miało tak być dopóty, dopóki statek nie wejdzie w nadprzestrzeń. Gdyby to nastąpiło, połączenie między statkiem a kapsułą zostałoby zerwane i zaczęlibyśmy dryfować. Wtedy musielibyśmy albo wrócić na Gwiazdne Wrota, albo wylądować na jednej z martwych planet.

— Jeśli chcą lecieć poza system, to z pewnością weszli w nadprzestrzeń.

— Nie. Nie znając tego układu, muszą najpierw dotrzeć do najdalej wysuniętej planety — przypomniał Eet.

— A gdybyśmy tak użyli kamienia, żeby zwielokrotnić moc silnika? Moglibyśmy ich dogonić.

— Tego rodzaju lot wymagałby dużej ostrożności i precyzji. Jednoczesne manewrowanie kapsułą i statkiem... — Było oczywiste, że Eet, pouczając mnie, jednocześnie sam rozważa taką możliwość. Uważnie obejrzał pulpit sterowniczy i potrząsnął głową.

— Bardzo duże ryzyko. To są tylko prowizoryczne stery i mogą nas zawieść w potrzebie.

— Nie mamy wyboru — powiedziałem. — Albo tu zostaniemy i umrzemy, albo spróbujemy połączyć się ze statkiem. Dopóki lecimy tym kursem, mamy z nim kontakt... A właściwie dlaczego Ryzk nie zorientował się jeszcze, że ich gonimy? — dodałem tknięty nową myślą. — Przyrzędy powinny zarejestrować...

— Wskaźniki się popsuly. Albo on sam nie chciał czekać. Jeśli pilot nie chciał czekać... miał „Wendwinda”, miał Zakathanina i doskonałe wytłumaczenie. Mógł skierować się do najbliższego portu razem z ocalałym archeologiem, podać Patrolowi współrzędne Gwiezdných Wrót i zagarnąć statek jako odszkodowanie za zaległe pobory. W końcu w tej grze on trzymał w garści wszystkie atutowe gwiazdy, a my nie posiadaliśmy żadnej komety, która przecięłaby plansze do gry i sprowadziła go w dół. Żadnej — oprócz kamienia nicości.

— Włóż do hamaka — zakomenderował Eet. — Uaktywnię teraz moc kamienia. Mam nadzieję, że statek nie znajdzie się w nadprzestrzeni, zanim go dogonimy.

Znowu położyłem się na plecach. Eet pozostał przy pulpicie sterowniczym. Czy dziwaczne ciało, w które się oblekł, było w stanie znieść wstrząs bez ochrony, jaką dawało wyposażenie kapsuły? Gdyby zemdłał, nie potrafiłbym go zastąpić i wbilibyśmy się w „Wendwinda” jak pocisk.

W przeszłości zdarzało mi się znosić przeciążenia startowe w statkach budowanych wyłącznie z myślą o szybkości. Kapsuła nie miała z nimi nic wspólnego. Pamiętałem, że urządzenie to miało służyć wyłącznie do opuszczenia rakiety w razie awarii. Zaprojektowano je tak, by wytrzymało pierwsze gwałtowne szarpnięcie. Czy było w stanie wytrzymać dłużej taki napór — tego nie wiedziałem. Leżałem w hamaku i starałem się jakoś to znosić. Udało mi się nawet nie zemdleć. Miałem wrażenie, że ściany protestują przeciwko potwornej, napierającej na nie sile. Na misie, którą wciąż trzymałem w rękach, pojawił się świecący punkt. To mały kamień odpowiadał na fale energii wysyłane przez większy, ukryty przez Eeta.

Znosiłem to i jak przez mgłę obserwowałem włochate ciało Eeta, jego wyprężone ramiona i palce zaciśnięte na sterach. Potem usłyszałem głośny, chrapliwy oddech i ten dźwięk nie pochodził tylko ode mnie. Oczekiwałem, że lada chwila pęknie więź łącząca nas ze statkiem, co oznaczałoby, że „Wendwind” wszedł w nadprzestrzeń i opuścił znany nam wymiar.

Albo wysiłek spowodował u mnie zaburzenia widzenia, albo — co znacznie bardziej prawdopodobne — Eet nie był w stanie normalnie funkcjonować przy tej prędkości. Zobaczyłem jego rękę, boleśnie powoli pełznącą w stronę jakiejś dźwigni. Chwilę potem straszliwy napór osłabł. Kurczowo czepiając się siatki, wypelzłem z hamaka, odepchnąłem Eeta i zająłem jego miejsce. Miałem teraz przed sobą szereg migających ostrzegawczych lampek. Wiedziałem, co oznaczają i jak należy postępować, kiedy się zapalą. Nauczył mnie tego Ryzk podczas długich i żmudnych lekcji.

Znaleźliśmy się w pobliżu „Wendwinda” — w odległości, która pozwalała na połączenie ze statkiem. Większość czynności miały wykonać odpowiednio zaprogramowane automaty. Jednak niektóre światelka alarmowe wymagały natychmiastowej reakcji z mojej strony. Nawet jeśli Ryzk zignorował nasz pierwszy sygnał, nie mógł teraz uniknąć połączenia, chyba że natychmiast uciekłby w nadprzestrzeń.

Sekundy, które spędziłem przy pulpicie, gotów w każdej chwili wprowadzić odpowiednie poprawki do kursu, zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Obserwowałem wskaźniki, od których zależało nasze życie, a także los statku. W końcu dotarliśmy do celu. Ekran rozbłysł i zobaczyliśmy przeznaczoną dla kapsuły szczelinę w burcie rakiety. Potem nastąpiło uderzenie. Obraz na ekranie znikł, kiedy pojazd wpasował się między brzegi śluzy. Odczułem wielką ulgę. Za to Eet, wydobywszy się z drugiego hamaka, oświadczył:

— Wyczuwam kłopoty.

Nie dodał nic więcej. Trudno mi powiedzieć, co się wówczas stało, gdyż w języku mojej rasy brakuje na to właściwego określenia. Nie zdążyliśmy przyjąć pozycji leżącej, gdy nagle, bez żadnego ostrzeżenia, statek wszedł w nadprzestrzeń.

Poczułem w ustach smak krwi, która leniwie spłynęła mi po brodzie. Kiedy otworzyłem oczy, stwierdziłem, że wokół jest całkiem ciemno. Przestraszyłem się, że oślepiłem. Bolało mnie całe ciało i przy każdym ruchu odczuwałem niewyobrażalne męki. Jakimś sposobem udało mi się podnieść dłoń do oczu i przetrzeć je, nie zważając na to, że rozmazuję po twarzy krew. Wciąż nic nie widziałem!

— Eet! — Chyba wykrzyczałem to słowo. Dźwięk powrócił echem i przysporzył dodatkowych cierpień mojej obolałej głowie.

Nie było żadnej odpowiedzi. Wokół wciąż panowała całkowita ciemność. Macając na oślep rękami, uderzyłem w jakąś twardą powierzchnię i od razu wróciła mi pamięć. Byłem w kapsule; przed chwilą dotarliśmy na „Wendwinda”, który zaraz potem wszedł w nadprzestrzeń.

Nie wiedziałem, jak poważne są moje obrażenia. Kapsuła służyła między innymi do udzielania pomocy rannym rozbitkom, ofiarom kosmicznych katastrof. Wystarczyło tylko dotrzeć do hamaka, żeby zajęły się mną odpowiednie urządzenia.

Po omacku szukałem ochronnej siatki. Przy okazji stwierdziłem, że jedno ramię mam sprawne, ale drugim nie mogę w ogóle poruszyć. Niestety, z każdej strony tylko ściany. Spróbowałem czołgać się wzdłuż nich, wodząc palcami po burcie kapsuły i szukając jakiejś przerwy czy wgłębienia. Kabina była tak mała, że prędzej czy później musiałem trafić na jeden z hamaków. Poruszałem ręką w gęstych ciemnościach, ale niczego nie znalazłem.

Ale przecież byłem w kapsule, i do tej pory powinienem już znaleźć to, czego szukałem! Myśl o hamaku, który ukoiłby mój ból i podał leki regeneracyjne, sprawiła, że podwoiłem wysiłki. Ale po długich poszukiwaniach, bardzo utrudnionych wskutek doznanych obrażeń, stwierdziłem, że urządzenie zniknęło. W dodatku pomieszczenie, w którym się znajdowałem, nie było wcale wnętrzem kapsuły. Moja ręka opadła na podłogę i dotknęła małego, nieruchomego ciała Eeta! Nie tego jednak, którego widywałem ostatnio; to był taki Eet-mutant, jakim się narodził.

Wodząc palcami po jego pokrytych futrem bokach, wyczułem słabe drżenie, jak gdyby serce wciąż biło. Sprawdziłem za pomocą dotyku, czy na ciele mutantu nie ma żadnych ran.

Ciemność panująca wokół — wciąż nie dopuszczałem do siebie myśli, że jestem ślepy — jakby zgęstniała. Oddychałem ciężko, jak gdyby w pomieszczeniu brakowało nie tylko światła, ale również powietrza. W pewnym momencie przeraziłem się, że tak jest istotnie i że zamknięto nas tutaj po to, byśmy się podusili.

Eet nie odpowiadał na telepatyczne wezwania, które mu posyłałem, starając się, żeby były klarowne i wolne od zakłóceń. Obmacałem podłogę wokół niego i po chwili pozbyłem się resztek nadziei, że wciąż jesteśmy w kapsule. Znajdowaliśmy się w małym, zamkniętym pomieszczeniu; drzwi nie ustąpiły, kiedy pchnąłem je z całą siłą, na jaką było mnie stać w tej chwili. Z pewnością byliśmy na pokładzie „Wendwinda”, przypuszczalnie w jednej z pustych dolnych kabin, przerobionych na magazyny. To mogło oznaczać tylko jedno — Ryzk przejął dowodzenie. Nie miałem pojęcia, co powiedział Zakathaninowi. Nasze posunięcia były bardzo niekonwencjonalne, toteż bez trudu mógł mu wmówić, że działamy poza prawem. Poza tym pilot mógł zeznać — nie mijając się wcale z prawdą — że sprowadziliśmy go na pokład bez jego woli i wiedzy. Zakathanie słynęli ze zdolności telepatycznych i postrzegania pozazmysłowego. Ryzk mógł powiedzieć szczerą prawdę i Zilwrich by mu uwierzył. Niewykluczone, że zmierzaliśmy w stronę najbliższego posterunku Patrolu, gdzie zostalibyśmy uwięzieni jako porywacze i pokątni handlarze, utrzymujący kontakty z piratami z Gwiazdnych Wrót.

Spróbowałem spojrzeć na całą sprawę oczami postronnego obserwatora. Ryzk miał mocne argumenty, a Zakathanin zapewne by go poparł.

Fakt, że przywieźliśmy z powrotem część skarbu, nie miał żadnego znaczenia. Mogliśmy to zrobić po to, żeby zażądać okupu za odzyskane przedmioty i ранego Zakathanina.

Jeśli nazwisko Ryzka figurowało na czarnej liście, to wydanie nas władzom pomogłoby mu odzyskać licencję. W dodatku gdyby poddano nas — a zwłaszcza mnie — szczegółowemu badaniu, wyszłaby na jaw sprawa kamienia nicości. Dla Patrolu stałoby się oczywiste, że cały czas prowadziliśmy podwójną grę. Żeby nas całkowicie pogrążyć, Ryzk musiał tylko zagrać w najbliższym porcie rolę niewiniątka.

Sytuacja wyglądała naprawdę beznadziejnie i nie miałem pojęcia, co moglibyśmy zrobić, żeby zapobiec klęsce. Mając jeden z kamieni nicości moglibyśmy podjąć walkę; byłem tego całkiem pewien, bo nauczyłem się już wierzyć w niezwykle możliwości tych klejnotów. Eet, gdyby nie był martwy albo umierający, potrafiłby...

Po omacku wróciłem do drobnego, bezwładnego ciała i wziąłem je na rękę, tak by głowa Eeta opierała się na mojej piersi. Objąłem go też troskliwie zdrowym ramieniem. Wydało mi się, że nie słyszę już słabego bicia serca. Próbowałem skontaktować się z nim telepatycznie, ale bez skutku. Wszystko wskazywało na to, że Eet jest martwy. Zapomniałem o irytacji, jaką zawsze we mnie budził z powodu ciągłego mieszania się w moje sprawy i narzucania mi swojego zdania. Być może po prostu potrzebowałem kogoś obdarzonego silną wolą, kto

kierowałyby moimi poczynaniami. Najpierw tę rolę spełniał mój ojciec, potem zastąpił go Vondar Ustle i na końcu Eet...

Nie mogłem się jednak pogodzić z tym, że to już koniec. Jeśli Eet był martwy, to Ryzk powinien zapłacić za tę śmierć. Myślałem o użyciu kamienia, potem o skorzystaniu z pomocy Eeta, ale teraz nie mogłem liczyć ani na jedno, ani na drugie. Zostałem sam. I wcale nie zamierzałem przyznać się do porażki.

Kiedyś uważałem, że nie posiadam zdolności postrzegania pozazmysłowego. W każdym razie żadne tego rodzaju talenty nie ujawniły się u mnie do czasu spotkania z Eetem. Mutant przekazywał mi telepatycznie różne informacje i dzięki niemu ja również opanowałem tę sztukę. Pewnego razu Eet umożliwił mi bezpośredni kontakt z umysłem drugiego człowieka, oficera Patrolu, dzięki czemu mogłem oczyścić się ze stawianych mi zarzutów. Potem towarzysz nauczył mnie tworzenia iluzji, a ja sam odkryłem, że kamień nicości jest w stanie spowodować u żywej istoty niemal całkowitą przemianę.

Ale Eet umierał albo nawet już nie żył. Nie miałem ani jego, ani kamienia. Byłem ranny, niewykluczone, że ciężko, i w dodatku — byłem więźniem. Pozostała mi już tylko jedna, wątła iskierka nadziei. Zakathanin.

Podobnie jak Eet, posiadał wrodzony talent postrzegania pozazmysłowego. Czy istniał jakiś sposób dotarcia do niego?

Wpatrywałem się w ciemność. Wierzyłem, że nie przyjdzie mi spędzić reszty życia w mroku. Spróbowałem przypomnieć sobie rysy twarzy Zilwricha. Zachowałem przywołany obraz w pamięci, tym razem nie po to, by zmienić wygląd, ale po to, by mieć jakiś punkt wyjścia dalszych poszukiwań. Potem wysłałem w przestrzeń komunikat, który nie zawierał określonej treści, ale był wołaniem o pomoc, próbą zwrócenia na siebie uwagi.

I wtedy... trafiłem na coś! Odniosłem takie wrażenie, jak gdybym czubkiem palca dotknął liścia falder, który natychmiast się cofnął... i zaraz potem — wrócił.

Mimo to ogarnęło mnie uczucie zawodu. Przy kontaktach z Eetem telepatyczny przekaz zawsze był czysty i bez zakłóceń. Również z Zakathaninem porozumiewałem się bez problemu, kiedy Eet przebywał w pobliżu. Teraz jednak zalał mnie potok słów, wypowiedzianych w niezrozumiałym języku, i myśli, które biegły zbyt szybko, żeby je pochwycić. Wszystko to układało się w jakiś opętający wir, który przyprawiał mnie o mdłości. Musiałem się wycofać i przerwać kontakt.

Żeby porozumieć się z Zilwrichem, potrzebowałem Eeta jako pośrednika. Bez niego mogłem podejmować kolejne bezskuteczne wysiłki, aż w końcu strumień świadomości płynący z umysłu kosmity wprawiłby mnie w stan całkowitego ośpienia. Rozważałem swoją sytuację. Mogłem tu zostać jako więzień Ryzka, całkowicie zdany na jego łaskę, albo znowu spróbować. To pierwsze wyjście zupełnie mnie nie pociągało.

Ostrożnie, jak człowiek szukający bezpiecznej ścieżki na zdradliwym trzęsawisku, wysłałem telepatyczny przekaz. Jednak tym razem dokładnie przemyślałem treść komunikatu

i uparcie przekazywałem wiadomość, nie zwracając uwagi na natłok informacji płynących z umysłu kosmity. Nie rozmawiałem z nim tak, jak zazwyczaj rozmawiałem z Eetem. Po prostu myślałem o tym, co moim zdaniem powinien wiedzieć, licząc, że Zilwrich pozbiera i odczyta te myśli. Bałem się tylko, czy wolno przekazywana wiadomość nie będzie dla niego równie niezrozumiała, jak dla mnie jego błyskawiczne komunikaty.

Czterokrotnie powtórzyłem swój apel i zamilkłem. Nie mógłbym znieść tego ani chwili dłużej. Ból całego ciała, spowodowany obrażeniami, był niczym w porównaniu z cierpieniem, jakie wywoływał mój przeciążony mózg. Straciłem kontakt z Zilwrichem i niemal natychmiast zemdlałem, podobnie jak wtedy, kiedy weszliśmy w nadprzestrzeń.

Czułem się tak, jak gdyby raz po raz kłuła mnie niewidzialna igła. Wzdrygałem się pod wpływem bólu, a ukłucia stawały się coraz częstsze i bardziej natarczywe. Chciałem pozostać w bezpiecznej nicości. Jeszcze jedno ukłucie... wezwanie, na które nie miałem ochoty odpowiadać, powtórzyło się.

— Eet? — zapytałem. Ale nie był to Eet... nie...

— Czekaj.

Na co, na kogo? Nie obchodziło mnie to. Czy rozmawiałem z Eetem? Nie, on już nie żył, a ja też miałem wkrótce umrzeć. Śmierć jest obojętnością — stanem, w którym nie trzeba o nic dbać, nie trzeba myśleć i czuć... Tego właśnie chciałem. Życie tylko niepotrzebnie kaleczy umysł i ciało. Eet był martwy i ja byłem martwy... albo raczej byłbym martwy, gdyby przestały mnie kłuć te niewidoczne igły.

— Obudź się!

Obudzić się? Z początku nie zrozumiałem, o co chodzi. Zresztą i tak nie miało to żadnego znaczenia. Nic nie miało znaczenia...

— Obudź się!

Okrzyk odbił się echem w moim mózgu. Czułem ból, który przychodził z zewnątrz. Kręciłem głową, jak gdybym chciał wyrzucić z siebie ten natrętny głos.

— Musisz się obudzić! — krzyk powtórzył się i tym razem ból był tak silny, że wyrwał mnie ze stanu otępienia, w jakim się znajdowałem. Jęczałem w ciemnościach, prosząc, aby pozostawiono mnie w spokoju.

— Musisz się obudzić!

Pulsujący ból wewnątrz czaszki. Teraz słyszałem już własne żalosne błagania, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Jednak razem z bólem przyszła świadomość, i nie mogłem już osunąć się z powrotem w niebyt.

— Obudź się... Zatrzymaj...

Co miałem zatrzymać? Swoją głowę, którą cały czas bezwiednie kręciłem? Nie było tu nic innego, co mógłbym zatrzymać.

A potem wyczułem coś innego. Nie słowa, rozbrzmiewające echem w mojej udreżonej głowie, ale czyjaś pomoc i wsparcie. Opokę, dzięki której udało mi się zebrać myśli. Po

chwili leżałem z szeroko otwartymi oczyma, gapiąc się w ciemność. Przeszedłem wewnętrzną przemianę. Byłem teraz kimś zupełnie innym, kimś, kto tak różnił się od dawnego Murdoca, jak iluzje stworzone przez kamień nicości różniły się od żywych ludzi. Wiedziałem jednak, że ten stan nie potrwa długo i muszę dobrze wykorzystać dany mi czas.

Rozdział piętnasty

Z trudem podniosłem się na nogi, zdrowym ramieniem przyciskając Eeta do piersi. Druga ręka wciąż zwisała mi bezwładnie wzdłuż boku. Byłem gotów do działania, ale nie wiedziałem, gdzie mam pójść i z kim — albo z czym — walczyć. Uświadomiłem sobie, że nadal bezradnie tkwię w mrocznej klitce i to nieomal wprawiło mnie z powrotem w stan otępienia.

— Czekaj... Bądź gotów... — w tej wiadomości dawało się wyczuć napięcie, jak gdyby ten, który mi ją przekazał, podejmował właśnie jakiś ogromny wysiłek.

Czekałem więc, ale jak długo miało to trwać? W panujących wokół ciemnościach czas wydawał się wlec w żółtym tempie.

Nagle usłyszałem dźwięk — słaby zgrzyt, a zaraz potem serce skoczyło mi gwałtownie z radości, bo przekonałem się, że z moimi oczami wszystko w porządku. Z lewej strony dostrzegłem smugę światła i natychmiast ruszyłem w tym kierunku. Wkrótce świetlna smuga poszerzyła się i dostrzegłem szczelinę, przez którą udało mi się przecisnąć. Oślepiiony jaskrawym światłem, musiałem zmrużyć oczy.

Wszedłem do szybu, biegnącego przez całą długość statku i osunąłem się na ścianę. Byłem zbyt wyczerpany, żeby poszukać wzrokiem swego wybawcy. Po chwili jednak, nie rezygnując z oparcia, jakie dawała ściana, rozejrzałem się wokoło.

Zilwrich, którego po raz ostami widziałem leżącego bezwładnie na materacu, teraz opierał się wyprostowanymi rękami o podłogę. Było oczywiste, że przypelził do drzwi mojej celi i że ten wysiłek całkowicie go wyczerpał. Powoli podniósł głowę.

— Jesteś... wolny... reszta... należy do ciebie...

Rzeczywiście byłem wolny, ale zupełnie bezbronny i prawie tak samo zmęczony jak on, chociaż pozostała mi jeszcze resztką energii. Jakimś sposobem udało mi się położyć Eeta na ziemi, objąć Zakathanina zdrowym ramieniem i pół niosąc, pół ciągnąc go po ziemi, dotaszczyć do łóżka, z którego się wyczołgał. Potem potykając się, wróciłem do Eeta i jego również zaniósłem do kabiny. Obchodziłem się z nim troskliwie, choć wiedziałem, że nawet najlepsze traktowanie nie przywróci mu życia.

— Powiedz mi... — tym razem użyłem języka międzygalaktycznego. Byłem zadowolony, że nie muszę już porozumiewać się telepatycznie z zagadkowym kosmitą. — Co się właściwie stało?

— Ryzk — Zilwrich mówił wolno, z widocznym trudem. — Chciał lecieć na Lylestane... odwiedzić mnie... i skarb...

— A przy okazji wydać nas władzom i oskarżyć o korszachty z Bractwem — dokończyłem.

— Spodziewał się... że przywrócą mu uprawnienia pilota. Nie wiedziałem, że wróciłeś stamtąd żywy... dopóki nie nawiązałeś ze mną kontaktu. Powiedział mi, że zginęliście, kiedy weszliśmy w nadprzestrzeń.

Spojrzałem na bezwładne ciało, które trzymałem w ramionach.

— Jeden z nas rzeczywiście zginął.

Mogłem się teraz swobodnie poruszać po statku, ale wciąż miałem niewielkie szansę, żeby cokolwiek zdziałać. Ryzk wiozł nas na Lylestane, gdzie czekała na mnie karząca ręka sprawiedliwości. Nie dość, że wszystkie okoliczności zdawały się potwierdzać moją winę, to jeszcze za pomocą skanera mogli wyciągnąć ze mnie informacje o kamieniu nicości... Kamień nicości!

Eet ukrył go gdzieś w kapsule. O ile wiedziałem, Ryzk nie zdawał sobie z tego sprawy. Miałem nadzieję, że wkrótce kamień znów znajdzie się w moich rękach. Nie byłem pewien, czy potrafiłbym wykorzystać go jako broń, ale nie wątpiłem, że taka możliwość istnieje. Niestety, to Eet znał miejsce ukrycia klejnotu, a Eet już nie żył.

Pomyślałem o misie. Gdybym ją miał, mógłbym odnaleźć zgubę, kierując się światłem emitowanym przez mniejszy kamień.

— Gdzie jest skarb?

— W sejfie.

Spojrzał na mnie przenikliwie, ale natychmiast odpowiedział na pytanie.

Sejf... Jeśli Ryzk zamknął go, przyciskając własny kciuk do czytnika, nie mieliśmy żadnej szansy, odzyskania misy. W takim wypadku skrytka pozostałaby dla nas niedostępna tak długo, dopóki sam nie zechciałby jej otworzyć.

— Nie. — Najwyraźniej Zakathanin potrafił czytać w moich myślach nie gorzej od Eeta, ale w tej chwili nie przejmowałem się tym — Czytnik jest ustawiony na mnie.

— Zgodził się na to?

— Musiał. Co to właściwie jest, ta rzecz, którą chcesz znaleźć; pomocą misy? Jakaś broń?

— Nie wiem, czy można tego użyć jako broni. W każdym razie mieści w sobie zasoby energii przekraczające najśmielsze wyobrażenia. Eet ukrył to w kapsule, tamto naczynie ułatwi mi poszukiwania.

— Pomóż mi... dojść do sejfu.

Nie byłem w dużo lepszej formie od niego, toteż musieliśmy we dwóch wyglądać dość żałośnie i chociaż mieliśmy do przebycia krótki odcinek drogi, pokonanie go kosztowało nas wiele wysiłku. Podtrzymałem Zilwricha, gdy przykładął palec do czytnika i wyciągał z sejfów misę. Kiedy prowadziłem go z powrotem do łóżka, mocno przyciskał naczynie do piersi.

Nie oddał mi go od razu. Najpierw obejrzał je dokładnie ze wszystkich stron i szponiastym palcem wskazał niewielki kamień nicości.

— Tego właśnie szukałeś.

— Szukaliśmy go razem z Eetem i to od dawna. — Nie było sensu dłużej ukrywać prawdy. Być może nie istniała już szansa na odbycie planowanej podróży do nieznanych gwiazd i odnalezienie miejsca, skąd pochodziły kamienie nicości. Jednak klejnot ukryty przez Eeta był teraz najważniejszy i musieliśmy go koniecznie odnaleźć.

— To zapewne jest mapa, która ma was doprowadzić do skarbu, tak?

— Owszem. Chodzi tu o przedmioty znacznie cenniejsze od tego, co znaleźliście w grobowcu.

Najkrócej jak potrafiłem, opowiedziałem mu historię kamieni nicości, kamienia wprawionego w pierścień mojego ojca, klejnotów znalezionych w skrytce i kamyka, który Eet ukrył w kapsule. Powiedziałem też, w jaki sposób używaliśmy kamieni.

— Rozumiem. W takim razie weź to sobie. — Zilwrich podał mi naczynie. — Odszukaj swój ukryty skarb. Odnajdując te przedmioty, stanęliśmy najwyraźniej na progu wielkiego odkrycia. Niestety, jednocześnie zbudziłyśmy groźne demony.

Przycisnąłem misę do piersi, trzymając ją tak, jak wcześniej trzymałem Eeta. Opierając się barkiem o ścianę dla zachowania równowagi, wyszedłem z kabiny Zilwricha. Następnie zszedłem, a raczej stoczyłem się po trapie prowadzącym do śluzy z kapsułą ratunkową. Pokonanie tego krótkiego odcinka drogi wyczerpało mnie niemal całkowicie. Ledwie udało mi się dotrzeć do celu.

Chwilę potem znów byłem w pojeździe, który w niedalekiej przeszłości tak dobrze się nam przysłużył. Z trudem szedłem naprzód, trzymając misę w wyciągniętych rękach i obserwując kamień nicości. Ten ostatni po chwili ożył i zabłysnął jasnym światłem. Wciąż jednak nie wiedziałem, czy klejnot prowadzi mnie we właściwym kierunku, gdyż cały czas świecił tak samo intensywnie. Mimo to musiałem spróbować.

Szybko przemieszczałem się z miejsca na miejsce. Najpierw zajrzałem na rufę, ale kamień nie zmienił barwy. Za to kiedy podszedłem do prawej burty, misa drgnęła i spróbowała wyrwać się z mojego uścisku. Puściłem ją. Dawno temu przebudzony po raz pierwszy kamień nicości pociągnął mnie przez kosmiczną pustkę w stronę wraku starożytnej rakiety, gdzie znajdowały się inne podobne do niego klejnoty. Teraz misa przeleciała przez kajutę i przykleiła się do ściany. Natychmiast skoczyłem w tym kierunku i zacząłem zrywać okładzinę, mając nadzieję, że Eet nie miał czasu na staranne ukrycie skarbu. Po chwili miałem

już połamane paznokcie i palce pokaleczone o chropowaty materiał pokrywający burzę. Zaczęłam się denerwować. Używając tylko jednej, zdrowej ręki, miałem niewielkie szansę.

Mimo to nie przerywałem pracy i w końcu trafiłem na właściwe miejsce. Spory fragment okładziny odpadł od ściany i zobaczyłem duży, błyszczący kamień. Misa gwałtownie ruszyła w jego kierunku i po chwili oba kamienie zetknęły się. Nie próbowałem temu zapobiec. Zaczęłam się wycofywać, trzymając naczynie w ręku.

Kiedy ukląknęłam przy posłaniu Zilwricha i postawiłem misę na podłodze, spojrział na klejnoty, ale podobnie jak ja wydawał się cieszyć z chwilowej bezczynności. Jeśli chodzi o mnie, to oprócz zmęczenia fizycznego odczuwałem jakieś dziwne otępienie umysłowe. Teraz, kiedy już znalazłem drugi kamień, nie miałem pojęcia, w jaki sposób mógłbym go użyć przeciwko Ryzkowi. Wszystko wskazywało na to, że mimo początkowego sukcesu jestem skazany na klęskę.

Eet leżał na skraju posłania Zakathanina. Zilwrich położył na jego głowie jedną ze swych łuskowatych dłoni.

— On nie jest martwy...

Ocknąłem się z letargu.

— Ależ...

— Wciąż tli się w nim iskierka życia, chociaż bardzo wątła.

Nie byłem medykiem, ale nawet gdybym nim był, nie potrafiłbym ocenić, jak poważne obrażenia odniósł mutant. Ciężka mi własna bezradność. Eet miał wkrótce umrzeć, a ja nie mogłem nic na to poradzić...

A jeśli mimo wszystko istniała jakaś szansa?

Tuż obok głowy Eeta znajdowała się misa i dwa połączone klejnoty. Kamień nicości krył w sobie wielką moc. Moc, która umożliwiała zmianę wyglądu, tworzenie iluzji i utrzymywanie ich przez pewien czas. Pewnego razu udało mi się nadać Eetowi — w chwili, gdy się tego wcale nie spodziewał — nową postać. Czy teraz potrafiłbym tchnąć życie w jego ciało?

Dopóki istniała choć słaba iskierka nadziei, musiałem próbować.

Prawą ręką ująłem bezwładną, pozbawioną czucia lewą dłoń i położyłem ją na kamieniach, nie dbając już o to, że mogę się poparzyć. Przynajmniej nie odczułbym żadnego bólu. Zdrową dłoń oparłem na głowie Eeta. Skupiłem się na czekającym mnie zadaniu, tym razem usiłując sobie wyobrazić mojego towarzysza nie tyle w zmienionej postaci, ale właśnie takiego, jakim zazwyczaj był za życia. Tak zaczęła się moja walka. Użyłem w niej umysłu, a także ręki, która do dzisiaj nosi ślady poparzeń. Z całą determinacją, na jaką było mnie stać, stawiałem czoła śmierci — albo czemuś, co dla Eeta i podobnych mu istot oznaczało koniec egzystencji. Dzięki mocy przepływającej przez moje ciało zdołałem sprawić, że iskierka życia, która według Zilwricha ciągle tliła się w ciele mutant, zmieniła się w płomień.

Poświata emanująca z kamieni była tak jaskrawa, że przestałem widzieć kabinę, Zakathanina, a nawet Eeta. Mimo to wciąż uparcie usiłowałem utrzymać w myślach obraz całego i zdrowego towarzysza. Moje oślepienie światłem oczy stały się równie bezużyteczne jak wtedy, kiedy przebywałem w mrocznej celi. Trzymałem się jednak, chociaż jakiś głos wewnętrzny cały czas zachęcał mnie do ucieczki. Nie wiedziałem właściwie, dlaczego toczę tę walkę, ale czułem, że nie wolno mi się poddać. Po chwili siedziałem zupełnie wyczerpany, opierając poparzoną dłoń na kolanie, patrząc w stronę misy i obu kamieni, ukrytych teraz pod kawałkiem tkaniny. Eet nie leżał już nieruchomo jak trup. Przykucnął obok mnie, z łapami skrzyżowanymi na brzuchu, w pozycji świadczącej o całkowitym wyzdrowieniu.

Udało mi się pochwycić strzępy telepatycznej rozmowy między nim a Zakathaninem. Mój zmęczony mózg nie potrafił jednak prawidłowo odbierać tych sygnałów. Były dla mnie jak szept dobiegający z odległego kąta pokoju.

Eet z dawną energią skoczył po pakiet sanitarny, obejrzał moją dłoń i zrobił zastrzyk w bezwładne ramię. Nie zwracałem specjalnej uwagi na to, co robił. Obserwowałem za to Zilwricha, który właśnie zgodził się na jakąś propozycję złożoną mu przez Eeta. Potem mutant wyniósł misę z pokoju — zapewne po to, żeby ją znowu ukryć. Czułem, że ogarnia mnie przemożna senność.

Obudziło mnie uczucie dojmującego głodu. Wciąż znajdowałem się w kabinie Zakathanina. Jeśli Ryzk w tym czasie złożył mu wizytę, to najwyraźniej nie czuł się na siłach przenieść mnie z powrotem do komórki — więzienia. Martwiło mnie, że straciłem tyle czasu na sen. Miałem przecież tyle do zrobienia.

Eet jednym susem wskoczył do kabiny, zupełnie jakby wyczuł, że się obudziłem. W zębach niósł dwie tubki porcji żywnościowych. Widząc je, na chwilę zapomniałem o wszystkim innym. Kiedy jednak wycisnąłem pierwszą prosto do ust, i z przyjemnością skosztowałem pokarmu — który w normalnych okolicznościach nie wydawał mi się szczególnie smaczny — natychmiast zadałem pytanie.

— Ryzk?

— Nie możemy nic zrobić, dopóki nie wyjdziemy z nadprzestrzeni — oświadczył mutant. — A on również jest zajęty. Najwyraźniej ten statek nie został dokładnie przeszukany po tym, jak odebrano go przemytnikom. Ryzk znalazł gdzieś zapas worksu i teraz słodko śni w swojej kabinie.

Works miał w sobie dość mocy, żeby uspić każdego. Czy sny, które wywoływał, były rzeczywiście słodkie, to już inna sprawa. Ten odurzający napój służył jednocześnie jako silny środek halucynogeny. Nie zdziwiło mnie wcale, że Ryzk zdążył przeszukać statek. Z pewnością skłoniła go do tego nuda, doskwierająca wszystkim uczestnikom lotów kosmicznych, zamkniętym w ścianach rakiety podczas długich podróży w nadprzestrzeni. Poza tym pilot mógł wiedzieć, że „Wendwind” był kiedyś statkiem przemytniczym.

— Ktoś mu pomógł — stwierdził Eet. Najwyraźniej był w doskonałej formie. Zazdrościłem mu tego.

— Ty?

— Nie. Nasz czcigodny towarzysz. — Eet wskazał głową na Zakathanina.

— Najwyraźniej Ryzk ma pociąg do butelki — zgodził się Zilwrich.

— W zasadzie nie należy wykorzystywać cudzych słabości. Zdarzają się jednak takie sytuacje, kiedy tego rodzaju odstępstwa od stanu wielkiej łaski są po prostu konieczne. Sądzę, że miałem prawo postąpić, jak postąpiłem. Towarzystwo Ryzka nie jest nam teraz potrzebne.

— Jeśli wyjdziemy z nadprzestrzeni w układzie Lylestane, znajdziemy się na terytorium kontrolowanym przez Patrol — zauważyłem kwaśno.

— Możemy tam wlecieć i od razu zawrócić, zanim tamci zechcą wejść na pokład — odpowiedział Zilwrich. — Muszę złożyć raport o napadzie na nasz obóz, to prawda. Mam jednak również pewne zobowiązania wobec organizatorów ekspedycji. Ta mapa to odkrycie, jakie zdarza się raz na tysiąc lat. Gdyby udało nam się określić położenie zaznaczonej na niej planety, to powinniśmy się tam natychmiast wybrać. Zawiadomienie władz o pirackim rajdzie byłoby w tym przypadku sprawą mniejszej wagi.

— Ale to Ryzk jest pilotem. Nie zgodzi się na wyprawę w nieznane. A jeśli postanowił nas wydać...

— Wyprawa w nieznane... — powtórzył z namysłem Zakathanin.

— Nie byłbym tego taki pewien. Popatrz.

Pokazał mi trójwymiarowy projektor, który — jak wiedziałem — stanowił część wyposażenia kabiny pilota. Nacisnął odpowiedni guzik i na ścianie pojawił się zarys mapy gwiazdnej. Nie będąc astronawigatorem, nie umiałem się nią posłużyć; potrafiłem tylko odczytać pozycję poszczególnych gwiazd i zakodowane współrzędne prowadzących do nich tras nadprzestrzennych.

— To gdzieś na krawędzi martwego sektora — poinformował mnie.

— W samym rogu, trzeci od lewej, to niezamieszkały układ Gwiazdnych Wrót. Sądząc z oznaczeń na planie, po raz pierwszy został zbadany trzysta lat temu, licząc według waszej miary czasu. To stara mapa, jedna z Niebieskich. A teraz popatrz na misę i wyobraź sobie, że wygasłe słońce tego systemu to czerwony karzeł. Potem przekręć misę o dwa stopnie w lewo...

Podniosłem naczynie i powoli obróciłem je, porównując przedstawiony na nim wzór z trójwymiarowym obrazem na ścianie. Co prawda nie uczono mnie czytać takich map, ale od razu zorientowałem się, że Zilwrich ma rację! Opustoszały układ słoneczny, z którego właśnie uciekliśmy, został zaznaczony na misie tuż obok czerwonego karła — wygasłego słońca. W dodatku na ścianie naszkicowano trasę prowadzącą z tego układu do kamienia nicości.

— Brakuje tu współrzędnych punktu wejścia w nadprzestrzeń — zauważyłem. — Będziemy musieli szukać na chybił trafił, a w tamtych stronach nawet wyszkolony zwiadowca miałby niewielkie szanse przeżycia.

— Użyj tego. — Najwyraźniej Eet musiał przetrząsnąć cały statek w poszukiwaniu potrzebnych nam przedmiotów, gdyż Zakathanin podał mi moje własne soczewki jubilerskie.

Obejrzałem wyryte w metalu konstelacje przez szkło powiększające i zauważyłem mikroskopijne nacięcia. Nie miałem jednak pojęcia, co oznaczają.

— To pewnie ich kod wejścia w nadprzestrzeń — ciągnął dalej Zakathanin.

— Dla nas jest zupełnie bezużyteczny.

— Nie byłbym tego taki pewien. Mamy współrzędne martwego systemu słonecznego. Dzięki temu moglibyśmy ustalić...

— Potrafiłbyś to zrobić? — Oczywiście, jako archeolog na co dzień miał do czynienia z tego typu zagadkami. Humor odrobinę mi się poprawił. Teraz, kiedy byłem już syty i mogłem swobodnie poruszać chorą ręką, zacząłem powoli odzyskiwać wiarę w siebie, a także w pomysłowość moich towarzyszy.

Postawiłem misę na podłodze dnem do góry, tak aby gwiazdna mapa była lepiej widoczna. Eet przykucnął obok, podniósł do oczu soczewki i trzymając je w swoich łapach, zbliżył twarz do naczynia, jak gdyby badał węchem przedstawione na nim układy słoneczne.

— To całkiem możliwe. — Jego myśl była jasna i czysta. Był przy tym tak pewny siebie, jak gdyby na drodze do celu, który chcieliśmy osiągnąć nie piętrzyły się liczne przeszkody. — Wrócimy do martwego układu, odwracając taśmę, na której Ryzk zapisał kurs...

— I wpakujemy się prosto w gniazdo os — zauważyłem. — Ale mów dalej. To też pewnie przewidziałeś. No więc co zrobimy potem... Oczywiście zakładając, że obecny tu czcigodny Ojciec — użyłem tytułu oficjalnie przysługującego Zilwrichowi — zdoła w ogóle odczytać ten kod.

Eet nie zerwał kontaktu telepatycznego, jak miał zwyczaj robić w takich przypadkach. Miałem jednak wrażenie, że chyba niezupełnie wie, co dalej począć. Nigdy nie zdarzyło mi się wyczuć cienia strachu w jego stwierdzeniach, co najwyżej świadomość nadchodzącego niebezpieczeństwa. Ale teraz wydało mi się, że do jego myśli wkradło się niezdecydowanie.

Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł.

— Ty potrafisz je odczytać! — Nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak oskarżenie, ale do mojego głosu mimowolnie wkradł się oskarżycielski ton.

Obrócił osadzoną na zbyt długiej szyi głowę i spojrzał na mnie.

— Stare nawyki i wspomnienia nie odchodzą tak łatwo — odpowiedział niejasno, co mu się niekiedy zdarzało. Obracał w łapach soczewki, najwyraźniej starając się odwlec chwilę podjęcia ostatecznej decyzji. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

Udało mi się przechwycić strzępy telepatycznej rozmowy między nim a Zilwrichem. Żałowałem, że nie mogę wziąć w niej udziału. Wydawało mi się jednak, że spierają się o to, co przed chwilą powiedziałem.

— No więc — Eet znowu zwrócił się do mnie. — Nie znam tego kodu. Ale przypomina on inne rodzaje szyfrów, z którymi miałem do czynienia, więc mam większe szansę odczytania go niż którykolwiek z was.

W jego głosie brzmiała taka pewność, że nie próbowałem dociekać, skąd Eet zna kody podobne do używanych tysiące lat temu przez Poprzedników. Po raz kolejny zadałem sobie pytanie; kim — lub też czym — był Eet?

Nie powiedział nic więcej, ale miałem wrażenie, że nie ma ochoty głowić się nad kodem i że z jakichś osobistych powodów zaistniała sytuacja bardzo mu nie odpowiada.

Najwyraźniej teraz zamierzał wykorzystać mnie jako pomocnika. Siedząc w kabinie pilota, czekałem, aż wyda mi instrukcje dotyczące zmiany kursu, wyznaczonego wcześniej przez Ryzka. Zaraz po wejściu w układ Lylestane mieliśmy zawrócić i lecieć w stronę Gwiazdnych Wrót.

Ryzk do tej pory się nie pojawił. Najwyraźniej napój przemytników działał bardzo skutecznie. Nie miałem pojęcia, co by się stało, gdybyśmy wyszli z nadprzestrzeni bez pilota za sterami. Być może czekałoby nas bezcelowe dryfowanie po układzie Lylestane, dopóki nie staranowałby nas jakiś przelatujący statek albo dopóki statek Patrolu nie wzięłby nas na hol jako wrak zagrażający kosmicznej żegludze.

Wprowadziłem do komputera pokładowego dane przekazane mi przez Eeta i statek wszedł na nowy kurs, po raz kolejny opuszczając układ Lylestane. Chwilę potem znaleźliśmy się z powrotem w nadprzestrzeni. Teraz mieliśmy mnóstwo czasu, żeby zastanowić się, jak uniknąć licznych niebezpieczeństw czyhających na nas w okolicy Gwiazdnych Wrót. Bez wątpienia nasza ucieczka ze skarbem postawiła w stan gotowości wszystkie zabezpieczenia pirackiej twierdzy. Po tym, jak obcy poznali współrzędne położenia kryjówki, korsarze musieli się teraz spodziewać wizyty Patrolu. Poza tym mogli oczekiwać kłopotów ze strony osób, nawet tych związanych z Bractwem Złodziei, które mogą się domagać wyjaśnień, dlaczego zdobycz została tak łatwo wykradziona z miejsca uchodzącego za doskonałą kryjówkę.

Jedyne, co mogliśmy zrobić, to uciec z zagrożonego sektora, zanim zostaniemy wykryci. Nasz nieuzbrojony okręt nie posiadał żadnych zabezpieczeń, które pozwoliłyby nam obronić się przed atakiem Jacksów. Dlatego musieliśmy postąpić tak samo, jak postąpiliśmy w układzie Lylestane — zaraz po wyjściu z nadprzestrzeni wprowadzić do komputera uprzednio wyznaczony kurs i natychmiast znowu uciec w inny wymiar.

Powodzenie tego manewru zależało całkowicie od tego, czy Zilwrichowi i Eetowi uda się ustalić ten kurs. Ponieważ nie mogłem im w tym pomóc, było oczywiste, że powinienem zająć się Ryzkiem. Wyrzeźwił w momencie, kiedy wróciliśmy w nadprzestrzeń; widząc

jego rozpaczliwą walkę z zamkiem w drzwiach, oświadczyłem mu przez interkom, że przejeżdżamy statek. Nie udzieliłem przy tym żadnych dodatkowych wyjaśnień i natychmiast wyłączyłem interkom, tak że jego prośby i żądania nie zostały wysłuchane. Żywnościowe racje i woda docierały do niego regularnie przez kanał zaopatrzeniowy. Zostawiłem go w spokoju, aby mógł trzeźwo zastanowić się nad sytuacją i zrozumieć, jak głupio postąpił w stosunku do prawowitych właścicieli „Wendwinda”.

Resztę czasu spędziłem w małym warsztacie naprawczym. Ulepszałem kusze wykonane przez Ryzka i robiłem zoranowe ostrza do strzał. Nie zamierzałem wybierać się na obcą planetę bez broni, jak mi się to już kiedyś zdarzyło.

Gdyby jakimś cudem udało nam się odnaleźć świat, do którego prowadził nas kamień nicości, stanęlibyśmy twarzą w twarz z nieznanym. Mogła to być planeta, na której istoty mojego gatunku nie byłyby w stanie przeżyć bez skafandra, czy też zamieszkała przez plemię stojące na nieporównanie wyższym niż my stopniu rozwoju, równie wrogo nastawione do obcych, jak dostojnicy z Gwiezdnych Wrót. Co prawda cywilizacja, której dziełem była misa z mapą, nie istniała już od tysiącleci, ale z jej resztek mogły powstać inne kultury. Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, jakie wyzwania mogą nas oczekiwać w takim miejscu. Kiedy sobie to uświadomiłem, przestałem już zwracać uwagę na widoczne defekty wykonywanych przeze mnie strzał.

Pierwsza próba miała nastąpić zaraz po wyjściu z nadprzestrzeni w martwym sektorze. W miarę jak ta chwila zbliżała się coraz bardziej, czułem, że ogarnia mnie coraz większy niepokój. Nie spotykałem się z Eetem i Zilwrichem poza porami posiłków, kiedy przynosiłem im jedzenie. Czasami miałem ochotę wypuścić Ryzka z kabiny i podzielić się z nim swoimi wątpliwościami.

Kiedy jednak nieoczekiwany sygnał alarmowy rozdarł nienaturalną ciszę panującą na statku, Eet znajdował się u mego boku w sterowni. Gdy usiadłem w fotelu pilota, skoczył mi na kolana i zwinął się w kłębek. Mimo to nie chciał nawiązać kontaktu telepatycznego, jak gdyby posiadał jakieś cenne informacje, którymi na razie nie miał zamiaru się ze mną dzielić.

Wyszliśmy z nadprzestrzeni, wcisnąłem odpowiednie guziki, aby ustalić współrzędne naszej obecnej pozycji. Na razie szczęście nam sprzyjało — znajdowaliśmy się niemal dokładnie w miejscu, w którym po raz pierwszy przekroczyliśmy granice martwego sektora.

Mieliśmy jednak bardzo mało czasu na świętowanie tego sukcesu. Nagle bowiem w kabinie rozległ się przeraźliwy dźwięk alarmu. Zostaliśmy nakryci przez promienie zwiadowcze i mogliśmy w każdej chwili oczekiwać nadejścia fali holowniczej. Oparłem ręce na krawędzi pulpitu sterowniczego. Byłem gotów natychmiast wprowadzić do komputera współrzędne podane mi przez Eeta. Nie wiedziałem jednak, czy mutant w ogóle je zna, a jeśli tak, to czy zadziała dostatecznie szybko, zanim zostaniemy schwytni i wydani na pastwę wroga?

Rozdział szesnasty

Eet był już gotów. Podane przez niego współrzędne nic mi nie mówiły, ale moje zadanie i tak ograniczało się do naciśnięcia odpowiednich guzików. Miałem wrażenie, że zbyt wolno poruszam palcami po klawiaturze. Czuję siłę fali holowniczej, otaczającej nasz statek.

Przeszliśmy w nadprzestrzeń. Kiedy jednak minęły zawroty głowy spowodowane przejściem w inny wymiar, uświadomiłem sobie, że przeciwnik wciąż siedzi nam na karku. Zamiast zerwać falę holowniczą, jakimś dziwnym sposobem pociągnęliśmy za sobą obiekt, z którego przyszła! Wieźliśmy ze sobą wroga, gotowego zaatakować nas natychmiast po powrocie w przestrzeń kosmiczną.

Manewrowanie statkiem w nadprzestrzeni jest niemożliwe. Próba zmiany kursu równałaby się usunięciu z komputera poprzednich współrzędnych. Wówczas statek w najlepszym przypadku zgubiłby się w kosmosie, a w najgorszym — wychodząc z nadprzestrzeni — wpadł prosto na rozpalone słońce. Do końca podróży zaplanowanej przez Eeta i Zakathanina nie mogliśmy nic zrobić. Ta sytuacja miała też jedną dobrą stronę — wróg był na razie równie bezsilny jak my. W dodatku nasi przeciwnicy nie byli przygotowani na wejście w nadprzestrzeń i musieli doznać niezłego wstrząsu, chociaż z pewnością mogli dojść do siebie podczas podróży.

— Jern — wrzasnął Ryzk przez interkom. — Jern, co właściwie chcesz zrobić?

Brzmienie głosu pilota wskazywało, że nie tylko ocknął się już z pijackiego zamroczenia, ale jest naprawdę zaniepokojony. Czy do tego stopnia, żeby z nami współpracować? Nie byłem pewien, ale nie ufałem mu.

Podniosłem mikrofon.

— Jesteśmy w nadprzestrzeni. I mamy towarzystwo.

— Złapali nas! — odkrzyknął.

— Przecież powiedziałem, że mamy towarzystwo. Ale oni również niczego nie zdziałają, też są w nadprzestrzeni.

— Dokąd lecimy?

— To ty mi powiedz!

To, że na razie udało nam się uniknąć niebezpieczeństwa, wprawiło mnie w chwilową euforię. Nigdy nie zażywałem narkotyków, ale z pewnością uczucia, których w tej chwili doznawałem, musiały być podobne do doznań doświadczanych przez narkomanów. Zaraz po wyjściu z nadprzestrzeni musieliśmy stawić czoła groźnemu niebezpieczeństwu, ale na razie mieliśmy chwilę wytchnienia i czas na obmyślenie jakiegoś planu działania.

Pytanie, które zadał mi Ryzk, odbiło się echem w moim umyśle. Dokąd lecieliśmy? W stronę planety, która może już nie istniała... a jeśli nawet istniała, to i tak nie wiedziałem, co nas tam czeka.

W tej chwili zapragnąłem nagle być wyznawcą bogów czczonych przez mieszkańców planet. Miałem szczerą ochotę uklęknąć w świątyni — jak robią Alfandi — i targnąwszy za sznurek przyczepiony do wbitego głęboko w ziemię pręta czekać, aż słaby, wibrujący dźwięk dotrze do uszu jednego z Wielkich — o ile istoty nadprzyrodzone mają w ogóle uszy. W ten sposób niektórzy próbowali zwrócić na siebie uwagę bogów i skłonić ich do wysłuchania prośby. W swoich wędrówkach spotykałem wielu wyznawców rozmaitych bóstw i demonów. Bezkrytyczna wiara dawała im poczucie bezpieczeństwa, którego ja — postronny obserwator — nigdy nie doświadczyłem. Nie miałem wątpliwości, że losem Galaktyki kieruje jakaś istota wyższa. Nie potrafiłem jednak nigdy zmusić się do pochylenia głowy przed planetarnym bogiem.

Ze starych taśm dowiedziałem się, że według niektórych dawnych wierzeń istnieje różnica między mózgiem i umysłem. Pierwszy służy ciału i jest z nim związany, podczas gdy drugi może funkcjonować w więcej niż jednym wymiarze. W nim właśnie mieszczą się talenty typu postrzegania pozazmysłowego, nie mające nic wspólnego z mózgiem.

Wróciwszy z kabiny pilota, zastałem Zilwricha siedzącego na posłaniu. Najwyraźniej usiłował potwierdzić prawdziwość starych teorii, o których przed chwilą myślałem. Trzymał oburącz misę. Miał zamknięte oczy, a jego oddech był krótki i urywany. Eet, który jak zwykle poruszał się bardzo szybko i wszedł do kabiny przede mną, natychmiast przyjął taką samą pozycję, opierając swe małe, uzbrojone w pazury łapy na krawędzi naczynia i przymykając powieki. Nawet ja byłem w stanie dostrzec otaczającą moich towarzyszy aurę mocy postrzegania pozazmysłowego.

Nie wiedziałem, co właściwie chcę osiągnąć. Czuję jednak, że moja obecność tutaj jest co najmniej niepożądana. Jednocześnie chwilowa euforia, która ogarnęła mnie po wejściu w nadprzestrzeń, ustąpiła miejsca przygnębieniu. Wrogi statek uwiązany do „Wendwinda” stanowił poważne zagrożenie. Gdybyśmy tylko mogli zaufać Ryzkowi! W końcu chodziło też o jego własną skórę. Współrzędne, które nas tu doprowadziły... wspiałem się po trapie do kabiny pilota. Wróciliśmy do martwego sektora, lecąc kursem wyznaczonym przez Ryzka. Przypuśćmy, że wymazałbym teraz dane z taśmy nawigacyjnej... Pilot byłby wówczas bezradny, zdany całkowicie na informacje zapamiętane przez Eeta i Zakathanina. Zawieszony w obcej pustce, nie mógłby przedsięwziąć żadnych wrogich kroków. Jeśli chodzi o nas, to

rozpaczliwie potrzebowaliśmy jego wiedzy, żeby stawić czoła wrogowi po wyjściu z nadprzestrzeni.

Szybko, żeby się nie rozmyślić, skasowałem taśmę z kursem. Potem poszedłem otworzyć kabinę pilota. Leżał na koi, ale kiedy tylko wszedłem, obrócił głowę i spojrzał na mnie. Nie wziętem ze sobą kuszy. Przeszedłem dość gruntowne szkolenie w walce wręcz, toteż siły były co najmniej wyrównane, gdyż on również nie miał żadnej broni.

— Co się z nami dzieje? — zapytał już bez cienia gniewu i niepokoju, który pobrzmiewał w jego głosie, kiedy zwracał się do nas przez interkom.

— Zmierzamy w stronę pewnego miejsca, wskazanego na mapie Poprzedników.

— Kto nas schwytał?

— Przypuszczalnie ktoś z Gwiazdnych Wrót.

— Lecieli za nami! — Był autentycznie zdumiony.

Potrząsnąłem głową.

— Nie. Wróciliśmy do Gwiazdnych Wrót, gdyż nie mieliśmy innego punktu odniesienia na mapie.

Odwrócił głowę i utkwiał wzrok w suficie.

— Co się stanie, kiedy wyjdziemy z nadprzestrzeni?

— Przy odrobinie szczęścia, znajdziemy się w układzie, którego nie ma na żadnych mapach. Ale... czy możliwe jest zerwanie fali holowniczej po wyjściu z nadprzestrzeni?

Nie odpowiedział od razu. Między jego brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka. W końcu odpowiedział pytaniem na pytanie:

— Czego właściwie szukasz, Jern?

— Planety, na której być może znajduje się mnóstwo skarbów po Poprzednikach. Jak myślisz, ile to warte?

— Po co pytasz? Każdy wie, że wartości takiego znaleziska nie szacuje się w kredytach. Czy Zilwrich stoi za tym wszystkim? A może to twoja własna rozgrywka?

— Jedno i drugie. Zilwrich i Eet wspólnie wyznaczyli współrzędne.

Skrzywił się.

— No to będziemy mieli twarde lądowanie. Pewnie usmażymy się w słońcu albo jeszcze gorzej.

— Zakładając jednak, że nam się uda... w jaki sposób pozbedziemy się tamtych? — poruszyłem problem, na którego rozwiązanie mieliśmy przynajmniej pewien wpływ.

Usiadł na koi. Poczulem silny, słodko-mdlący zapach trunku, lecz pilot sprawiał wrażenie całkiem trzeźwego. Oparł łokcie na kolanach, zakrył twarz dłońmi i westchnął.

— No, dobra. W nadprzestrzeni nie możemy zmienić kursu, co oznacza, że nie jesteśmy też w stanie się od nich uwolnić. Możemy za to wrócić w normalny wymiar, lecąc z ogromną prędkością. To oznacza utratę przytomności i niewykluczone, że wyjdziemy z tego odrobinę

poobijani. Ale to jedyny sposób na zerwanie fali, jaki znam. Będziemy musieli założyć specjalne siatki ochronne, żeby w ogóle przeżyć wstrząs.

— A jeśli uda nam się zerwać połączenie?

— Jeśli pociągniemy ich za sobą, to ponieważ tylko nasz statek idzie wyznaczonym kursem — tylko on wyjdzie z nadprzestrzeni we właściwym punkcie. Tamci będą musieli ryzykować. Może trafią do tego układu, co my, a może gdzie indziej. Nie wiem. Całe to przedsięwzięcie byłoby dość ryzykowne. Mielibyśmy pewnie jedną szansę na dziesięć tysięcy. — Z brzmienia jego głosu wywnioskowałem, że nawet te rokowania należy uznać za zbyt optymistyczne.

— Potrafiłbyś to zrobić?

— Chyba nie mamy wyboru. Tak, mogę zrobić siatki ochronne, jeśli dasz mi trochę czasu. Jakie mamy szansę, jeśli nie zdobmy się uwolnić?

— Jesteśmy bezbronni. Przejmą statek bez jednego wystrzału. Nie zależy im na nas, tylko na ładunku, który wieziemy.

Ponownie westchnął.

— Tak właśnie myślałem. Jesteście skończonymi głupcami, a ja muszę wam pomagać.

Najwyraźniej nie był jeszcze do końca przekonany, kiedy wszedł do kabiny pilota i przepchnąwszy się obok mnie, spojrzął na tarczę umieszczoną nad urządzeniem nawigacyjnym.

— Skasowane! — warknął przez zaciśnięte zęby, odwracając się w moim kierunku.

Przygotowałem się do odparcia ataku. Po krótkiej chwili zauważyłem jednak, że wyraz jego twarzy zmienia się i zrozumiałem, że jeśli żywi wobec mnie jakieś wrogie zamiary, to postanowił odłożyć ich spełnienie na bardziej sprzyjający moment. W tej chwili trzeba było przede wszystkim zająć się statkiem i uciec przed naszym niewidzialnym towarzyszem.

Eet i Zilwrich nie wtajemniczali mnie w swoje poczynania, kiedy korzystając z mapy na misie, ustalali trasę podróży. Ryzk również nie konsultował się ze mną, dokonując jakichś przeróbek w okablowaniu. Pozwolił mi jednak asystować sobie przy pracy, choć byłem bardzo niezdarnym pomocnikiem. Podawałem mu narzędzia i przytrzymywałem niektóre urządzenia, nad którymi pracował.

— Wszystko trzeba będzie przywrócić do poprzedniego stanu, zanim wyruszymy w drogę powrotną — powiedział. — To, co zrobiłem, to wyłącznie prowizorka. Nie mam nawet pewności, czy zadziała. Potrzebujemy też mocniejszych siatek ochronnych...

Tym również się zajęliśmy. Dwa wstrząsoodporne fotele w kokpicie wyłożyliśmy pościelą ściągniętą z koi w obu kajutach. Potem zeszliśmy do pomieszczenia, gdzie pracowali Zilwrich i Eet, żeby zabezpieczyć Zakathanina przed ewentualnymi urazami. Spodziewałem się, że Eet jak zwykle usiądzie razem ze mną.

Zapukałem lekko w drzwi, za którymi pozostawiłem towarzyszy pochylonych nad misą.

— Wejść! — zawołał Zilwrich.

Spoczywał teraz na plecach i sprawiał wrażenie całkiem wyczerpanego. Nie zauważyłem nigdzie misy. Eet również leżał, odpoczywając, ale kiedy weszliśmy, podniósł głowę i obrzucił nas uważnym spojrzeniem.

Powiedziałem im, co zamierzamy zrobić.

— Czy to w ogóle możliwe?

Ryzk ponownie wzruszył ramionami.

— Głowy bym za to nie dał, jeśli o to wam chodzi. Teoretycznie istnieje jakaś szansa, ale dopóki nie spróbujemy, nie możemy mieć pewności. Jednak, jeśli mówicie prawdę, to nie widzę innego wyjścia.

— Doskonale — zgodził się Zakathanin. Czekałem na jakiś komentarz ze strony Eeta, ale mutant wciąż milczał. Wzbudziło to we mnie niepokój. Nie próbowałem jednak nalegać, żeby wyraził swoją opinię, w obawie, że potwierdzi moje najgorsze przewidywania. Nie jest dobrze wysłuchiwać czyichś ponurych prognoz, kiedy sytuacja i tak wygląda kiepsko.

Za to Zilwrich udzielił nam kilku wskazówek dotyczących sposobu zabezpieczenia go przed wstrząsem. Wykonaliśmy jego polecenia najlepiej, jak umieliśmy. Kiedy umocowaliśmy prowizoryczną siatkę ochronną, Ryzk wstał i przeciągnął się.

— Obejmę wachtę w kabinie pilota — rzucił, jak gdyby nie spodziewał się żadnego oporu z naszej strony. Zauważyłem, że Zakathanin mrugnął do mnie, jak gdyby spodziewał się, że zaprotestuję. Niestety jednak, żaden z nas nie znał się na pilotażu i nie dorównywał Ryzkowi doświadczeniem. W dodatku teraz, kiedy wykasowałem współrzędne, chyba nie mógł nam wyrządzić żadnej szkody.

Nie zyskałby nic, poddając się władcom Gwiezdných Wrót. Byłem pewien, że tamci nie bawiliby się w żadne pertraktacje. Kiedy wyszedł, telepatycznie poinformowałem Eeta:

— Wymazałem kurs z komputera pokładowego. Nie może wysłać nas z powrotem.

— Podstawowy środek ostrożności — zgodził się Eet. — Jeśli nie zginiemy, wychodząc z nadprzestrzeni i jego przypuszczenia okażą się słuszne, mamy pewne szanse.

— Nie podchodzisz do tego zbyt optymistycznie — zauważyłem. Sam również czułem wewnętrzny niepokój.

— Maszyny są tylko maszynami i nie można sprawić, żeby wykonywały zadania zupełnie różne od tych, do których są przeznaczone. W przeciwnym razie po prostu przestaną działać. Tak czy inaczej, nie mamy wyboru. Poza tym są jeszcze inne kwestie, które musimy przedyskutować po powrocie z nadprzestrzeni.

— Na przykład jakie? — W tej chwili jego enigmatyczny sposób mówienia był zupełnie nie na miejscu. Chciałem wiedzieć, co nas czeka, żeby móc odpowiednio zareagować.

— Spróbowaliśmy psychometrii — wtrącił się Zakathanin — nigdy nie przejawiałem szczególnych uzdolnień w tym kierunku, ale wspólnymi siłami...

Termin, którego użył, nic mi nie mówił i archeolog musiał to zauważyć. Wy tłumaczył więc, o co chodzi. Byłem zadowolony, że to właśnie on, a nie Eet udzielił mi wyjaśnień, gdyż zwracając się do mnie, Zilwrich nigdy nie używał protekcyjnego tonu.

— Koncentrujesz się na jakimś przedmiocie i jeśli posiadasz odpowiednie zdolności, to możesz uzyskać informacje na temat jego byłych właścicieli. Panuje powszechne przekonanie, że najlepiej nadają się do tego celu rzeczy, z których użyciem wiązały się jakieś silne emocje, na przykład miecz służący komuś w bitwie.

— A misa?

— Niestety, w tym przypadku nałożyły się na siebie uczucia kilku różnych właścicieli nie należących nawet do tej samej rasy. Kilku z nich znacznie odbiegało od tego, co dzisiaj uważamy za normę. Otrzymaliśmy więc pokaźny bagaż różnych emocji, niekiedy bardzo silnych, wręcz gwałtownych. To wszystko wymieszało się ze sobą. Ogólnie rzecz biorąc, wrażenie jest takie, jak gdyby się próbowało zobaczyć coś ukrytego pod warstwą kilku poszarpanych i podziurawionych skór narzuconych jedna na drugą.

— Już wcześniej podejrzewaliśmy, że misa może być znacznie starsza od grobowca, w którym ją znaleziono i że początkowo należała do istot odmiennych od tych, które pochowano w grobowcu. Nasze przypuszczenia okazały się słuszne. Z wielkim trudem udało nam się zidentyfikować cztery różne warstwy pozostawione przez poprzednich właścicieli.

— A kamień nicości?

— Przypuszczalnie to właśnie on jest źródłem naszych kłopotów. Siła, która go ożywia, zapewne zakłóca odbiór. Ale powiem ci jedno — to właśnie mapa była najważniejsza dla pierwotnych właścicieli, chociaż wszyscy następnici interesowali się głównie samym naczyniem.

— Założmy, że uda nam się znaleźć miejsce pochodzenia kamieni — powiedziałem. — Co wtedy? Wzbudzimy powszechne zainteresowanie i nie ma sposobu, żeby temu zapobiec. Każdy człowiek posiadający monopol na takie odkrycie musi wystrzegać się wszystkich pozostałych.

— Słuszna uwaga — zgodził się Zilwrich. — Jest nas czterech. Ze względu na charakter znaleziska, nie może ono długo pozostać tajemnicą. Chcąc nie chcąc będziesz musiał — albo raczej będziemy musieli — skontaktować się z władzami. W przeciwnym razie czeka nas los zbiegów.

— Możemy wybrać władze, z którymi będziemy prowadzić rokowania — odpowiedziałem. W mojej głowie zaczął się kształtować pewien plan.

— To sensowny pomysł i chyba najlepszy w tej sytuacji. — Telepatyczny przekaz Eeta zniemacka wdarł się w mój tok myślenia i najprostszą drogą poprowadził do ostatecznego wniosku.

— A gdyby chodziło o władze zakathańskie... — powiedziałem głośno.

Zilwrich popatrzył na mnie.

— Wyświadczylibyście nam ogromny zaszczyt.

— Nie mogliśmy wybrać lepiej — odpowiedziałem z lekkim zażenowaniem. Musiałem przyznać się przed nim do tego, że bardziej ufam kosmitom niż własnym współplemieńcom. Jednak taka właśnie była prawda. Wołałbym powierzyć tajemnicę naszego znaleziska (o ile w ogóle miałyby jakąś wartość) któremukolwiek spośród członków ich Rady niż jednemu z naszych terrańskich przywódców. Zakathanie nie byli twórcami imperiów, nie zakładali też kolonii w kosmosie. Odgrywali rolę obserwatorów, historyków, czasami — nauczycieli. Nigdy jednak nie ulegali pasjom, namiętnościom czy też fanatyzmowi cechującym zarówno łotrów, jak i bohaterów z mojej rasy.

— A jeśli się okaże, że to sekret z rodzaju tych, które nie powinny zostać ujawnione innym? — zapytał Zilwrich.

— Mimo wszystko ja to akceptuję — powiedziałem szybko. Wiedziałem jednak, że nie mogę wypowiadać się w imieniu Eeta, ani tym bardziej Ryzka, którego również należało brać pod uwagę.

— Zobaczmy, co będzie — powiedział Eet z widoczną rezerwą. Nie po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, czy upór, z jakim Eet nalegał na kontynuowanie poszukiwań nie ma jakiejś tajemniczej, nie znanej mi przyczyny. Poza tym nie byłem pewien, czy ja sam potrafiłbym rozstać się z kamieniami, znając ich możliwości i wiedząc, co mógłbym dzięki nim osiągnąć. A nuż Zakathanie zaproponują, żebyśmy zapomnieli o wszystkim, czego dowiedzieliśmy się na temat tych klejnotów? Czy potrafiłbym na to przystać bez żalu?

Chwilę później leżałem w swojej kabinie pogrążony w rozmyślaniach. Eet spoczywający tuż obok nie próbował mi przeszkadzać.

W końcu stwierdziłem, że w tej chwili nie rozwiążę naszego dylematu, gdyż na razie było tu zbyt wiele znaków zapytania. Postanowiłem więc na chwilę uciec od dręczącej mnie kwestii i zapytałem Eeta:

— Jeśli chodzi o przeszłość tego naczynia, to czego właściwie udało wam się dowiedzieć?

— Tak jak powiedział Zilwrich, misa miała kilku właścicieli i ślady po nich wymieszały się. To, co zdołaliśmy zebrać, jest bardzo niespójne, chaotyczne i przez to niemożliwe do prawidłowego odczytania. Te informacje nie dotyczyły istot, które zbudowały grobowiec. One przysły znacznie później, znalazły ten skarb i umieściły w grobowcu jakiegoś władcy, aby go w ten sposób uhonorować.

— A miejsce pochodzenia kamieni... — przerwał i czytając jego myśli zrozumiałem, że jest zakłopotany — niewiele o nim wiadomo. Tyle tylko, że zmierzamy we właściwym kierunku, o ile dobrze odczytaliśmy współrzędne. Kamień został umieszczony na mapie po to, żeby pełnił rolę drogowskazu dla kogoś, komu bardzo na nim zależało. Nie wydaje mi się jednak, żeby klejnoty pochodziły z rodzimej planety tego kogoś. W każdym razie w głowie

mi się kręci od tych spekulacji i nie mam ochoty dłużej o tym myśleć! — Zaraz potem Eet zerwał kontakt telepatyczny, zwinął się w kłębek i zasnął. Poszedłem w jego ślady.

Niedługo potem rozległ się sygnał ostrzegawczy świadczący o tym, że nasza podróż w nadprzestrzeni dobiega końca. Kiedy przygotowywaliśmy zabezpieczenia dla Zilwricha, Zakathanin zapewnił nas, że sam poradzi sobie z ich obsługą. Dlatego od razu popędziłem do kabiny pilota. Towarzyszył mi Eet. Chwilę potem szczelnie owinięty ochronną siatką obserwowałem Ryzka, który siedział za pulpitem sterowniczym ukryty w podobnym kokonie. Próbowałem się rozluźnić przed czekającą nas ostateczną próbą.

Wstrząs był potężny, chyba nawet silniejszy od tego, który nastąpił w momencie, gdy przybijaliśmy do „Wendwinda” w kapsule ratunkowej. Na szczęście tym razem dzięki doświadczeniu Ryzka i zastosowanym przez niego zabezpieczeniom znieśliśmy to znacznie lepiej.

Kiedy tylko odzyskałem przytomność, spojrzałem na ekran radaru. Zobaczyłem na nim kilka obiektów, ale były to wyłącznie gwiazdy. Statek zniknął.

— Udało się! — Ryzk prawie krzyczał. W tym samym czasie Eet na chwiejnych nogach przeszedł blisko obok mojego wciąż na wpół sparaliżowanego ciała. Zobaczyłem, że przyciska łapą do piersi kamień nicości.

Klejnot lśnił tak jak wtedy, kiedy zmuszaliśmy go do działania. Jednak tym razem nie potęgował naszych własnych mocy. Świecił coraz jaśniej, a jego blask raził oczy. Eet krzyknął z bólu i upuścił kamień. Próbował podnieść go z podłogi, ale było oczywiste, że nie może przysunąć łapy do ognistej bryły. Ja sam już nawet nie byłem w stanie patrzeć w jej kierunku. Zastanawiałem się, czy żar wytwarzany przez kamień za chwilę nie przepali pokładu.

— Zakryj to! — usłyszałem ostrzegawczy krzyk Eeta. — Myśl o ciemności... o czerni!

Potężny prąd płynący z jego umysłu porwał ze sobą moje własne myśli. Wykorzystując wszystkie swoje zdolności, starałem się wypełnić polecenie mutanta. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, zdołaliśmy zapanować nad przepływem energii w kamieniu i oślepiające światło zgasło. Mimo to kamień nie przybrał z powrotem zwykłego, matowego odcienia; wciąż kryła się w nim iskierka światła, dzięki której wyglądał tak, że żaden inny klejnot nie mógłby się z nim równać. W dodatku leżał w małym wgłębieniu, które powstało na skutek stopienia się podłogi.

— Szczypce!

Nie byłem pewien, czy to dobry pomysł, gdyż żar bijący z klejnotu mógł zapewne stopić każdy metal. Jednak nie mogliśmy go podnieść gołymi rękami, a jednocześnie baliśmy się zostawić go na podłodze, żeby nie przepalił statku na wylot.

Ryzk gapił się na kamień nicości nic nie rozumiejącym wzrokiem. Wyplątałem się ze swojego kokonu i sięgnąłem po pudełko z narzędziami. Ze szczypcami w ręku ukląknęłem obok rozżarzonej bryłki. Miałem nadzieję, że nie jest zaklinowana.

Na szczęście podniosłem kamień bez trudu, choć wciąż czułem ciepło i widziałem dziurę w podłodze. Klejnot służył nam już za przewodnika na stałym lądzie, w kosmosie i w starożytnym wraku. Czy teraz przywiódł nas do ostatecznego celu podróży — do miejsca, z którego pochodził?

Nie potrzebowaliśmy tego, gdyż mapa na misie wskazała nam już położenie planety — czwartej od słońca w martwym sektorze. O dziwo, kamień zbladł, kiedy umieściliśmy go w naczyniu, jak gdyby misa miała nad nim jakąś władzę.

Cały czas prowadziliśmy obserwację, ale radar nie wykazał śladu obecności obcego statku. Ryzk wyznaczył kurs na czwartą planetę.

Spodziewałem się, że upływ czasu spowodował jakieś zmiany w wyglądzie gwiazdy, że zamieniła się w supernową, albo — wskutek implozji — w czerwonego karła. Nie byłbym też wcale zaskoczony, gdyby całkiem zgasła. Jednak moje przypuszczenia nie potwierdziły się. Słońce martwego układu było dokładnie takie, jak wskazywała mapa.

Weszliśmy na orbitę planetarną i wysłaliśmy naprzód czujniki, które poinformowały nas, że ciało niebieskie, w stronę którego zmierzamy, należy do typu Arth. Mimo to zachowywaliśmy daleko posuniętą ostrożność, ani na chwilę nie wyłączając urządzeń pomiarowych.

Widok, który ukazał się na ekranach, był oszałamiający. Wiedziałem, że Terra, z której moja rasa rozpoczęła podbój starożytnej galaktyki, była w dniach poprzedzających wielką emigrację straszliwie przeludniona. Miasta pięły się wysoko ku niebu albo na odwrót — znikały w czeluściach ziemi, przecinając je siecią korytarzy. Nawet morza zostały częściowo zabudowane. Słyszałem o tym, ale nigdy nie oglądałem tego na własne oczy. Chociaż byłem z pochodzenia Terraninem, Terra — położona w odległym krańcu galaktyki — wydawała mi się raczej legendą niż istniejącym w rzeczywistości miejscem. Owszem, oglądałem stare obrazy trójwymiarowe i słuchałem archaicznych, wielokrotnie kopiowanych taśm. Jednak większość tych materiałów była dla mnie niezrozumiała. Od dawna toczono długie dysputy na temat tego, jak naprawdę wyglądała Terra, zanim jej mieszkańcy licznie wyruszyli na gwiazdne szlaki.

To, co miałem teraz przed oczami, bardzo przypominało oglądane niegdyś hologramy. Powierzchnia planety była tak gęsto zabudowana, że nigdzie nie było widać ani śladu roślinności, ani jednego skrawka pustej przestrzeni. Wszędzie wyrastały jakieś budynki, a na morzach można było dostrzec platformy o kształtach tak regularnych, że w żadnym wypadku nie mogły to być wyspy. Widok piętrzących się, napierających na siebie budowli wywoływał nieprzyjemne uczucie klaustrofobii.

Krążąc po orbicie, weszliśmy w strefę, gdzie panowała akurat noc. Jednak w ciemnościach pod nami nie rozblęzło ani jedno światło. Jeśli na planecie istniało jakieś życie...

Ale jakim cudem życie miałoby przetrwać w tym miejscu? Z pewnością zostało zduszone, zgniecione, wyparte! Nie potrafiłem sobie wyobrazić żywej istoty, która mogłaby tutaj egzystować.

— Widzę port — powiedział nagle Ryzk, ale widocznie miał bystrzejszy wzrok ode mnie, albo zdążyliśmy już minąć wskazane miejsce, bo nie zauważyłem żadnej przerwy w piekielnym labiryncie budowli.

— Możesz tu wylądować? — zapytałem. Mniejsza o kamień, mniejsza nawet o skarb — musiałem przynajmniej stopą dotknąć powierzchni tej planety!

— Jeśli użyję dysz hamulcowych... po podwójnym orbitowaniu... tak — powiedział pilot — Brakuje tu fal wyznaczających farwater. Port jest pewnie opuszczony.

Nie wyglądał na zachwyconego. Pomyślałem, że podobnie jak ja obawia się tego, co mogło czekać na dole.

Zabrał się za wyznaczanie kursu. Potem ze wzrokiem utkwionym w ekran wyciągnęliśmy się na fotelach, obserwując coraz wyraźniejsze kontury ogromnego miasta. Mieliśmy wrażenie, że strzeliste wieże wychodzą nam na spotkanie, aby ściągnąć nas do świata, który już dawno pożarły.

Rozdział siedemnasty

Dzięki umiejętnościom Ryzka zdołaliśmy wylądować idealnie równo i statek oparł się na wszystkich trzech statecznikach. Wykorzystując moc dysz hamulcowych, posadził raketę na ziemi w sposób, który przyniósłby chlubę każdemu pilotowi. Nie po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, dlaczego właściwie stał się wygnańcem? Czy zawinił tu wyłącznie jego nałóg? Potem leżeliśmy w siatkach ochronnych, obserwując ekran, podczas gdy promienie zwiadowcze omiatały przestrzeń wokół „Wendwinda”, przekazując do środka informacje o świecie zewnętrznym.

Te raporty wzbudziły we mnie jeszcze większy podziw dla kwalifikacji Ryzka. Udało mu się wśliznąć w wąską szczelinę między ścianami budynków tak ogromnych, że patrząc na nie, prawie nie wierzyłem własnym oczom. Dopiero teraz, kiedy znaleźliśmy się w samym środku tego lasu olbrzymów, mogliśmy dostrzec, że czas poczynił tu znaczne spustoszenia.

Większość gmachów miała kolor szarobrazowy lub błękitnozielony. Obserwując ściany, nigdzie nie zauważyłem szczelin w miejscach, gdzie bloki łączyły się ze sobą. Jednak na kamiennej powierzchni widać było rysy i pęknięcia, które z pewnością nie były ani drzwiami, ani oknami. Nigdzie nie udało nam się zauważyć nawet śladu po nich.

Ryzk odwrócił się, żeby sprawdzić wskaźniki atmosferyczne.

— Typ Arth, warunki sprzyjające — powiedział. Nie zrobił jednak żadnego ruchu, żeby wyplątać się z ochronnej siatki. Poszedłem za jego przykładem.

Zwarte szeregi budynków miały w sobie coś, co sprawiało, że czuliśmy się mali i zastraszeni. Byliśmy niczym robaki niezdolne wydobyć się z prochu i pełzające u stóp olbrzymów, których głowy nikną w chmurach. Na dodatek w powietrzu wciąż wisiała dawna groza i śmierć. Nie było w tym nic z atmosfery zwykłego grobowca, który zazwyczaj jest wyrazem czci oddawanej zmarłemu spoczywającemu w nim przez stulecia. To było miejsce, gdzie powoli niszczało i rozpadało się w proch wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie — ludzie, wiedza, wierzenia.

Nie zauważyłem nigdzie żadnego ruchu, ani jeden ścigacz nie śmignął między wieżami. Miasto było zupełnie pozbawione roślinności. Przypominało martwy las pełen skamieniałych pni. Nie dostrzeżliśmy w nim jednak nic, czego moglibyśmy się obawiać. Mieliśmy tylko

dziwne wrażenie — przynajmniej ja je miałem, a z zachowania Ryzka można było wywnioskować, że czuje podobnie — że jest to miejsce, w którym żywa istota nie ma czego szukać.

— Ruszajmy! — powiedział Eet. Jego drobne ciało stężało. Niecierpliwie kręcił głowę z boku na bok, jak gdyby chciał dokładniej obejrzeć ruchomy obraz na ekranie. Jeśli chodzi o mnie, to widok wydawał mi się wciąż tak samo monotony.

Wyplątałem się z siatki. To samo zrobił Ryzk. Misa z kamieniem nicości stała na podłodze. Eet przycupnął tuż obok, jak gdyby strzegł jej cennej zawartości. Kamień wciąż świecił, choć nie tak intensywnie, jak poprzednio.

Zeszliśmy na dół, do Zilwricha. Zakathanin stał oparty plecami o ścianę. Spojrzał na Eeta i domyśliłem się, że przekazują sobie jakieś informacje. Podparłem kosmitę ramieniem i przy pomocy Ryzka sprowadziłem po trapie na płytę kosmodromu.

Nagle w powietrzu rozległ się niski jęk. Pilot instynktownie pochylił się, obrócił gwałtownie i spojrzał w stronę jednego z wąskich przejść między budynkami. Poza otwartą przestrzenią portu wszędzie panował mrok, przypominający ciemności panujące w leśnych gąszczach. Jęk przeszedł w przenikliwy pisk. Zrozumieliśmy, że to wiatr i opuścił nas strach, który początkowo odczuwaliśmy. Zapewne to szczeliny i pęknięcia w ścianach budynków przyczyniły się do wywołania takiego efektu.

Opuściwszy „Wendwinda”, stwierdziliśmy, że w rzeczywistości ruiny wyglądają jeszcze gorzej niż na ekranie. Nie miałem najmniejszej ochoty prowadzić tu poszukiwań. Przyszło mi do głowy, że jeżeli ktoś odważyłby się oddalić od portu i zapuścić w ten labirynt, mógłby już nigdy nie wrócić do punktu wyjścia. W dodatku nie wiedzieliśmy, dokąd się udać. Sądząc z tego, co widzieliśmy z góry, ogromne miasto pokrywało prawie całą powierzchnię planety, nie wyłączając mórz. Poszukiwania mogły nam zająć całe dni, tygodnie, a może nawet miesiące.

— Nie sądzę! — Eet zabrał ze sobą misę. Teraz podniósł ją do góry i zobaczyliśmy, że oba klejnoty — ten na ścianie naczynia i ten w środku — świecą jasnym światłem. Mutant gwałtownie obrócił głowę w prawo.

— Tam!

Nawet jeśli kierunek był dobry, wskazane miejsce mogło się znajdować wiele mil od portu. Tymczasem Zilwrich nie poradziłby sobie z pokonaniem na piechotę dłuższego dystansu, a ja tym razem nie zamierzałem zostawiać nikogo na statku. Na szczęście mieliśmy ścigacz i gdyby udało się upchnąć dwóch z nas do przedziału bagażowego, moglibyśmy prowadzić poszukiwania z powietrza.

Zostawiłem mutantą z Zilwrichem przy trapie i wróciłem na statek. Zapakowałem do ścigacza kusze i tyle zapasów, ile się dało. Wiedziałem, że ścigacz nie wzniesie się wysoko, gdyż nasza trójka wraz z Eetem stanowiła dla niego zbyt duże obciążenie, jednak nie

mieliśmy innego wyjścia, gdyż kapsuła, poddana ostatnio znacznym przeróbkom, zupełnie nie nadawała się do naszych celów, a nie mieliśmy czasu na kolejny remont.

Położenie słońca nad horyzontem wskazywało, że jest już późne popołudnie, kiedy wreszcie byliśmy gotowi do odlotu. Zaproponowałem, żebyśmy poczekali do rana, ale ku mojemu zdziwieniu Eet i Zakathanin nie zgodzili się na to. Ani na chwilę nie odchodzili od misy i sprawiali wrażenie bardzo pewnych siebie.

Kiedy tylko zapakowaliśmy się do ścigacza, Eet przejął dowodzenie, wyznaczając mi rolę bezwolnego narzędzia. Wznieśliśmy się na wysokość kilku metrów, ostro skręciliśmy w prawo i opuściwszy port, skierowaliśmy ścigacz w mroczny kanał między wieżami.

Ciemności wokół nas gęstniały coraz bardziej, gdyż wysokie budynki całkiem zasłaniały słońce. Po raz kolejny zadałem sobie pytanie, jak ludzie w ogóle mogli tu żyć. W pewnej odległości od portu zobaczyłem nadziemne chodniki łączące ze sobą wyższe piętra budynków. Drogi te krzyżowały się ze sobą, a było ich tyle, że całkowicie odcinały dostęp światła do poziomu, na którym się unosiliśmy. Niektóre z chodników były zniszczone i ich resztki obciążały te niżej położone.

Lecieliśmy z włączonym reflektorem najwolniej, jak się dało, żeby nie wpaść na jedno z takich rumowisk. Jednak Eet cały czas wykazywał dużą pewność siebie, wskazując wśród hałd gruzu właściwy kierunek.

Wkrótce zapadł zmierzch. Coraz bardziej bałem się, że zgubimy drogę i nie będziemy mogli wrócić na otwartą przestrzeń kosmodromu. Nasza trasa wyglądała dosyć monotennie, urozmaicały ją tylko rozrzucone gdzieś tam resztki zniszczonego wiaduktu. Na gładkich ścianach budynków nie widać było ani śladu drzwi.

Nagle w świetle reflektora zauważyliśmy jakieś poruszenie. Trwało tylko chwilę i z początku wydawało mi się, że to rozgorączkowana wyobraźnia płata mi figle. Jednak chwilę później snop światła ponownie schwytał tę istotę na tle jednej ze ścian. Przyparta w ten sposób do muru, obróciła się i spojrzała w naszą stronę, szczerząc oślinione zęby. Trudno było ocenić, czy rzuca nam w ten sposób wyzwanie, czy po prostu się boi.

Spotykałem już dużo dziwnych stworzeń zamieszkujących różne planety, toteż nie zdziwiłby mnie widok istoty znacznie różniącej się wyglądem od człowieka. Jednak w tym potworze czającym się wśród mrocznych, zapomnianych ruin było coś, co instynktownie budziło we mnie obrzydzenie. Gdybyśmy znajdowali się na otwartej przestrzeni i gdybym miał w ręku laser, zapewne zabiłbym to coś bez chwili wahania.

Tylko przez chwilę widzieliśmy to stworzenie, oparte o twardą przeszkodę, uwięzione w kręgu światła. Potem uciekło z niewiarygodną wprost prędkością. Dziwna istota z początku poruszała się na dwóch nogach, potem opadła na czworaki. Najgorsze jednak było to, że wyglądała jak człowiek, albo przynajmniej jak coś, co kiedyś było człowiekiem, zanim czas zabił w nim wszystko, co różni nas od bezmyślnych zwierząt.

— Najwyraźniej miasto wcale nie jest opuszczone — skomentował Zilwrich.

— To coś... co to właściwie było? — zapytał Ryzk ze wstrętem. Chyba czuł to samo, co ja. — I dokąd pobiegło?

— Skręć w lewo — rozkazał Eet, najwyraźniej wcale nie przejęty tym, co zobaczyliśmy. — Teraz tutaj.

Na wysokości parteru zauważyłem otwór drzwiowy — pierwszy, jaki napotkaliśmy w tym mieście. Miał regularny kształt i nie wyglądał na jedną z wielu dziur i szczelin, od których roilo się w ścianach tutejszych budynków. Był też dostatecznie duży, by ścigacz mógł się przezeń przedostać. Podejrzywałem jednak, że właśnie tutaj ukryło się tamto dziwne stworzenie. Prowadzenie dalszych poszukiwań wymagałoby opuszczenia pojazdu i narażało nas na atak obcej istoty albo jej współplemieńców...

Mimo to wypełniłem polecenie, zatrzymując ścigacz w powietrzu, tuż za drzwiami komnaty, do której wlecieliśmy. Pomieszczenie miało okrągły kształt, a jeśli kiedyś były w nim jakieś sprzęty, to dawno zniknęły. Podłoga była pokryta ziarnistą substancją, w której być może ułożone były instalacje. W żwirze wydeptano czy też ubito dwie ścieżki, prowadzące do znajdującej się w podłodze czarnej dziury, przypominającej studnię.

Ostrożnie poprowadziłem ścigacz w kierunku tego otworu. Mogliśmy teraz zanurkować w dół, ale nie miałem ochoty tego robić, nie wiedząc, czy w następnym pomieszczeniu nie czyha na nas jakieś niebezpieczeństwo. Moje obawy nie udzieliły się jednak Eetowi. Pochylił głowę nad naczyniem, w którego wnętrzu lśnił klejnot.

— Na dół — ponagłał. — Teraz na dół!

Miałem ochotę zaoponować, ale wówczas przemówił Zakathamn.

— On ma rację. Na dole znajduje się potężne źródło mocy. Jeżeli zachowamy niezbędną ostrożność...

W żadnym wypadku nie zgodziłbym się zejść tam pieszo, ale ścigacz dawał nam przynajmniej częściową ochronę. Mimo to uważałem, że próba jest zbyt ryzykowna. Byłem pewien, że Ryzk zgłosi jakieś obiekcje, ale pilot, podobnie jak Eet, niczym zaczarowany gapił się na kamień.

Przesunąłem ścigacz nad otwór i pozwoliłem mu opadać w pionie, gratulując sobie w duchu, że wybrałem pojazd przystosowany do prowadzenia tego rodzaju poszukiwań. Kiedy sunęliśmy w dół — najwolniej jak się tylko dało — uważnie obserwowałem ściany.

Nie wiedziałem, do czego używano tego szybu. Być może z początku spełniał rolę windy grawitacyjnej. Potem jednak również nie wyszedł z użycia, o czym świadczyły kłamry osadzone w ścianach, służące za oparcie dla rąk i nóg i tworzące jakby prowizoryczną drabinę. Niektóre uchwyty bez wątpienia zostały zrobione z części jakichś skomplikowanych urządzeń. Wszystko to było wykonane bardzo prymitywnie i z pewnością nie dorównywało jakością konstrukcjom, jakie oglądaliśmy w mieście; zupełnie jakby było dziełem jakiejś innej rasy, stojącej na niższym szczeblu rozwoju.

Opuszczając się piętro po piętrze w dół, mijaliśmy otwory korytarzy czerniejące w ścianach szybu. W sumie naliczyłem ich sześć. Na szczęście dla nas studnia nie zwężała się u dołu. Drabina prowadziła do kilku poprzecznych korytarzy i biegła dalej w dół i w dół, jakby miała za zadanie obsługiwać ogromną ilość znajdujących się tam czeluści.

Obserwowałem te wejścia do korytarzy, do których prowadziła drabina, ale nigdzie nie zauważyłem znaku życia, a nasz reflektor miał zbyt ograniczony zasięg, by spenetrować wnętrza czeluści. Cały czas lecieliśmy w dół. Sześć pięter, dziesięć, dwanaście, dwadzieścia... studnia nadal była dostatecznie szeroka, ale miałem kłopoty ze ścigaczem, którego silnik przy wolnym opadaniu niemal zamierał na najniższych obrotach. Ciągłe widzieliśmy klamry wbite w ścianę. Pięćdziesiąt pięter...

— Za chwilę będziemy na miejscu! — Eet nie potrafił ukryć podniecenia. Jego telepatyczny przekaz był bardziej naładowany emocjami niż kiedykolwiek przedtem. Spojrzałem na wskaźniki przyrządów. Znajdowaliśmy się kilka kilometrów pod powierzchnią. Jeszcze bardziej zredukowałem prędkość i czekałem. Po chwili poczułem uderzenie i wylądowaliśmy na dnie szybu. Po prawej stronie czerniał pojedynczy wylot korytarza, zbyt wąski, aby zmieścić się w nim nasz pojazd. Gdybyśmy chcieli zapuścić się dalej, musielibyśmy iść pieszo, a ja wcale nie miałem ochoty rezygnować z poczucia bezpieczeństwa, jakie dawał nam ścigacz.

Wkrótce okazało się, że moja przezorność była uzasadniona. W wylocie tunelu zobaczyliśmy jakieś poruszenie, chociaż doskonale pamiętałem, że klamry skończyły się cztery piętra nad miejscem, w którym staliśmy. Po chwili w kręgu światła reflektora pojawiła się maszyna, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Przypominała jednak trochę znane mi urządzenia i nie miałem wątpliwości, że rura, wymierzona w naszym kierunku nie wróży nam nic dobrego.

Położyłem już palec na klawiszu „start”, ale Eet i Zakathanin jednocześnie zaprotestowali. Kosmita użył języka międzygalaktycznego, a mutant telepatii.

— Nie!

Jak to nie? Chyba obaj oszaleli. Powinniśmy czym prędzej uciec z pola rażenia tej maszyny!

— Popatrz... — powiedział Zilwrich.

Eet wciąż gapił się na kamień schowany w naczyniu.

Posłusznie wypełniłem polecenie Zakathanina, w każdej chwili oczekując ataku ze strony złowrogiego robota. Jednak kiedy ponownie spojrzałem w jego stronę, nie zobaczyłem nic!

— Gdzie...?

— Impresja pozazmysłowa — wyjaśnił Zilwrich. — Obrazy niektórych przedmiotów, drzew, zbiorników wodnych, kamieni i zapewne jeszcze innych obiektów mogą przetrwać znacznie dłużej, niż ich odzwierciedlenie w rzeczywistości. Niekiedy też ukazują się osobom o pewnych predyspozycjach psychicznych. Budowniczości tego szybu mogli o tym wiedzieć

i wykorzystać to zjawisko. Niewykluczone, że to, co widzieliśmy, było odbiciem jakichś wydarzeń, które miały tu miejsce dawno temu. Wydarzenia te wywołały silne emocje u ich uczestników, a powstała w ten sposób iluzja uaktywniła się w naszej obecności.

— Chodźmy... tutaj... — Eet nie zamierzał nam niczego tłumaczyć. Zamiast tego popchnął do przodu misę, najwyraźniej usiłując ją wykorzystać jako drogowskaz.

W końcu znalazł to, czego szukał. Jeśli chodzi o mnie, to duma nie pozwalała mi się cofnąć. Zresztą nawet gdybym to zrobił, Eet i Zakathanin poszliby sami. Ponieważ z konieczności byliśmy teraz sojusznikami i groziły nam te same, nie znane jeszcze niebezpieczeństwa, wręczyłem Ryzkowi jedną z kusz. Tak uzbrojeni poszliśmy naprzód. Eet przycupnął na moim ramieniu, a jego ciężar trochę mi już doskwierał. Pilot i Zilwrich następowali mi na pięty.

Zabrałem ze sobą drugi, mniejszy reflektor, ale po chwili przestał nam być potrzebny. Klejnot ukryty w naczyniu dawał wystarczająco dużo światła. Dzięki niemu zobaczyliśmy, że idziemy korytarzem o gładkich, wolnych od zadrapań ścianach, przypominającym wielką rurę.

Nie potrafiłbym powiedzieć, jak głęboko zapuściliśmy się w te korytarze. W pewnym momencie zacząłem obawiać się, że zabraknie nam powietrza. Jednak najwidoczniej urządzenia zaopatrujące te niezgłębione czeluści w tlen działały do tej pory.

W końcu doszliśmy do końca korytarza. Nie znaleźliśmy tam jednak, jak się spodziewałem, górniczego wyrobiska, lecz pokój zastawiony różnego rodzaju urządzeniami i sprzętem laboratoryjnym. Niektóre instrumenty były przymocowane do podłogi, inne wały się po stołach i długich ladach. W środku pomieszczenia dostrzegłem plamę światła. Eet skierował się w jej stronę.

Na stole stał dziwny przedmiot w kształcie wydrążonego stożka, prawie tak wysoki jak ja, z dużą dziurą na środku. Przez otwór można było dostrzec ukryty w środku stojak, na którym lśniło dwanaście kamieni nicości, które zaiskrzyły, kiedy podeszliśmy bliżej, niosąc dwa nasze.

Obok stożka stał drugi stojak, w którym również umieszczono tuzin kamieni nicości, chropowatych i nieoszlifowanych. Były czarne jak bryły węgla. Mimo to wcale nie przypominały zużytych i wypalonych klejnotów, które znaleźliśmy na opuszczonym statku kosmicznym, kiedy po raz pierwszy poznaliśmy moc tych tajemniczych minerałów.

Eet zeskoczył z mojego ramienia i stanął na stole. Odstawił misę, którą dotychczas trzymał i spróbował wydobyć kamienie ze stożkowej osłony. Jednak w klejnotach i w sposobie, w jaki zostały ułożone, było coś, co wydało mi się znajome...

Doświadczeni kupcy znają mnóstwo sposobów fałszowania kamieni. Można na przykład poddać je procesom chemicznym, w wyniku których zmieniają kolor. Fałszerz potrafi nawet ukryć skazę albo dzięki wysokiej temperaturze zmienić ametyst w złoty topaz. Dzięki umiejętnemu połączeniu metod chemicznych i obróbki cieplnej ze zwykłego blad różowego

kamienia powstaje królewski, karmazynowy rovan i oszustwo to jest bardzo trudne do wykrycia. Z kolei podgrzewając...

Wyłuskałem ze stojaka czarną bryłkę i wyciągnąłem z zanadru swoje jubilerskie okulary. Nie byłem w stanie tego sprawdzić, ale przecucie mówiło mi, że trzymam w ręku oryginalny, prawdziwy kamień nicości. Pozostałe zapewne wcale nie były minerałami, zostały wyprodukowane, co, logicznie rzecz biorąc, mogło dawać im zdolność potęgowania energii.

Przedmiot, który trzymałem w ręku, był bezsprzecznie bardzo dziwny. Z początku wydawał mi się miękki jak aksamit, lecz kiedy go dotknąłem, natychmiast okazało się, że byłem w błędzie. Gdyby jeszcze przypominał wyglądem strączek... Wziąłem głęboki oddech. Pamięć płatała mi dziwne figle. Tak, to z pewnością było to.

Kiedys już znalazłem takie bryłki w strumieniu. Na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie miękkich, lecz w rzeczywistości miały twardą konsystencję. Jedną z tych bryłek polizała, a potem połknęła pokładowa kotka, która później wydała na świat Eeta! Tamte kawałki mineralnej substancji nie były okrągłe, lecz miały kształt strączków. Ale ich powierzchnia...

Spojrzałem na mutanta, ważąc kamień w ręku. Właśnie udało mu się otworzyć stożek i teraz wyciągał z niego stojak z oszlifowanymi kamieniami. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, kiedy tylko stojak znalazł się na zewnątrz, stożek jakby ożył i jego powierzchnia zaczęła świecić jasnym światłem. Instynktownie włożyłem do niego nieoszlifowane kamienie, zachowując sobie tylko ten jeden, który wcześniej wyjąłem ze stojaka. Chwilę później pokrywa stożka zamknęła się z traskiem, niemal przytraskując mi palce. Jasne, oślepiające światło rozbłysło teraz w środku, tuż za otworem w pokrywie.

To wyjaśniało sprawę.

— Te egzemplarze zostały wyprodukowane sztucznie — rzuciłem.

Zilwrich podniósł jeden z oszlifowanych kamieni i wziął ode mnie czarną bryłkę, żeby porównać klejnoty.

— Tak, pewnie masz rację. Moim zdaniem nawet ten — wskazał na czarny okruch — nie jest prawdziwy.

Obrócił swą zabandażowaną głowę w prawo, a potem w lewo, uważnie oglądając pokój. Potężne fale świetlne, emanujące ze stożka, rozjaśniały nawet najdalsze kąty.

— Jestem pewien, że to pomieszczenie służyło jako laboratorium.

— Co z kolei oznacza, że te kamienie są ostatnimi, jakie widzimy — zauważył Ryzk. — Chyba że tamci pozostawili tu informacje, jak zrobić...

W powietrzu rozległ się przenikliwy dźwięk, od którego niemal popękały nam bębni. Rzuciwszy szybkie spojrzenie na stożek, sięgnąłem po Eeta i odepchnąłem ramieniem Zakathanina, wykrzykując jednocześnie ostrzeżenie. Wtedy nagle płomień rozerwał czubek stożka i wystrzelił do góry fontanną ognia. Upadłem na ziemię, nakrywając własnym ciałem Zakathanina. Eet bezskutecznie usiłował wyrwać się z mojego uścisku.

I wówczas płomień nagle znikł!

W pokoju zapanowały całkowite ciemności. Sięgnąłem po zawieszoną u pasa latarkę, po raz kolejny nie mając pojęcia, czy to światło zgasło, czy moje oczy zawiodły. Na szczęście, kiedy wcisnąłem guzik, reflektor natychmiast rozjaśnił wnętrze pomieszczenia.

Poszedłem w stronę stołu, albo raczej w tę stronę, gdzie poprzednio znajdował się stół. Teraz bowiem miejsce to było puste, zupełnie jakby moc, której szukaliśmy, ulotniła się. Została tylko jedna rzecz cała i nieuszkodzona, której najwyraźniej nic nie mogło zaszkodzić — naczynie z kamieniem nicości. Eet wydał z siebie jakiś dźwięk, co mu się bardzo rzadko zdarzało. Wyrwawszy się z mojego uścisku, skoczył w kierunku misy. Jednak zanim dotarł do celu, stanął jak wryty. Teraz z kolei ja krzyknąłem, miotany sprzecznymi uczuciami, będącymi mieszaniną strachu i podziwu.

W świetle reflektora włochate ciało Eeta zaśnięto fosforyzującym blaskiem. Stanął na tylnych łapach, niczym pies usiłujący zerwać się ze smyczy i przebierał łapami w powietrzu. Spomiędzy jego zaciśniętych szczęk wydobywały się agoniczne jęki. Nie próbował nawet nawiązać z nami telepatycznego kontaktu — zupełnie jakby był tylko bezrozumnym zwierzęciem.

Z wyprężonym grzbietem, odchylony do tyłu, wił się w drgawkach, zataczając kręgi wokół misy w dzikim, cierpiętniczym tańcu. Na jego pysku pojawiła się piana i cały czas nieprzytomnie przewracał oczami. Ciało mutanta cały czas emanowało fosforycznym blaskiem. W końcu wyglądał jak zamazany, wirujący słup światła.

Ten słup rósł i poszerzał się. Czyżby atomy, z których powstała powłoka cielesna mojego towarzysza uległy rozproszeniu, a on sam powoli rozplątywał się w nicości? Jednak wbrew moim przewidywaniom przymglone światło nie znikło. Zamiast tego lekka, świecąca mgiełka zaczęła ponownie gęstnieć i przybierać kształt niewyraźnej sylwetki. Sylwetka ta była znacznie większa niż Eet i różniła się od niego kształtem.

Nie byłem w stanie zrobić żadnego ruchu, podobnie jak Ryzk i Zilwrich. Reflektor wysliznął mi się z ręki, ale szczęśliwym trafem upadł tak, że snop światła padał wprost na Eeta... albo raczej na coś, co poprzednio było Eetem.

Drżąca sylwetka gęstniała i stawała się coraz ciemniejsza. Dawny Eet nie był większy od swej matki, pokładowej kotki. Tymczasem tajemnicza postać była już niemal mojego wzrostu. W pewnym momencie przestała rosnąć, a jej szaleńczy taniec wokół misy zwolnił tempo. W końcu zatrzymała się.

Stałem nieruchomo, w zdumieniu obserwując to dziwne zjawisko.

Eet wielokrotnie zmieniał wygląd, posługując się sztuką tworzenia iluzji. Miałem już okazję oglądać go w trzech różnych postaciach: puka, gada i włochatego małpoluda, który wraz ze mną przedostał się do Gwiazdnych Wrót. Byłem jednak całkiem pewien, że tej ostatniej transformacji nie dokonał świadomie i dobrowolnie.

Teraz przypominał człowieka i...

Miał szczupłe, lecz zgrabne ciało, długie, kształtne nogi, wąską talię, a wyżej... Stał... albo raczej ONA stała nieruchomo, przyglądając się swym wysmukłym, miękkim dłoniom. Jej lśniąca skóra miała lekko złotawy odcień. Pochyliła głowę, jakby pragnąc dokładnie obejrzeć swe nowe ciało. Jednocześnie wodziła po nim palcami, najwyraźniej nie wierząc własnym oczom.

Wówczas Zilwrich wypowiedział pojedyncze słowo:

— Luar!

Eet odwróciła głowę i spojrzała na nas wielkimi oczami, których ciemnozłoty kolor harmonizował z barwą skóry. Potem rozpuściła czerwone włosy i otuliła się nimi jak płaszczem. Następnie pochyliła się i podniosła misę. Trzymając ją na otwartej dłoni, zrobiła kilka kroków w świetle reflektora, jak gdyby pragnąc zrobić na nas wrażenie swą zmienioną powierzchownością.

— Luar? — jej wargi wyduły się przy tym słowie. — Nie... Thalan.

Urwała, wpatrując się w jakiś punkt nad naszymi głowami, jakby widziała coś, czego my nie bylibyśmy w stanie dostrzec.

— Tak, znaleźliśmy Luar i mieszkaliśmy w tym miejscu przez pewien czas, o czcigodny. Więc zostawiliśmy tam ślady naszego pobytu. Ale to nie był nasz dom. Jesteśmy Poszukiwaczami, Odrodzoneymi. Thalan... tak. A wcześniej inne, wiele innych.

Wyciągnęła misę w naszym kierunku i obróciła ją tak, że mogliśmy zobaczyć mapę. Jednak wprawiony w nią kamień nicości był martwy, a drugi — leżący na dnie misy — zniknął.

— Skarb, którego szukaliśmy, jest dla nas stracony. Chyba że wy, mędrcy — zwróciła się do Zilwricha — potraficie odgadywać zagadki z bardzo odległej przeszłości.

— Tobie to zawdzięczamy, Jern!

Doznałem wstrząsu, kiedy nieoczekiwane uderzenie cisnęło mnie na jakąś maszynę przymocowaną do podłogi. Uczepiłem się jej kurczowo, żeby nie upaść.

Eet, błyskawicznym ruchem, tak charakterystycznym dla jej kociego poprzednika, porwała reflektor z podłogi. Oślepiła pilota światłem latarki, zanim ten zdążył założyć nową strzałę. Potem spomiędzy jej warg wydobył się przenikliwy gwizd.

Ryzk skurczył się, jak gdyby został trafiony palącym promieniem lasera. Otworzył usta w bezgłośnym krzyku, a kusza wypadła mu z osłabłych nagle dłoni.

— Wystarczy! — Zilwrich, poruszając się z dostojeństwem typowym dla swej rasy, wystąpił naprzód i podniósł kuszę. Gwizd urwał się gwałtownie. Ryzk stał, kręcąc głową, jak gdyby próbował się otrząsnąć z ośpienia.

Ostrożnie zbadałem swoją ranę. Musiałem zdać się całkowicie na zmysł dotyku, gdyż światło reflektora, trzymanego przez Eet, cały czas było skierowane na Ryzka. Pilot chwiał się na nogach i najwyraźniej tylko wysiłkiem woli utrzymywał się w pozycji pionowej. Nie

znalazłem żadnego skaleczenia, ale pałący ból świadczył o tym, że strzała przeleciała bardzo blisko i otarła mi skórę.

— Wystarczy — powtórzył Zakathanin. Położył rękę na ramieniu pilota, pomagając mu odzyskać równowagę. — Skarb, ten największy, wciąż jest przy nas. Albo nawet... — spojrzał z namysłem na Eet — albo nawet jest w którymś z nas. Dostałaś to, czego od tak dawna pragnęłaś, o ty, Pozaczasowa, nie odmawiaj pozostałym skromniejszych nagród.

Obróciła w rękę misę i uśmiechnęła się.

— Oczywiście, czcigodny, w tej chwili nikomu źle nie życzę, gdyż udało mi się — jak słusznie zauważyłeś — osiągnąć własne cele.

Wiedza jest skarbem...

— Nie ma kamieni, nie ma kłopotu — powiedziałem głośno, nie wiedząc, dlaczego to robię. — Lepiej nam będzie bez nich.

Ryzk podniósł głowę, mrużąc oczy w świetle reflektora. Spojrzał w miejsce, gdzie stałem oparty o maszynę, ale chyba wcale mnie nie widział.

— Doskonale! — powiedziała rażno Eet. — Czcigodny ma słuszość. Odnaleźliśmy świat skarbów, które on i jego rasa najlepiej potrafią odkrywać. Czyż nie tak?

— Oczywiście — nie miałem co do tego wątpliwości.

Ryzk potrząsnął głową, ale nie wyglądało to na znak protestu. Zapewne wciąż nie mógł oprzytomnieć.

— Kamienie — powiedział ochryplym głosem.

— Zbyt wiele osób ostrzy sobie na nie zęby — odrzekłem. — Chcesz mieć bez przerwy na karku Bractwo, Patrol i tych z Gwiazdnych Wrót?

Podniósł rękę i przetarł nią twarz. Potem spojrzał na Zilwricha, starannie omijając wzrokiem Eet. Zapewne tylko Zakathanin wydawał mu się dostatecznie wiarygodny.

— Jest jeszcze jakiś inny skarb? — To pytanie zabrzmiało trochę dziecinnie. Zupełnie jakby nieoczekiwany atak Eet uwolnił go od płynącej z doświadczenia przezorności i podejrzliwości.

— Większy, niż mógłbyś sobie wyobrazić — powiedział uspokajającym tonem Zilwrich.

Jeśli chodzi o mnie, skarb przestał mnie już interesować. Uważnie obserwowałem Eet. Do tej pory byliśmy towarzyszami. Jak teraz ułożą się nasze stosunki?

W odpowiedzi na moje chaotyczne myśli otrzymałem przekaz telepatyczny, w którym dało się odczuć lekkie rozbawienie.

— Mówiłam ci kiedyś, Murdocu Jernie, że potrzebujemy się nawzajem. Na początku musiałam wykorzystać twoje fizyczne możliwości, a ty również odniosłeś pewne korzyści dzięki niezwykłym talentom, którymi dysponuję. Teraz oboje jesteśmy wolni... o ile tego pragniesz. Znalazłam ciało, które lepiej nadaje się do moich celów. O ile pamiętam, całkiem nieźle służyło moim poprzedniczkom przed tysiącami lat. Mimo to, nie zamierzam rezygnować z naszej spółki. A ty?

Zrobiła krok w moim kierunku, odrzucając jednocześnie misę i pochodnię, jak gdyby nie były jej już potrzebne. Potem poczułem kojący dotyk jej rąk, badających moją ranę.

Wiele razy szydziłem z próżności Eeta i próbowałem buntować się przeciwko jego, a raczej jej — wciąż nie mogłem się przyzwyczać — despotyzmowi. Nieraz też usiłowałem zerwać więź, która powstała między nami od chwili, gdy pewnego dnia przyszła na świat na koi w mojej kabinie.

Miałem teraz wrażenie, że jej ręce uwolniły mnie od bólu, który mi dokuczał, wiedziałem też, że niezależnie od tego, co się wydarzy, nie ucieknę od swego przeznaczenia. Kiedy to pojąłem, wszystko inne stało się nagle proste.

— Rezygnujesz...? — telepatyczne pytanie było jak najcichszy szept.

— Nie! — powiedziałem pewnie z głębokim przekonaniem, że tego właśnie chcę.